

Kerstin Gier

POWTÓRKA Z MIŁOŚCI

*Co zmieniłbyś w swoim życiu, gdybyś mógł
przeżyć jeszcze raz ostatnie 5 lat?*



Kerstin Gier

POWTÓRKA
Z MIŁOŚCI

Z języka niemieckiego przełożyła
Urszula Pawlik



Spis treści

[Dedykacja](#)

[Felix](#)

[Mathias](#)

[Pięć lat później](#)

[Felix](#)

[Mathias](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Frankowi,
ponownie, ale tym razem bardzo szczególnie.
Gdybyś był kolorem, to z pewnością jakimś ciepłym,
przytulnym odcieniem cynobrowej czerwieni.

Felix

Lubię sobie wyobrażać, że Kati pojawiła się w moim życiu za sprawą losu. Choć w pierwszym momencie wcale nie byłem mu za to wdzięczny. Wręcz przeciwnie. Niewiele brakowało, a pierwszym zdaniem, które padłoby z moich ust, byłoby „Głupie krówsko!”. Zamiast powoli wyjechać z miejsca, na którym parkowało, jej auto wystrzeliło do przodu jak z procy, taranując mój ukochany rower wyścigowy i w okamgnieniu zamieniając go w kupę złomu. Całe szczęście, że udało mi się uniknąć zmiżdżenia nogi, którą sekundę wcześniej zdjąłem z pedała.

Lecz skruszony spójrzanie jej zielonych oczu o barwie tataraku sprawiło, że rower całkowicie wyleciał mi z głowy. Do tego Kati zalała mnie potokiem słów bez ładu i składu, marszcząc przy tym nos i zupełnie zapominając nabrać powietrza. To zresztą pozostało jej do dziś: gdy tylko jest podekscytowana, wyrzuca słowa w szybkością karabinu maszynowego, zupełnie lekceważąc interpunkcję. I nie przestaje do chwili, w której niemal się dusi z powodu niedotlenienia płuc.

– Przykro mi, myślałam, że wrzuciłam wsteczny, cholera jasna, przecież ten złom był rowerem, ma się rozumieć, kupię panu nowy, naturalnie jestem ubezpieczona, wie pan, tylko co przeszłam operację, tak, tak, we czwartek, i to wcale nie mózgu, jak pan pewnie myśli, a jedynie wyrostka robaczkowego, i chyba nie powinnam była wsiadać do samochodu, ale przecież przyjechałam tu autem, no i stało się tak tylko dlatego, że za wcześniej wyszłam ze szpitala, na własne żądanie, nie mogłam dłużej wytrzymać, bo jedzenie było wyjątkowo podłe, chcę przez to powiedzieć, że chcieli dowieść wyższość makury by nad styropianem...

Nagle gwałtownie wciągnęła powietrze, gdyż zabrakło jej tchu. Sądzę, że w tym momencie beznadziejnie się w niej zakochałem.

– Ależ ze mnie osioł – stwierdziła z westchnieniem.

– Co najwyżej osiołek – sprostowałem. Po czym zaproponowałem, że odwiozę ją do domu. Naturalnie jej samochodem. Mój rower i tak już się nie

nadawał do użytku.

Mathias

Nie wierzę w żadne zrządzenia losu. Wyznam pogląd, że każdy jest kowalem swego szczęścia. Czasami trzeba być nieprawdopodobnie upartym i wytrwałym w zdobywaniu tego, czego się pragnie. Lub kogo.

Na pierwszy rzut oka Kati właściwie nie była w moim typie. Chcę przez to powiedzieć, że była niebrzydka z tym małym prostym nosem i uroczo wysuniętą dolną wargą, którą przygryzała w chwili, gdy wydawało jej się, że nikt nie patrzy.

Zaznaczam, że nie uznałem jej za nieprzeciętną piękność. Wręcz przeciwnie. Była przeciętnie ładną, przeciętnego wzrostu przeciętną blondynką, w typie, jaki spotyka się najczęściej.

Zainteresowałem się nią dopiero wówczas, gdyż zauważyłem, że wcale nie zwraca na mnie uwagi i nie patrzy na mnie jak na mężczyznę. Wydawało się, że była skoncentrowana wyłącznie na tym, by wywiązać się jak najlepiej z powierzonego zadania i ukryć zdenerwowanie przed uczestnikami seminarium. Musiałem się sporo nawysilać, by się zaprezentować z najlepszej strony i wreszcie przyciągnąć jej wzrok. Koniec końców odniosłem wrażenie, że zarejestrowała moją obecność i choć troszeczki się mną zainteresowała.

Szczerze mówiąc, sytuacja była dla mnie całkowicie nietypowa, gdyż tak się składa, że zazwyczaj kobiety nie mogą oderwać ode mnie oczu. Stawiając sprawę wprost: wlepiają we mnie wzrok niczym sroka w kość. Powodem tego jest mój atrakcyjny wygląd. Nie jestem przeciętnie przystojny, lecz naprawdę szalenie przystojny. Prawdziwe wydanie Brada Pitta w najlepszych czasach i najlepszym wcieleniu. Wiem, że zabrzmiałoby to arogancko i zarozumiale, ale w praktyce to wcale nie jest takie znowu cudowne, że gapiącym się na mnie kobietom nawet przez moment nie przyjdzie na myśl, że umiem mówić i że przecież można by ze mną porozmawiać. Albo też dochodzą do wniosku, że jestem równie głupi jak blondynka, za czym przemawia mój jasny kolor włosów. Wówczas nawet nie

próbują otworzyć ust w przekonaniu, że i tak nie ma po co. W każdym razie rzadko mam okazję udowodnić, że jestem fajnym facetem.

Natomiast z Kati było zupełnie odwrotnie: wydawała się zaskoczona, gdy z biegiem czasu okazało się, że ten fajny facet mający coś do powiedzenia jest jeszcze na dodatek przystojny.

Przyznaję, pomimo że używałem całego swego uroku i dosłownie wychodziłem ze skóry, Kati po zakończeniu seminarium szybko się pożegnała i pognąła na pociąg. Poczuję się dotknięty, a nawet i lekko rozczarowany. I zapewne odhaczyłbym sprawę, szybko o niej zapominając, gdyby nie SMS-y.

W życiu nie należy popełniać dwukrotnie tych samych błędów, mając do dyspozycji nieskończoną ilość różnych możliwości.

Bertrand Russell

– Gdybym musiał opisać siebie trzema przymiotnikami, wówczas użyłbym następujących określeń: po pierwsze – równiacha, z którym można konie kraść; po drugie – zwolennik opalania się na golasa; po trzecie – otwarty na wszystkie kawały i flirty. No jak?

Mężczyzna obok mnie figlarnie przechylił głowę.

Po pierwsze: nikt nie chce, by się pan opisywał za pomocą trzech przymiotników. Po drugie: to nie są przymiotniki. I po trzecie: za jakie grzechy muszę tego wysłuchiwać? pomyślałam w duchu, nie odzywając się, gdyż jeszcze nie zdołałam ustalić strategii obrony. Milczałam jak zakłeta z możliwie najbardziej obojętnym wyrazem twarzy, na jaki było mnie stać. Równocześnie przez cały czas zastanawiałam się nad wchodzącymi w grę opcjami. Przesiadka na inne miejsce nie wchodziła w rachubę, gdyż wszystkie były pozajmowane. Pociąg dosłownie pękał w szwach, ponieważ z jakichś niewyjaśnionych powodów „w dniu dzisiejszym nie dołączono do składu wagonów o numerach od 21 do 28”.

Wszyscy opowiadają, jak to podczas jazdy pociągiem rozluźniają się i odprężają, „odrabiają zaległości w pracy”, zawierają fantastyczne znajomości, nawiązują interesujące kontakty handlowe, flirtują z atrakcyjnymi współpasażerami, spotykają kolegów ze szkoły, wpadają na niebywałe pomysły, wreszcie porządnie się wysypiają lub wspaniale bawią. Krótko mówiąc, spędzają przyjemnie czas na różne możliwe sposoby. Tymczasem obok mnie zawsze siadają pomyłeńcy, psychopaci, względnie chorzy na gripę rozsiewający zarazki na prawo i lewo. Albo niechluj ze śmierdzącymi nogami, jak ten tutaj. Jest we mnie coś takiego, co w magiczny sposób przyciąga do mnie tego rodzaju typy i zarazem skutecznie trzyma z daleka normalnych ludzi.

– Czy pani pozwoli? Bill, od czterech lat trzydziestodzieciolatek. Na drugie Paul.

Pozwalam, Kati, za cztery lata trzydziestodzieciolatka. Na drugie Magnes-na-Idiotów.

Paul Bill posłał mi zachęcający uśmiech, odsłaniając przy tym poźółkłe kły.
– A teraz pani kolej! Trzy przymiotniki najtrafniej panią opisujące. No jak? Proszę się nie krępować.

Odwal się!

– Pomogę pani troszeczkę... hmm... A więc z tego co widzę, jest pani po pierwsze: blondynką, po drugie: dość ładniutką i po przecie: nieśmiałą. – Zwilżył usta językiem. – No, proszę się wreszcie rozluźnić. Przecież pani nie ugryzę. A na serio: jedynie wówczas, gdy mi pani na to pozwoli.

Marlene na moim miejscu zareagowałaby mniej więcej tak: „Po pierwsze: nie jestem zainteresowana; po drugie: jestem lesbijką; po trzecie: jestem mistrzynią różnych form walki wręcz, co zaraz zademonstruję, jeśli się pan natychmiast nie zamknie i nie uzna rozmowy za zakończoną”. Lecz mnie kłamstwa jakoś nie wychodzą. Poza tym nie zamierzam nikomu ciosać kołków na głowie jedynie z powodu śmierdzących nóg (na marginesie – abstrahując od tych śmierdzieli obok mnie) czy dlatego, że ktoś jest trochę obleśny albo że ma niezbyt dobrze poukładane w głowie. Z drugiej strony przykre doświadczenie nauczyło mnie, że w takich sytuacjach uprzejmość nie popłaca, bo wychodzi się na tym jak Zabłocki na mydle.

– Eeech. A zatem – odpowiedziałam, otwierając notebooka – po pierwsze: jestem szczęśliwą mężatką; po drugie: muszę zaraz odpowiedzieć na kilka pilnych maili; i po trzecie... – W tym momencie mój laptop zaczął alarmująco piszczeć.

– A po trzecie zaraz pani padnie bateria, a tu nie ma żadnego gniazdka, do którego mogłaby się pani podłączyć. – Mój towarzysz podróży rozparł się wygodnie na siedzeniu, złośliwie się uśmiechając. – Mamy więc mnóstwo czasu na pogawędkę, skarbeczku. Cha, cha, cha, świetnie się składa, prawda?

Zamknij się, Bill! Morda w kubel, Paul!

– Cóż takiego robi pani zawodowo, że musi pani pracować nawet wieczorem w pociągu?

Gdyby nie pan był moim towarzyszem podróży, względnie gdyby moja skąpa szefowa zafundowała mi jeszcze jeden nocleg w hotelu, nie musiałabym pracować albo udawać, że pracuję. Wówczas mogłabym sobie pozwolić na relaks i odreagowanie stresu spowodowanego przez szesnastu durniów szczebla

zarządzającego gapiących się na mnie podejrzliwie i sceptycznie przez cały długi dzień.

Faktycznie, bateria mojego laptopa była niemal pusta. Sięgnęłam do torebki, próbując wyłowić kalendarz, coś do pisania i komórkę. Żeby nie oszaleć, musiałam przecież w jakiś sposób zamarkować, że coś robię, gdyż dopiero co wyjechaliśmy z Berlina, a do celu było jeszcze sporo kilometrów.

– A więc gdybym miał zgadywać... – kontynuował Bill.

– Coaching biznesowy i trening kreatywności – odburknęłam szybko. – I jak wspomniałam, muszę wysłać kilka pilnych maili... aaaa, to znaczy SMS-ów... – uzupełniłam, żwawo odblokowując komórkę.

Zauważyłam, że Felix odpowiedział na mój ostatni SMS: *Też wrócę późno, przyniosę coś od Chińczyka*. Momentalnie poczułam głód. Zatęskniłam za Felixem. I za prysznicem.

– Hmm, czyżby kobieta robiąca karierę? – Bill pochylił się w moją stronę.

– Z takim dekoltem stawiałbym zdecydowanie na coś kreatywnego. Przedszkolanka na przykład.

Musiałam się bardzo wysilić, by zignorować tę uwagę. Doświadczenie nauczyło mnie, że w żadnym wypadku nie wolno dać się wciągnąć w rozmowę czy wykazać choćby odrobinę zainteresowania, bo wówczas do końca podróży cały policzek będzie lepki od śliny. A jak się jeszcze ma pecha, to obieca się kupno połowy wołu albo wyrazi zgodę na zostanie dawcą nerki. Mozolnie wystukiwałam kolejne litery, próbując trafić we właściwy klawisz komórki. Ufff, teraz już nie tylko wykasowałam SMS-a od Felixa, ale jeszcze na dodatek usunęłam wszystko, co miałam zapisane w pamięci. Nic nie szkodzi, bo i tak miałam wszystkie numery w kontaktach. Felix był pomiędzy numerem siostry, Ewy, i dozorcą naszego domu.

– A teraz proszę zgadnąć, skarbeczku, czym JA się zajmuję.

Cieszę się na chińszczyznę – odpisałam Felixowi i po krótkim namyśle dodałam: *Nie miałabym też nic przeciwko czemuś po francusku*, wychodząc z założenia, że trochę uszczypliwości tylko dobrze wpłynie na ożywienie naszego pożycia seksualnego, które w ostatnich miesiącach zdecydowanie leżało odłogiem.

– Tester produktów! – obwieścił tryumfalnie Bill Śmierdząconogi prosto do mojego ucha. Podskoczyłam przerażona, naciskając odruchowo „wyślij”.

– W praktyce jest to znacznie bardziej interesujące, niż mogłoby się

wydawać. Niech pani zgadnie, co testuję w tym tygodniu!?

Z pewnością nie dezodoranty. Tłumiąc westchnienie, zajęłam się pisaniem SMS-a do Marlene: *Jesteś mi coś winna. Aroganckie, niereformowalne, pnące się po trupach kierownicze gwiazdeczki biznesu w białych kołnierzykach kompletnie mnie wykończyły. A ostatecznie dobił obligatoryjny wampirowaty pomylenie z pociągu.* W tym momencie przerwałam.

Pracujemy z Marlene w G&G Impulse Consulting, małej firmie doradztwa i coachingu personalno-zarządzającego. Nasza firemka zorganizowała seminarium w Berlinie; w zamierzeniu miała je poprowadzić moja przyjaciółka, którą musiałam w ostatniej chwili zastąpić. Nie specjalizuję się w doradztwie personalnym, nie mam też specjalnego pojęcia o zarządzaniu. Zawsze gdy przyjdzie mi prowadzić tego typu seminarium, nie wiem ani po co się je organizuje, ani czemu ma służyć. Uczestnicy takiego bezsensu są niczym sfora dzikich psów momentalnie wyczuwająca strach. Tylko czekają na okazję, by rozszarpać każdego, kto się ich boi. A na dodatek chcą jeszcze udowodnić każdemu, kto nie jest w stanie wykazać się zdolnościami przywódczymi, że nie tylko pozjadali wszystkie rozumy, ale też, że nie można ich już niczego więcej nauczyć. Z całą pewnością rozerwaliby mnie na strzępy, gdyby nie obecność ich szefa, którego Marlene znała od dawna i dzięki któremu G&G dostało to zlecenie.

Wspomnienie szefa sprawiło, że się uśmiechnęłam. Byłam tak straszliwie zdenerwowana, że mało brakowało, a nie zauważyłabym, jak próbował ze mną trochę poflirtować. *Muszę ci przyznać rację co do szefa białych kołnierzyków – ma odłotowo zgrabny tyłek* – wystukałam na zakończenie.

W rzeczywistości nie miałam pojęcia, jak wygląda jego tyłek. Zauważyłam natomiast, że miał piękne oczy i coś szczególnego w sposobie bycia. Cechowały go wrodzony autorytet oraz naturalna uprzejmość. Pozwoliłam sobie na cichutkie westchnienie, mimo że czułam na sobie spojrzenie Billa Śmierdząconogiego. Mathias Lenzen, szef *human resources*. Zapiisałam w pamięci komórki jego nazwisko i numer telefonu, pomimo zerowego prawdopodobieństwa, że kiedykolwiek zajdzie konieczność kontaktu z tym uroczym przystojniakiem, gdyż po pierwsze – to Marlene z pewnością poprowadzi kolejne seminarium, a po drugie – jestem żoną Felixa i nie w głowie mi flirty z innymi mężczyznami. Nawet jeśli mają nie wiadomo jak uroczy uśmiech. I nawet wówczas, gdy są szczególnie ujmujący i...

– W ubiegłym tygodniu miałem na tapecie włoskie wina i prostownicę do włosów! – Świdrujący głos Billa wyrwał mnie z zamyślenia. – W tym tygodniu mam rozdrabniacz do czosnku, kamerę i funkcjonalną bieliznę. A w przyszłym może mi się trafić nawet ferrari.

Ponownie zaczęłam wciskać energicznie klawisze komórki, po czym nacisnęłam „wyślij”, nie mając pojęcia, że właśnie wywołałam istną lawinę zdarzeń, albo jak by to ujęła moja koleżanka Linda, wprowadziłam w ruch „karuzelę wszechświata”.

I to wyłącznie z powodu wrodzonej głupoty, która sprawiła, że nigdy nie nauczyłam się porządnie obsługiwać komórki.

Pośpiech sprawia, że popełniamy błędy. Dlatego nie
robię niczego powoli.

Mądrość chińska

Linda zawsze powtarza, że nic nie dzieje się bez powodu. Co się ma wydarzyć, to i tak się wydarzy. Każde zdarzenie wpływające na nasze życie zawsze ma jakąś przyczynę i jakiś sens, nawet wówczas gdy nie potrafimy się ich w danym momencie doszukać. Dlatego powinniśmy być wdzięczni za wszystko, co nas spotyka lub cośmy sobie napytali. Na przykład Linda była nieskończenie wdzięczna losowi, który sprawił, że zaklinował jej się obcas w kratce ściekowej. Uważała, że to właśnie wszechświat wszystko sprytnie ukartował, gdyż tym samym zmusił ją do kupienia nowych butów. Dzięki temu w sklepie obuwniczym spotkała po latach koleżankę ze szkoły, która spontanicznie zaprosiła ją na urodziny, na których spotkała – *voilà* – mężczyznę swojego życia.

Zasadniczo bardzo fajny sposób myślenia, za wszystkie parszywe chwile w życiu winić wszechświat, poczynając od urwania się ramiączka u stanika (akurat podczas rozmowy kwalifikacyjnej z przyszłym pracodawcą – do dziś zawsze robię się czerwona jak burak, gdy tylko sobie o tym przypomnę), a na spóźnieniu się na tramwaj kończąc. Idąc tym tokiem myślenia, można dojść do wniosku, że napotkanie każdego pomyleńca czy typa ze śmierdzącymi stopami ma jakiś głębszy sens i służy wyższemu celowi. I jeszcze na dodatek trzeba być za to wdzięcznym.

Obyczaj wielce sympatyczny to: dziękować za

otrzymane dobro.

Wilhelm Busch

Znakomite! Ale Lindy, niestety, nie można brać serio, gdyż tak się składa, że mężczyznę swojego życia spotyka od dwóch do pięciu razy w roku. Poza tym często uczestniczy w tak zwanych przytulanych przyjęciach, na których regularnie natrafia na istoty mające ją porwać na sam szczyt wyimaginowanego tęczowego mostu bliżej niesprecyzowanych doznań seksualnych. Z reguły porwanie kończy się na tym, że pod wpływem doznań seksualnych, które tymczasem zdążyły się już doprecyzować, zamiast na szczyty trafia do sklepu z ciuchami, w których dla poprawy podłego nastroju zaczyna kupować przykładowo zielone swetry. Także w innych przypadkach zostaje włączona ezoteryczna płyta: Linda twierdzi na przykład, że celem stworzenia dobrego nastroju należy w rogach pomieszczenia rozsypać sól morską. Albo że znalezienie wolnego miejsca parkingowego to tylko kwestia odpowiednio wypowiedzianego życzenia i siły woli. Albo że nasza szefowa w głębi duszy jest „naprawdę miłym człowiekiem”, co potwierdza jej aura, którą Linda, ma się rozumieć, dostrzega. Dlatego też w sprawach zrządeń losu nie jest ona dla mnie absolutnie żadnym autorytetem. Osobiście uważam, że często zdarzają się rzeczy niemające żadnego głębokiego znaczenia, za co niekoniecznie trzeba być wdzięcznym. A w tym szczególnym przypadku należy stwierdzić, że gdybym nie pojechała zamiast Marlene na to seminarium, nie siedziałabym teraz w tym oto pociągu i nie musiałabym udawać przed tym namolnym testerem produktów, że pracuję. W konsekwencji nigdy nie napisałabym tego przeklętego SMS-a i najpóźniej w ciągu paru dni zapomniałabym o niebieskich oczach i miłym uśmiechu.

Bill dłubał w nosie. Dokładnie widziałam, jak to robi, chociaż wcale na niego nie patrzyłam.

– Raz nawet testowałam prezerwatywy. Proszę powiedzieć, czy pani w ogóle słucha tego, co mówię?

Słuchałam, i to jak. Miałam nadzieję, że na mnie nie spojrzy. *Siedzę koło pieprzonego testera prezerwatyw i dochodzę do wniosku, że moje życie znowu jest suboptymalne* – napisałam do siostry. Do Lindy również wysłałam SMS-a: *Nawet ty miałabyś trudności z doszukaniem się u siedzącego obok mnie idioty jakichś pozytywnych cech. Idę o zakład, że jego zwierzęcy symbol siły to golec z rodziny*

kretoszczurów, a jego aura ma kolor śpików, które – tak na marginesie – chętnie zjada. Nim pociąg wjechał na kolejną stację, wysłałam piętnaście SMS-ów, w tym także do mamy (*Wiem, że zawsze masz wyłączoną komórkę. Ale piszę do Ciebie tylko dlatego, że muszę sprawiać wrażenie, że pracuję*). I z pewnością byłoby ich dużo więcej przed dojazdem do Kolonii, gdyby Bill nieoczekiwanie nie wysiadł w Wolfsburgu. Patrzyłam z niedowierzaniem, gdy zaczął zbierać swoje rzeczy.

– Niestety, to już koniec naszego uroczego intermezzo. Ale z pewnością jeszcze się zobaczymy! – Na pożegnanie wręczył mi swoją wizytówkę. – Poza tym znajdzie mnie pani na Facebooku.

Zniknął, puszczając dwuznacznie oko, a wraz z nim serowy odór jego stóp. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. *Nie uwierzysz, ale ten pomylenie z pociągu ma na nazwisko Szkodliwiec* – napisałam do siostry.

Cicho chichocząc, rozparłam się wygodnie na siedzeniu, zamierzając się relaksować przez resztę podróży, gdy usłyszałam sygnał komórki oznajmiający nadejście SMS-a. Wiadomość pochodziła od naszego dozorca Fischbacha: *O, là, là. Szanowna Pani Wedekind, dziękuję za propozycję. W takim razie wpadnę w przyszłym tygodniu odpowiedzieć grzejniki. Oddany Pani Hermann Fischbach. PS Jak mogę wybierać, to wolę po francusku niż po chińsku.*

Gdy patrzyłam zaszokowana na ekran komórki, próbując zrozumieć, o co chodzi, przyszedł kolejny SMS. Tym razem od teściowej, starannie napisany z zachowaniem wszystkich zasad ortografii, interpunkcji oraz pisowni z dużej i małej litery. *Jak to miło, serduszko, że się odezwałaś. Przykro mi, że Twojemu towarzyszowi podróży brak dobrych manier. Jeśli przyjdziecie w niedzielę na obiad, zjecie przepyszną pieczeń wołową w marynacie. Serdeczne pozdrowienia od Luizy.*

Zaczęło mi świtać w głowie, że musiało się stać coś niedobrego: Luizę miałam zapisaną w kontaktach pod Lindą, a Fischbacha zaraz pod Felixem. To oznaczało, że... o mój Boże, tylko nie to! Przecież nie jestem aż takim skończonym głupkiem! Znowu zabręczała komórka, meldując nadejście kolejnego SMS-a. Okazało się, że od Mathiasa Lenza, dyrektora do spraw *human resources* o uroczym uśmiechu, którego miałam wpisanego tuż pod Marlene. Nie miałam odwagi otworzyć wiadomości. A gdy to wreszcie zrobiłam, omal nie zapadłam się ze wstydu pod ziemię.

Niereformowalne, pnące się po trupach kierownicze gwiazdy biznesu w białych

kołnierzykach właśnie się zreformowały. I daleko im do wykańczania kogoś takiego jak Pani. A na marginesie dziękuję za komplement pod adresem mojej tylnej części ciała. Stwierdzam, że ta sama część Pani ciała też jest odłotowo zgrabna.

Dziwne, że gdy czytałam maila, w uszach dźwięczał mi jego głos, a wyobraźnia wyczarowała siateczkę zmarszczek mimicznych tworzących mu się wokół oczu, gdy się uśmiechał. Zastanawiałam się, jak powinnam odpowiedzieć, żeby się jeszcze bardziej nie zblamować. To, że wysłałam SMS-a do niewłaściwego adresata, było jasne jak słońce. *Właściwie to wcale nie uważam Pana pracowników za takich znowu złych – byłoby lizusostwem. Cieszę się, że podoba się Panu mój tyłek – zupełnie nie wchodziło w grę. Chętnie bym mu wyjaśniła, że normalnie nie opisuję cudzych tyłków i nie używam też tego słowa w korespondencji. Ale co by mu właściwie przyszło z takiej informacji?*

W końcu napisałam: *SMS do Pana był jednym z piętnastu, które trafiły do niewłaściwych odbiorców. I wcale nie należał do najbardziej żenujących. Mój dozorca jest przekonany, że złożyłam mu niemoralną propozycję. Pozdrawiam, posypując głowę popiołem.*

Po wysłaniu wiadomości przez długi czas nie odrywałam wzroku od ekranu komórki, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Odezwała się jedynie Marlene: *Czy nazwanie mnie mamą oznacza powód do zamartwiania się? Poza tym gastroscopia okazała się arcyzabawna. Dzięki, że zapytałaś.*

Nie mogłam powstrzymać chichotu. Przynajmniej ominęłam gastroscopię w SMS-ie posłanym nie tam gdzie trzeba, za co mogę być wdzięczna losowi.

Byle idiota jest w stanie wyjść z kryzysu.
Wykańcza nas codzienny marazm.
Antoni Czechow

Pociąg przyjechał do Kolonii z dziesięciominutowym opóźnieniem. A że było późno i ledwo trzymałam się na nogach, pojechałam do domu taksówką. Z pewnością usnęłabym podczas jazdy, gdybym nie natrafiła na kierowcę o skłonnościach samobójczych. Facet pędził jak szalony, co rusz przeskakiwał bez najmniejszej potrzeby z pasa na pas, ścinał zakręty, zahaczał o krawężniki, których o mało nie porozbijał, i hamował gwałtownie przed czerwonymi światłami, które i tak w większości przypadków ignorował, przejeżdżając jak gdyby nigdy nic. A przy tym gadał jak najęty. W dialekcie charakterystycznym dla tego miasta. Przed pięcioma laty i sześcioma miesiącami, gdy dopiero co przeprowadziłam się do Kolonii, uważałam jej mieszkańców za dziwaków, a Kolonię za najbrzydsze miejsce na świecie. Jednakże tymczasem naprawdę polubiłam swoją nową ojczyznę z jej dziwacznym środowiskiem, klikami towarzyskimi, pięcioma porami roku i niezrozumiałym dialektem, do którego trzeba było przywyknąć, jeśli chciało się cokolwiek załatwić. Gdy mój taksówkarz wreszcie zatrzymał się z piskiem opon na placu Rathenaua, całkiem odechciało mi się spać.

– Szyszę piknej pani spikojnej nocy. – Taksówkarz z całą pewnością nie chwalił mojej urody i wcale nie uznał mnie za piękną. Zachował się, jak to mają w zwyczaju wszyscy kolońscy taksówkarze, którzy z zasady wszystkim pasażerom jak leci plotą podobne androny. A jeśli użyją zwrotu „młoda damo”, oznacza to, że jest się w ich oczach starym pudłem.

Kobiety przyznają się do błędów łatwiej niż
mężczyźni, dlatego odnosi się wrażenie, że częściej
je popełniają.

Gina Lollobrigida

Mieszkaliśmy z Felixem w ładnej, starej, stylowej kamienicy, w tak zwanej Dzielnicy Lateng¹, części miasta, którą uważałam za zdecydowanie

najcudowniejszą. Nasze mieszkanie było oddalone o dziesięć minut jazdy rowerem od kliniki mojego małżonka, w której pracował na stanowisku ordynatora oddziału internistycznego. Natomiast do mojego biura przy placu Rudolfa mogłam dojść na piechotę. Lubiłam liczne sklepy, kawiarnie, ogródki piwne i winiarnie mijane w drodze do pracy. A jeśli miałam za sobą wyjątkowo podły dzień, idąc do domu, po prostu wstępowałam do jakiejś cukierni na trasie albo do któregoś ze szczególnie lubianych sklepów. Jeśli chciało się wyjść wieczorem z domu, nasza dzielnica oferowała niezliczone możliwości miłego spędzenia czasu, gdyż najlepsze restauracje w mieście znajdowały się dosłownie na wyciągnięcie ręki. Niestety ostatnimi czasy wychodziliśmy z domu bardzo rzadko, a gdy chcieliśmy coś zjeść, korzystaliśmy z restauracji dostarczających jedzenie do domów albo oferujących je na wynos. Otwierając drzwi mieszkania, pomyślałam – zresztą nie pierwszy raz – że mieliśmy zwyczajnie za mało czasu na przyjemności oferowane przez życie.

I jak się okazało, miałam całkowitą rację: Felix spał w najlepsze na sofie. Najwidoczniej zasnął, zanim ściągnął drugi but. Chińskie jedzenie w papierowych pudełkach stało nietknięte na stole, a na ekranie telewizora Markus Lanz, względnie ktoś wyglądający dokładnie jak członek Klubu Motocyklowego „Aniołowie Piekła”, próbował odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ciągle jeszcze mieszka z matką.

Felix spał z przekrzywioną na bok głową. Usta miał lekko rozchylone. Jasnobrązowe loki opadły mu na twarz. Brwi miał jak zawsze w potwornym nieładzie. Przejechałam po nich delikatnie kciukami (jak często zdarzało mi się to robić w ciągu ostatnich pięciu lat?), pocałowałam go w szorstki podbródek pokryty całodziennym zarostem, po czym wyciągnęłam mu z dłoni pilota.

Gdy wyłączyłam telewizor, Felix momentalnie otworzył oczy.

– Hej! A więc jesteś już, Osiołku – stwierdził, mrugając do mnie. Na policzku odcisnął mu się wzór poduszki leżącej na sofie. – Psiakrew, chciałem nakryć do stołu i zapalić świece, ale najwyraźniej zasnąłem. Mam za sobą wyjątkowo ciężki dzień.

– Ja też – powiedziałam, opadając obok niego na sofę i wtulając nos w jego szyję. – Hmmmm, ładnie pachniesz.

– Ty też. – Felix objął mnie ramieniem. – Jakies nowe perfumy?

– Nie, to tylko chusteczka odświeżająca serwowana przez Niemieckie Koleje. Muszę wziąć prysznic. A potem...

– Jesteś głodna?

– Potwornie. – Pocałowałam Felixa w dołek pod obojczykiem, w miejsce zawsze pachnące wanilią. – Wiesz, wysłałam sprośnego SMS-a. I wiesz...

– Och, nawet nie spojrzałem, co mam w SMS-ie.

– Nie musisz, bo odebrał go nasz dozorca Fischbach. A złośliwego SMS-a na temat głupków uczestniczących w seminarium i ich szefa do spraw kadrowych, którego wysłałam do Marlene, dostał sam dyrektor do spraw kadrowych. Dostałeś SMS-a, który w zasadzie był przeznaczony dla Ewy. Jeśli mam być szczerą, to twoja matka dużo lepiej radzi sobie z komórką niż ja. Do niej też napisałam przez pomyłkę.

Zaspany Felix roześmiał się serdecznie.

– Cudownie, że już wróciłaś, Osiołku. Brakowało mi ciebie ostatniej nocy. – Jego palce delikatnie drapały moją szyję. – A co było w tym sprośnym SMS-ie?

– Krótko mówiąc, na skutek tego, co napisałam, nasz dozorca zamierza wkrótce wpaść do nas i odpowiedzieć kaloryfery...

The problem with the world is that everybody is a
few drinks behind.

Humphrey Bogart

Śmiech Felixa przeszedł płynnie w ziewanie, co spowodowało, że szybko poderwałam się z miejsca.

– Wezmę szybki prysznic. Najpóźniej za pięć minut będę gotowa. W porządku? Albo za trzy, jeśli nie będę się ubierać. Albo za dwie, jeśli się nie wytrę.

– Nie ruszę się z miejsca, póki nie wrócisz – zapewnił.

I rzeczywiście się nie ruszył. Gdy wróciłam – prawda, że spędziłam w łazience trochę więcej niż trzy minuty – mój mąż spał jak zabity snem sprawiedliwego.

Nie należy opierać się pokusom, gdyż nie wiadomo,
czy jeszcze kiedykolwiek się powtórzą.
Oscar Wilde

Kiedy nasza szefowa Gabriele Gerber była w złym nastroju, miała w zwyczaju nie tylko malować usta pomadką w kolorze brązowoczerwonym o takim odcieniu, że aż cierpła skóra, ale jeszcze do tego od wczesnego rana starała się jak mogła, żeby obrzydzić nam życie. Ale tego dnia była zupełnie nieświadoma faktu, że nic nie jest w stanie pogorszyć mojego nastroju.

– Kati, gdzie masz podsumowanie ankiet uczestników z oceną seminarium? – Naskoczyła na mnie, zanim jeszcze zdążyła zamknąć za sobą drzwi wejściowe. Wkroczyła do biura w obłoku zapachu Jil Sanders, moich ulubionych perfum do czasu zawarcia znajomości z tą harpią.

Przecież wiesz, bezlitosna poganiaczko niewolników, że wczoraj wróciłam do domu tuż przed północą! odszczeknęłam. Niestety, nie używając strun głosowych i nie wykonując żadnego ruchu wargami. Moja szefowa musiała odnieść wrażenie, że zwyczajnie patrzę na nią spode łba. *A potem, wyobraź sobie, nie miałam najmniejszej ochoty zarywać nocy z powodu opracowywania nikomu niepotrzebnych statystyk! Tak się składa, że mam jeszcze życie prywatne, co prawda niezbyt ciekawe, ale...*

– Czy chcesz powiedzieć, że jeszcze nie jest gotowe? – Gabriele Gerber mlasnęła językiem w taki sposób, jak tylko ona potrafi. Trudno opisać, jak to robi, ale gdy mlaśnie, momentalnie ma się nieodpartą potrzebę złapania jakiegoś twardego przedmiotu znajdującego się w zasięgu ręki i walnięcia jej w głowę zwieńczoną perfekcyjną fryzurą. – Przecież dziś jest pierwszy lutego, w związku z czym chciałabym punktualnie umieścić *online* naszą statystykę. Gdy wrócę z lunchu z Women’s Business Club, wszystkie materiały muszę mieć na biurku.

Mlaśnięcie.

Spróbowałam sobie przypomnieć, co radziłam uczestnikom mojego seminarium w kwestii przyjaznego komunikowania się w miejscu pracy. *Zawsze, w każdej sytuacji, zachowajcie spokój i bez względu na okoliczności nie dajcie się wyprowadzić z równowagi. Nawet nie próbujcie się bronić. Zachowujcie się*

przyjaźnie i konstruktywnie. Myślcie wyłącznie o WASZYCH celach. Nie róbcie żadnych wyrzutów i nie obrażajcie się. A przede wszystkim oddychajcie głęboko i uśmiechajcie się!

– Tobie również miłego dnia, droga Gabi. – Uśmiechnęłam się szeroko i przyjaźnie. – Podsumowanie zrobię zaraz po seminarium na temat zachowania równowagi pomiędzy pracą a życiem prywatnym, które prowadzę dziś po południu dla młodych przedsiębiorców.

To było *konstruktywne*, a ja byłam dobra.

Gabi zaczęła przewracać oczami w taki sposób, w jaki tylko ona potrafi, i przy tym znowu mlasnęła językiem. W tym momencie mój tęskny wzrok powędrował w stronę stojaka na parasole znajdującego się dokładnie naprzeciw... Stop! *Zawsze, w każdej sytuacji, zachowajcie spokój.* Nabrałam powietrza głęboko w płuca.

– A tak na marginesie, dzisiejsze seminarium ma tytuł *Opanowanie i skupienie w miejscu pracy.*

Młaśnięcie. Przewrócenie oczami. Boże, jak ona doprowadza mnie do szału!

– W przyszłym tygodniu mamy szkolenie na temat motywacji współpracowników poprzez pozytywne wsparcie. Gdybyś przypadkiem dysponowała czasem, proponuję, żebyś przyszła i posłuchała, o co chodzi – odparowałam. – Z pewnością wyjdzie ci to na dobre, bo się czegoś nauczysz.

No tak. W końcu jednak udało mi się wyprowadzić ją z równowagi obraźliwą radą. Zawsze to lepsze od złapania za stojak na parasole i przywalenia jej w łeb. Na samą tę wizję ponownie udało mi się przywołać uśmiech na twarz.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to uważam, że twoja etyka pracy wykazuje zdecydowanie za dużo opanowania!

Gabi ponownie mlasnęła. I to aż dwukrotnie. Po czym odwróciła się do Lindy, która stała za konsolą recepcji i zagryzała trwożliwie wargę. Z pewnością cały ten jej ezoteryczny krąg zwierzęcy, źródło siły, dawno schował się za jej plecami, drżąc ze strachu niczym osika. Nasz kolega Bengt Schneider, który akurat wyszedł z kuchni z filiżanką kawy w dłoni, próbował przemknąć się niepostrzeżenie do biurka, niezauważony przez szefową.

G&G Impulse Consulting z czterema pracownikami na etacie było znacznie mniejszą firmą, niż wynikało to z portfela naszych klientów

i zamówień na doradztwo oraz treningi. Mieliśmy więcej pracy, niż mogliśmy przerobić. Było jej tyle, że z powodzeniem starczyłoby jeszcze dla dwóch osób zatrudnionych na pełnych etatach. Jednak Gabi była zdania, że zarówno do życia prywatnego, jak i do weekendów przykłada się zdecydowanie za dużą wagę i wszystko, co nie wymaga siedemdziesięciopięciogodzinnego tygodnia pracy, należy traktować jako wakacje. Sama była tego najlepszym przykładem. Nigdy nie brała urlopu, a te trochę wolnego czasu, który sobie fundowała, inwestowała w siebie, by wyglądać tak, jakby dopiero co wróciła z dwutygodniowego pobytu na Malediwach. Dekolt, podkreślony kostiumem Armaniego, był zawsze pięknie opalony. We włosach prześwitywały jaśniejsze pasemka, sprawiające wrażenie, jakby je ozłociło słońce południowych plaż. A dla klientów miała zawsze promienny uśmiech, który wyczarowywała na sensacyjnie wypoczętej twarzy. Nie mieliśmy bladego pojęcia, ile ma lat, ale podejrzewaliśmy, że ta zadbana fasada skrywa wiek dobrze powyżej pięćdziesiątki.

Szefowa nalegała, żebyśmy nazywali ją Gabi. I tak też zwracaliśmy się do niej, gdyż było to nie do uniknięcia. Za to podczas jej nieobecności nazywaliśmy ją między sobą „nigdy niesypiającą babą” (w dobrych dniach) albo „krwiożerczą hrabiną z nad Renu” (gdy robiła piekło). Nawet Linda, przekonana, że w naszej szefowej tkwi jakieś ziarenko dobra, przyznawała w czasie piekielnych dni, że jest ono wyjątkowo głęboko i dobrze ukryte.

– Lindo, co to za koszmarnie infantylne warkoczyki? – zapytała Gabi.

– Dziecko tkwiące we mnie... – Linda nie dokończyła zdania, gdyż Gabi znowu zaczęła przewracać oczami. – Bengt powiedział – wystękała, decydując się najwidoczniej na inną wersję – że to urocza fryzura.

Musiałam przyznać, że całkiem sprytnie udało jej się skierować uwagę naszej harpii na nieszczęsnego Bengta, który słysząc swoje imię, tak się przeraził, że aż rozlał kawę.

– Niestety, nie mogę dopatrzeć się w tym, co masz na głowie, niczego uroczego. – Gabi znowu mlasnęła językiem. – Uczesz się porządnie. Wróć do biura w towarzystwie nowego klienta i nie chcę, żeby odniósł wrażenie, że trafił do przedszkola.

Linda posłusznie ściągnęła gumki z warkoczyków.

– Muszę uciekać – oznajmiła szefowa, rzucając okiem na zegarek na

przegubie ręki. Słyszając tę radosną wiadomość, z trudem powstrzymałam westchnienie ulgi. Nie potrzebowałam rozglądać się po biurze, żeby wiedzieć, że inni zrobili dokładnie to samo. – Dlaczego jeszcze nie ma Marlene? Należałoby sądzić, że po wolnym dniu można wstać punktualnie, a nie jak zazwyczaj zwlec się z łóżka wedle własnego widzimisię. Gdzie mój płaszcz?

– Tutaj! – Bengt pośpiesznie odstawił kubek z resztką kawy i pomógł krwiożerczej hrabinie włożyć elegancki kożuszek.

– To wcale nie był wolny dzień – sprostowałam oburzonym tonem, wiedząc, że w przypadku Gabi to zgoła niepotrzebny wysiłek. – Marlene była w szpitalu na endoskopii.

– Cokolwiek by było – kolejne popisowe młaśnięcie – będę koło jedenastej. Z klientem! W związku z czym dobrze by było, gdybyście sprawiali wrażenie nieco bardziej zmotywowanych. A ty, Bengt, masz się pozbyć tej plamy po kawie na koszuli.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, ty walnięta, niedopieprzona krowo – mruknął Bengt pod nosem. Ale dopiero wówczas, gdy za Gabi zamknęły się drzwi. – No proszę! Pewnie znowu mnie wysypie. Czy wiecie, że przyczyną większości chorób jest negatywny stres? To istny cud, że możemy jeszcze prosto chodzić! Musimy znosić to wszystko tylko dlatego, że tej kreatury nikt porządnie nie przeleciał. – Nasz kolega podwinął rękawy koszuli, by pokazać mi nadgarstek. – Popatrz! Swędzi jak zaraza. Poza tym wygląda na tyle paskudnie, że muszę się natychmiast zarejestrować do lekarza.

Musisz pobiec w inną stronę, poradził kot myszy,
po czym ją zjadł.

Franz Kafka

– Nic nie widzę – stwierdziłam zgodnie z prawdą, ale też dlatego, że nie zamierzałam umacniać Bengta w jego hipochondrii. Ten facet cierpiał nieustająco na jakąś, przeważnie śmiertelną, chorobę, którą się zaraził, przeglądając poradnik *Lekarz domowy*, względnie oglądając w telewizji show *Anatomia Greya*. Jak tylko zaburczało mu w brzuchu, momentalnie stwierdzał, że ma co najmniej złośliwego guza wątroby. Ostatnio był święcie przekonany, że zadziór skórki przy paznokciu jest niechybnie objawem

obecności *Streptococcus pyogenes*, mięsożernej bakterii, która prędzej czy później wyprawi go na tamten świat w sposób budzący grozę. – Skąd możesz wiedzieć, że jest niedopieprzona? Czy to widać?

– Proszę cię! – Bengt na sekundę oderwał przerażony wzrok od urojonej wysypki. – Oczywiście, że widać! Popatrz tylko, jak sztywno chodzi, jakby kij połknęła, niemal nie poruszając biodrami. I jak zjadliwie patrzy jej z oczu... Czy uważasz, że ktoś, kto się tak paskudnie zachowuje, właśnie wyskoczył z łóżka po udanym seksie?

– Może po nieudanym? – mruknęłam, zastanawiając się, czy może też chodzę sztywno jakbym kij połknęła, niemal nie poruszając biodrami. Z całą pewnością! Przecież powlokłam się sfrustrowana do łóżka po tym, jak nie udało mi się dobudzić Felixa pocałunkami. Felix musiał najwidoczniej przyjść do sypialni, gdy już spałam snem sprawiedliwego. I pojechał do pracy, zanim się obudziłam. Na poduszce po swojej stronie łóżka zostawił mi karteczkę, na której nagryzmolił typowymi lekarskimi kulfonami: *Do zobaczenia wieczorem. Spróbuję wrócić punktualnie. A przy okazji wyjaśnij możliwie jak najuprzejmiej ciciowi, że sam się zajmę ogrzewaniem.* Ha, ha, ha, bardzo śmieszne.

Linda wlepiła wzrok w gumki do włosów, które ciągle trzymała w dłoni, jakby zastanawiała się, skąd się tam wzięły.

– Jak tylko wyciągnęłam kartę z trzema mieczami, od razu wiedziałam, że będzie dzisiaj w podłym nastroju. A do tego śniło mi się, że wszyscy zapomnieli o moich urodzinach.

– A kiedy to? – zapytałam półzartem.

– W sobotę! – Linda nagle otworzyła szeroko oczy, w których wyraźnie odmalowała się zgroza. – Obiecałaś przecież upiec tort szwarcwaldzki z wiśniami.

– Doskonale pamiętam, kochanie!

– Błagam, zostaw sobie takie głupie żarty na inny dzień – westchnęła ciężko. – Marco nie zadzwonił, choć zostawiłam mu aż osiem wiadomości w poczcie głosowej. A do tego napisałam dwa cudowne maile. – Marco był aktualnym mężczyzną życia Lindy. Rzekomo roztaczał wokół siebie fascynującą tęczową aurę i był czymś najlepszym, co mogło jej się w życiu przydarzyć. W każdym razie zaraz po Janie, z którym zerwała przed sześcioma tygodniami. Marco, pomimo sensacyjnie znakomitej aury

i upojnego seksu, odzywał się pomiędzy poszczególnymi spotkaniami podejrzenie rzadko. – Będę musiała zapalić parę kadzidełek!

– A ja pójść do domu zmienić koszulę. – Bengt narzucił płaszcz. W drzwiach zderzył się z Marlene, która jak zawsze wyglądała znakomicie z rudymi lokami wymykającymi się spod wełnianej czapki, okalającymi różowioną twarz.

– No, nareszcie. Krwiożercza hrabina już się zdążyła stęsknić za tobą! – oznajmiłam. – Ja zresztą też. Dostałaś mojego SMS-a? Mam na myśli tego właściwego, którego wysłałam dziś rano.

– Dostałam – zachichotała. – Bengt, skarbie, chyba jeszcze nie wychodzisz? – Marlene objęła nieszczęśnika i pocałowała go w oba policzki, zanim zdążył się zorientować, czy nasza koleżanka nie rozsiewa przypadkiem żadnych wirusów katarowych albo jeszcze gorszego badzewia.

– Lepiej go nie dotykaj, bo możesz się zarazić. Prawdopodobnie ma półpaśca – powiedziałam stłumionym głosem.

– Idiotyzm – obruszył się Bengt. – Przecież półpasiec nie atakuje nadgarstków. – Spojrzał na mnie niepewnie, po czym skierował wzrok na Marlene. – *A może?*

– Tak dokładnie to nigdy nie wiadomo. – Wzruszyłam ramionami. Wypowiedziawszy te słowa, ugryzłam się przerażona w język. O mój Boże, byłam równie podła jak Gabi. I to tylko z powodu chronicznego niedopieprze...

– Bengt, muszę ci wysłać wynik endoskopii. Uwierz mi, przez cały czas cieszyłam się na to badanie! Wręcz nie mogłam się go doczekać. – Marlene puściła do mnie oko. – A poza tym nasza Katinka ma do opowiedzenia zabawną historię. Wczoraj porozsyłała SMS-y do niewłaściwych adresatów.

– Wracam za dwadzieścia minut i zamieniam się w słuch – zapewnił nasz śmiertelnie chory koleś, znikając w drzwiach. Czy przypadkiem nie powinnam mu pożyczyć kasety z *Mad Men*? Don Draper zawsze miał zapasową koszulę w szufladzie biurka.

– Pochrzanione SMS-y? Naprawdę? – Twarz Lindy momentalnie się rozjaśniła.

– Tylko jeden. I wcale nie pochrzaniony. Tylko dwuznaczny. – Oprałam łokcie na blacie kontuaru recepcyjnego, za którym królowała Linda. – Dużo gorzej, że wysłałam go temu facetowi od *human resources*, którego tyle co

spotkałam na seminarium. To był SMS przeznaczony dla Marlene. Napisałam w nim, że jego ludzie to aroganckie faje, ale za to on sam ma odlotowy tyłek.

Jak się spodziewałam, Linda i Marlene aż piszczały z radości.

– I wyobraźcie sobie, odpisał mi, że mój też jest niczego sobie.

– Tak, Mathias rzeczywiście ma poczucie humoru – potwierdziła Marlene, kierując się do kuchni po kawę. – I do tego jak wygląda! Sądzę, że wszystkie uczestniczki seminarium programowania neurolingwistycznego potrąciły dla niego głowy. Podobnie jak część uczestników.

– Och, uważasz – zmarszczyłam czoło – że to o moim tyłku to tylko żart?

Z jakiegoś niejasnego powodu poczułam rozczarowanie.

– Tak, ale zapewne i tak uznał, że to, na czym siedzisz, warte jest grzechu.

– Marlene uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Jestem tego samego zdania. Dałabym wszystko, żeby mieć taką maleńką zgrabną dupę jak twoja.

A zatem w porządku. Spodobała mi się myśl, że ktoś mógł ze mną flirtować. To znaczy ktoś inny niż obligatoryjny kretyn w pociągu albo głupawy cieć Fischbach.

– Hej! – Marlene dała mi łokciem kuksańca pod żebro. – W tym momencie powinnaś powiedzieć: Ależ Marlene, masz równie wspaniałe siedzenie jak Jennifer Lopez. A nawet jeszcze lepsze.

– Przecież sama doskonale o tym wiesz! Jesteś perfekcyjna od stóp do głów. I założę się, że Javier powtarza ci to co najmniej dziesięć razy dziennie. Albo ci to wyśpiewuje.

Wytatuowany od czubka głowy po same pięty Javier był Argentyńczykiem w wieku dokładnie trzydziestu lat, tym samym był dokładnie dziesięć lat młodszy od Marlene. Był gitarzystą i zarazem solistą w zespole nieodnoszącym żadnych sukcesów. Kiedy mniej więcej cztery lata temu wprowadził się do Marlene i jej córki Amelii, nikt nie dawał najmniejszych szans temu dziwacznemu związkowi. A ojciec Marlene nawet zagroził, że ją wydziedziczy. Prawdę mówiąc, na początku też byłam sceptyczna, ale jak dotąd nie zdarzyło się, żeby Javier zrobił coś, co zdenerwowałoby Marlene czy doprowadziło ją do płaczu.

– Popatrz tylko, jak wyglądasz! Jak promieniejesz od wewnątrz. Nawet po endoskopii. I nikomu nie przejdzie nawet przez myśl, że nie poruszasz biodrami.

Marlene uniosła brwi.

– Ach – machnęłam ręką – to taka teoria Bengta, który twierdzi, że od razu widać, kiedy kobiecie brakuje seksu... Taaak, zastanawiam się, czy on przypadkiem nie ma racji. Czy wyglądam twoim zdaniem jak... noooo... jak ktoś... no, jak ktoś, kto... komu, no wiesz...

– Kati! Coś dzwoni w twojej torebce! – Linda wrzeszczała z recepcji, jakby ktoś oblał ją wrzątkiem.

– Mam nadzieję, że to jakiś... jakiś tam... nooo... logopeda, który chce ustalić z tobą termin wizyty. – Marlene snuła domysły, podczas gdy ja grzebałam w torebce. Kiedy wreszcie udało mi się wyłowić komórkę, telefon zamilkł. Rzuciłam okiem na ekran i poczułam, jak mi serce przyspiesza.

– To on!

– Kto? – zapytały równocześnie Linda i Marlene.

– No, on... ten... ten facet od *human resources*... Mathias Lenzen.

– Jak to tylko Mathias, to dlaczego jesteś czerwona jak burak? – zainteresowała się Marlene.

– Bo... przecież nie jestem.

– No może trochę. – Linda przekrzywiła głowę, mrużąc oczy. – A twoja aura wykazuje właśnie kolorowe turbulencje. Przecież nie ma się czego wstydzić. To zupełnie normalne. W życiu ciągle spotyka się ludzi, do których czuje się pociąg. Przeważnie ma to związek z naszym poprzednim życiem. Wówczas nasze dusze umówiły się, że w ten sposób się rozpoznają, gdy na siebie natrafią w następnym wcieleniu.

– To naprawdę wysoce kreatywne uzasadnienie napalenia się na czyjś tyłek.

– Przecież niemal nie widziałam jego tylnej części ciała – próbowałam się bronić, co wywołało kolejny, jeszcze szerszy uśmiech Marlene.

– Tssss, Marlene, myśl sobie, co chcesz – zganiała ją Linda. – Tu chodzi o wzajemne przyciąganie się dusz, a nie... phhhi... o *cielesność*. Coś takiego nigdy by Kati nie przeszło nawet przez myśl. Ostatecznie jest mężatką. Prawda, Kati?

Musiałam mieć minę winowajcy, gdyż Marlene poczochnęła moje włosy.

– Wygląda na to, że musiał ci bardzo przypaść do gustu – zauważyła.

– Tak, bo był miły – odpowiedziałam, niepotrzebnie przybierając agresywny ton. – I dlatego że troszeczkę ze mną flirtował. Przynajmniej

mam nadzieję, że to był flirt. To było... zwyczajnie miłe.

– A potem zadzwonił. Ot tak sobie. Najwidoczniej twoja tylna część ciała również przypadła mu do gustu. Albo był to jakiś zawodowy...

– Przestań! Z pewnością nie oddzwonię. A już na pewno nie w waszej obecności.

Energicznym krokiem ruszyłam w kierunku biurka. Wszystkie nasze miejsca pracy, Bengta, Marlene i moje, znajdowały się w tym samym pomieszczeniu, Od lady recepcji, za którą królowała Linda, znajdującej się tuż koło drzwi wejściowych i dokładnie naprzeciwko kuchni, oddzielał nas tylko komplet wypoczynkowy i ścianka sięgająca do połowy wysokości pomieszczenia. Krwiożercza hrabina miała, chwała Bogu, własny gabinet. Poza tym mieliśmy jeszcze dużą salę seminaryjną, w której Linda ćwiczyła tai-chi, gdy Gabi nie było w biurze. Toalety były na zewnątrz, w korytarzu. Korzystaliśmy z nich wspólnie z sąsiednim biurem małej agencji reklamowej, której jeden z szefów z powodu brzemiennego w skutki spotkania w windzie stał się na krótko mężczyzną życia Lindy. Do momentu aż wyszło na jaw, że jest pedalem.

Linda i Marlene podążyły za mną.

– Ale to przecież nieuprzejmie nie oddzwonić – zauważyła Linda. – Człowiek czeka i zastanawia się, czy może zrobił coś nie tak, coś, co sprawiło przykrość. Nie pomyślałaś o tym?

– Tak, ale to dotyczy przypadku, gdy się było ze sobą w łóżku i gdy zostawiło się pięć wiadomości na automatycznej sekretarce albo w poczcie głosowej – odpaliłam poirytowana.

– Osiem – sprostowała Linda. – Zostawiłam Marco osiem wiadomości w poczcie głosowej.

– To co najmniej o jedną za dużo – mruknęła Marlene, na co Linda potrząsnęła głową.

– Osiem w ciągu trzech dni, przy czym zawsze mówiłam bardzo krótko. To przecież wcale nie tak dużo. I do tego nie robiłam mu żadnych wyrzutów. Zawsze było to moje osobiste przesłanie. Coraz bardziej się martwiłam, że coś mogło mu się stać. Znamy się od niedawna i w razie czego nikt by mnie nie zawiadomił, gdyby znalazł się nagle na oddziale intensywnej terapii. – Pociągnęła nosem.

– Ale ostatnio też milczał przez cztery dni – przypominałam sobie

zadowolona, że wreszcie przestałam być tematem rozmowy.

– To prawda, lecz wtedy był służbowo za granicą i nie mógł odbierać maili. No i nie działała mu komórka... i do tego jeszcze rozchorowała mu się matka...

– Zawsze gdy ludzie zaczynają mnie częstować nieustającymi wymówkami, robię się podejrzliwa – zauważyłam oględnie.

– A gdzież to on był za granicą? W Kongu? – zapytała Marlene.

W tym momencie znowu odezwała się moja komórka i zanim zdążyłam zareagować, Marlene sięgnęła do mojej torebki i wyłowiła z niej telefon.

– Chyba przesadzasz! – Tylko tyle zdołałam powiedzieć, zanim odebrała rozmowę.

– Sekundę – rzuciła do mikrofonu i podsunęła mi pod nos komórkę. Nie pozostało mi nic innego, jak się odezwać. Patrzyłam wściekła na przyjaciółkę, podczas gdy ona szelmowsko się uśmiechała.

– Mathias Lenzen. Czy przypadkiem nie przeszkadzam?

– Eee, przypadkiem... Nie, wcale nie. Tylko że komórka leżała... no... na biurku koleżanki. Dlatego... hmmm... no... halo raz jeszcze.

Pacnęłam się dłonią w czoło. Z ust Marlene wyraźnie odczytałam słowo „lo-go-pe-da”. Zauważyłam też, że Linda z niepokojem marszczy brwi. Z telefonem w dłoni skierowałam się do kuchni, pomimo że odbiór był tam zazwyczaj nieco gorszy. Linda i Marlene deptały mi po piętach. Były naprawdę okropne. Machnęłam ręką, dając im do zrozumienia, że mają sobie pójść do diabła, po czym odwróciłam się do nich plecami.

– Przykro mi z powodu tego wczorajszego SMS-a. To było zupełnie niezamierzone – próbowałam się usprawiedliwić, tłumiąc wszystkie „achy” i „ochy” oraz starając się robić jak najkrótsze przerwy pomiędzy poszczególnymi słowami. – Normalnie nie obgaduję uczestników seminariów, które prowadzę. Zdarza mi się to tylko w wyjątkowych przypadkach.

– W przypadkach gdy są równie beznadziejni jak ci wczoraj. – Co za miły, ciepły tembr głosu! Gdyby facet pracował w telefonicznym centrum kontaktów z klientami, to z całą pewnością wcisnąłby mi nawet koc elektryczny. Albo stały abonament uprawniający do udziału w losowaniach gier liczbowych.

– Właśnie. Sądzę... nie, nie byli znowu tacy całkiem beznadziejni. Tylko

troszeczkę aroganccy i wszystkowiedzący, jakby... Cholera jasna, teraz zapewne tylko pogarszam sprawę. Mam rację?

– Istotnie. – Usłyszałam śmiech po drugiej stronie. – Dla mnie większość z nich też jest niestrawna. – Co to za kliknięcie? Czyżby równocześnie pisał maila? – Ale dlaczego właściwie dzwonię...

– Tak? – Dlaczego przerwał?

– W najbliższy weekend będę w Kolonii. Bardzo bym się cieszył, gdyby znalazła pani czas i poszła ze mną na kawę. Albo na kieliszek wina, w zależności od tego, co pani woli.

Och! Byłam bardzo zadowolona, że Marlene i Linda nie widziały w tym momencie mojej twarzy, gdyż czułam, jak się czerwienię po same cebulki włosów.

– W najbliższy weekend? – powtórzyłam, by zyskać na czasie. W słuchawce usłyszałam w tle dzwoniący telefon.

– Tak, w sobotę lub w niedzielę... Proszę posłuchać, mam drugą rozmowę, którą muszę odebrać. Zadzwoń później. Tymczasem będzie się mogła pani zastanowić, czy ma pani czas.

Połączenie zostało przerwane. Roztrzęsiona odwróciłam się w stronę Marlene i Lindy.

– O nie! – jęknęła Marlene. – Ostatni raz miałaś taką minę, jak wylałaś colę na klawiaturę laptopa.

Opadłam na stołek, którego zazwyczaj używamy, gdy chcemy się dostać do górnych półek w szafkach, gdzie przechowujemy lepsze ciastka przeznaczone dla klientów i uczestników konferencji.

– Co powiedział? – Marlene usiadła na blacie, na którym przygotowywałyśmy zwykle coś do jedzenia.

– Że chce pójść ze mną na kawę – odpowiedziałam. – I że będzie w ten weekend w Kolonii.

– To miło z jego strony – stwierdziła Marlene.

– No, no! – padło z ust Lindy.

– Co robić? Zaraz znowu będzie dzwonił!

– No i w czym problem? Masz czas czy nie masz?

– Przecież nie w tym rzecz, Marlene.

– Bravo! I o to chodzi – zauważyła Linda. – Ostatecznie Kati ma męża.

– Zgadza się. – Marlene uniosła brwi. – Picie kawy po ślubie jest przecież

surowo zabronione.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. W końcu miała rację. Co jest niewłaściwego w pójściu z kimś na kawę?

– Pomiedzy pójściem na kawę i pójściem na kawę jest szalona różnica, Marlene. – Głos Lindy brzmiał zdecydowanie. I w tym też było sporo racji.

– Hę? – Reakcja Marlene była natychmiastowa.

– Kati już tam wie, o co mi chodzi. Prawda, Kati? Boi się otworzyć puszkę przekory.

– Hę? – zareagowała ponownie Marlene.

– Zapewne chodzi jej o puszkę Pandory – wyjaśniłam.

– No właśnie! – Linda dała mi kuksańca w bok. – Złaź, potrzebny mi taboret.

Wstałam z westchnieniem.

– Czy uważasz, że Kati ściągnie na świat diabła z piekła rodem, jeśli umówi się z Lenzem na kawę? – Słowom Marlene towarzyszyło rozbawione prychnięcie. – Czy przypadkiem nie twierdziłaś przed chwilą, że chodzi tu wyłącznie o dwie dusze, które umówiły się w poprzednim życiu, żeby się rozpoznać na wypadek ponownego spotkania?

Moralność to ciągła walka ze zbuntowanymi
hormonami.

Federico Fellini

– Ale wtedy nie miałam pojęcia, że chce się z nią spotkać, żeby pójść na kawę. I że na samo wyobrażenie o tej cholernej kawie zaczną jej się trząść kolana. – Linda wlaźła na taboret, żeby ściągnąć z półki dużą puszkę ciastek. – Nie to miałam na myśli.

– Ach, Linda...

– Żadne ach, Linda! Nie doszłoby do tego, gdyby nosiła obrączkę. Co za paskudny zwyczaj i co w ogóle ma oznaczać? Już od lat mnie to wkurza! Chodzi mi o to, że po co wymieniać się obrączkami, skoro się ich potem nie nosi? Przecież obrączka to żaden jakiś tam zakazany symbol. Obrączki są sygnałem informacyjnym i zarazem odstraszeniem, i tyle! – Energicznie rozerwała opakowanie. – Ile czasu zaoszczędziłoby się bliźnim, gdyby wszyscy nosili te parszywe obrączki! Ale dziś wkładają je tylko ci, z którymi nikt za żadne skarby nie poszedłby na kawę. Na zasadzie: Co prawda jestem

głupi i paskudny, ale mimo to udało mi się znaleźć kogoś na dobre i złe. Nie to co tobie! – Rozgoryczona wepchnęła sobie ciastko do ust. – To pfciesz sztraszne szfinstwo!

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że facet nie umówiłby się ze mną na kawę, gdyby wiedział, że jestem mężatką?

Linda przytaknęła.

– Gorszy byłby tylko Syzyf. Chyba że gość jest z tych notorycznie unikających trwałych związków, których mężatki uważają za szczególnie pociągających.

– Syzyf? – zdziwiła się Marlene.

– Sądzę, że chodziło jej o syfa – sprostowałam, będąc myślami zupełnie gdzie indziej. Moja uwaga jeszcze bardziej zbiła Marlene z tropu.

– Lindo, daj mi też ciastko, albo może lepiej dwa. A tak do twojej wiadomości: Nie mamy i nigdy nie mieliśmy z Felixem żadnych obrączek. Dziś można brać ślub bez nich.

– Naprawdę? Coś takiego powinno być prawnie zabronione – zdenerwowała się Linda.

– Wiesz już, co powiesz Mathiasowi? – Marlene posłała mi współczujący uśmiech. – Że nie możesz otworzyć puszki kawy Pandory, bo wyszłaś za Syzyfa? Chętnie bym była przy takiej rozmowie.

– I prawdopodobnie będziesz, gdyż w tym biurze nie ma za grosz prywatności – westchnęłam, spoglądając na zegarek. – Mogłabym wysłać mu po prostu SMS-a.

– Tak, to by miało klasę – stwierdziła Marlene.

– Skończ już. Przecież nie poprosił mnie o rękę, tylko zaprosił na kawę – warknęłam, czując nagłą złość na siebie. – Nie złamię mu serca, jeśli zwyczajnie nie będę miała czasu. Ta cała heca to przecież totalna dziecinada!

– Wyjęłaś mi to z ust – powiedziała Marlene, przewracając oczami.

Jak na zawołanie rozległ się dzwonek komórki. Dławiąc się ciastkiem, które utknęło mi w gardle, pognałam na korytarz.

– Bądźcie uprzejme nie ruszać się stąd – rzuciłam przez ramię, wychodząc.

– Dobra, ale przekaż mu przynajmniej serdeczne pozdrowienia od Syzyfa – usłyszałam głos Marlene.

– Nie wolno żartować z choroby – dotarł do mnie głos Lindy. Wzięłam

głęboki oddech. Najwyższy czas, żeby przestać się zachowywać jak dziecko.

– Kati Wedekind!

– Mathias Lenzen. To znowu ja! – Czy ten gość zawsze jest w dobrym nastroju, jak to wynika z jego głosu? – Sprawdziła pani w kalendarzu, czy ma pani czas w weekend?

Ponownie wzięłam głęboki oddech.

– Chętnie poszłabym z panem na kawę, ale niestety nie mam ani jednej wolnej chwili. Cały weekend mam napakowany terminami.

Krótką ciszą, po czym wybuch śmiechu.

– I co w tym takiego śmiesznego? – Zadając to pytanie, rozejrzałam się, szukając wsparcia Lindy i Marlene. One jednak, zgodnie z nakazem, zostały w kuchni.

– Mam wrażenie, że braliśmy udział w tym samym seminarium: „Jak powiedzieć NIE, nie dając komuś równocześnie obuchem w łeb”. – W słuchawce ciągle słychać było jego śmiech.

– Eeeech... Cholera jasna!

– Naprawdę imponujące. Stosuję ten zwrot co najmniej trzy razy dziennie. „Jak najchętniej dałbym pani podwyżkę, ale niestety, koncern nie przewiduje obecnie nawet najmniejszej zmiany widełek płacowych”. To paskudne słowo „ale” jakoś nigdy nie może mi przejść przez gardło. – Trochę się uspokoił. – A zatem chętnie poszłaby pani ze mną na kawę?

– Oczywiście – potwierdziłam. *Nawet nie ma pan pojęcia jak bardzo.* – Ale niestety ten weekend naprawdę mam napakowany obrzydliwymi terminami. – Znowu nabrałam powietrza w płuca. Zachowywać się jak osoba dorosła było trudniejsze, niż sądziłam. Następnego zdania naprawdę nie zamierzałam powiedzieć, ale słowa jakoś same cisnęły mi się na usta. – Ma... Mamy zaproszenia aż na dwa przyjęcia urodzinowe – dorzuciłam bezlitośnie. – Przy czym jedno tak okropne, że gwarantowany na drugi dzień kac to czysta przyjemność w porównaniu z poprzednim wieczorem. Poza tym muszę jeszcze upiec tort na inne urodziny. I do tego musimy kupić kanapę. A na niedzielę jesteśmy zaproszeni na obiad do teś... – To słowo najwyraźniej nie chciało mi przejść przez gardło. – To znaczy, do teściów. No i przypada nasza kolejność mycia klatki schodowej.

Znowu milczenie po drugiej stronie.

– Jak widać, ten weekend rzeczywiście ma pani bardzo zajęty – stwierdził.

Pomimo że cała zamieniłam się w słuch, nie stwierdziłam żadnej zmiany tonacji głosu mojego rozmówcy. Cały czas słyhać było rozbawienie i pogodny ton. – Naprawdę szkoda. Ale może uda nam się spotkać, gdy będę w Kolonii następnym razem.

Linda miała świętą rację: gorszy byłby tylko syfilis. W tle znowu zaczął dzwonić telefon.

– Albo da mi pani znać, jak znowu będzie się pani wybierać do Berlina. Dobrze?

W porządku, jeśli o mnie chodzi. To był również jeden z tematów poruszanych na naszym seminarium. *Jeśli chce się kogoś skutecznie zwodzić obietnicami: na przyszłość, na później, kiedyś tam, wówczas idealne są...*

– Z pewnością dam znać – powiedziałam, miotając się pomiędzy ulgą i rozczarowaniem. – A zatem... cóż... do zobaczenia!

– Do zobaczenia!

Z głębokim westchnieniem opuściłam dłoń, w której ścisnęłam komórkę. Marlene i Linda wychyliły głowy z kuchni. Było oczywiste, że słyszały każde słowo.

– Wspaniale to rozegrałaś – stwierdziła z uznaniem Linda.

– Tak, byłaś naprawdę znakomita. Tylko pytanie, dokąd dojdziemy, rezygnując z każdej niewinnej przyjemności? – zapytała Marlene.

Uważałam, że zachowałam się idiotycznie.

– Wiesz co? – Linda uśmiechnęła się do mnie promiennie. – Właśnie tej lekcji chciał ci udzielić wszechświat: Czasami bywają pokusy, którym trzeba się oprzeć. Ciasteczko?

– Ta-da-da! – rozległ się głos Bengta, który pojawił się w drzwiach przyodziany w świeżą koszulę. – Czy może coś mnie ominęło?

Sumienie jest jak niekończąca się wizyta teściowej.
Henry Louis Mencken

To był ostatni moment, w którym powinnam była zapomnieć o Mathiasie Lenzenie. Ale rzecz miała się dokładnie odwrotnie. Nie potrafiłam przestać o nim myśleć. Równocześnie dręczyło mnie z tego powodu coraz większe poczucie winy. Być może lepiej by było, gdybyśmy się jednak spotkali? Wówczas być może stwierdziłabym z ulgą, że wcale nie jest z niego takie cudo, jak sobie wbiłam do głowy. A gdyby nawet, to przecież chyba można pójść na kawę ze wspaniałym mężczyzną, nie doprowadzając przy tym do ciągu zdarzeń na miarę greckiej tragedii? I czy należy mieć od razu wyrzuty sumienia tylko dlatego, że się myśli o innym facecie?

Potrzebowałam natychmiast trzeciej opinii w tej kwestii. Wracając do domu z seminarium, zadzwoniłam więc do Młodych Kobiet Przedsiębiorców (które nawiasem mówiąc, wcale nie były takie znowu młode), gdzie pracowała moja siostra Ewa. Po pierwsze, ucieszyła się jak zawsze, słysząc mój głos (najwidoczniej byłam jedyną osobą, której miała odwagę się wypłakać w kwestii swojego nieprzyzwoicie perfekcyjnego życia), a po drugie, posiadała wrodzoną mądrość i z pewnością potrafi mnie uspokoić. Ewy z pewnością niczego nie nauczyły ani złe decyzje, ani złe doświadczenia, które rzekomo są najlepszym sposobem na to, by zmądrzeć, gdyż moja siostra była na tyle mądra, że od razu robiła wszystko dobrze i zawsze postępowała właściwie. W ciągu trzydziestu siedmiu lat życia udało jej się w godny podziwu sposób uniknąć osobistych kryzysów oraz katastrof. Jej egzystencja składała się wyłącznie z niemalże perfekcyjnych dni. Z wyjątkiem wesela, o którym zawsze mówiło się w rodzinie TO WESELE. Ale to nie była wina Ewy, że akurat w tym dniu wszystko poszło nie tak, jak powinno, lecz – żeby wspomnieć tylko kilku winowajców – paskudnej pogody, przyszłych teściów, firmy cateringowej i KOSZMARNEJ CIOTKI.

W rodzinie mamy zwyczaj wszystkie okropieństwa wyrażać przy użyciu WERSALIKÓW i mówić o nich ściszym głosem. Przykładowo wszyscy doskonale wiedzą, że TEN POKÓJ oznacza rupieciarnię w domu rodziców, a TEN PIES teriera sąsiadów. KOSZMARNA CIOTKA była natomiast

koszmarna do tego stopnia, że wszyscy zdążyli zapomnieć, jak ma na imię. Natomiast TA SKRZYŃKA POCZTOWA zasłużyła na wersaliki dlatego, że zatrzymałam się na niej w wieku siedmiu lat, próbując karkołomnej jazdy na rowerze bez trzymania. Walnęłam w nią, i to tak skutecznie, że wylądowałam w szpitalu z ciętą raną na czole, na którą trzeba było założyć aż siedem szwów.

Doświadczenie to miano, którym każdy nazywa
popelnione błędy.

Oscar Wilde

– Od wpół do drugiej do wpół do szóstej był całkowicie obudzony i chciał się bawić w kangurze skoki. – Ewa ziewnęła. Od urodzenia przed dwoma laty synka Henriego niemal nie była w stanie stłumić ziewania podczas rozmowy. Notoryczny brak snu był jedynym mankiem w bilansie jej perfekcyjnego życia.

– A cóż to za zabawa?

– Henri sam ją wymyślił. Trzeba podskakiwać, podrzucając równocześnie pluszowego kangura, i wykrzykiwać „oink, oink”.

– Oink, oink?

Tymczasem weszłam do supermarketu i pchałam wózek w kierunku stoiska z warzywami. Choć zdawałam sobie sprawę, że Gabi czeka jeszcze w biurze na opracowanie idiotycznego podsumowania ankiet uczestników z oceną seminarium i prawdopodobnie jutro z samego rana okrutnie mnie sponiewiera, postanowiłam zrobić sobie wolne. Wreszcie spędzimy z Felixem cały wieczór, a nie tylko jakieś marne chwile.

– Tak. Ponoć taki dźwięk wydają kangury. W każdym razie tak właśnie kwiczą w naszym dziecięcym pokoju – wyjaśniła moja siostra. – Gdy gasimy światło, mały tak się drze, że boimy się, że pani Luchsenbichler zadzwoni do urzędu ochrony praw dziecka. Więc... no cóż... z całą pewnością nie dostaniemy medalu za konsekwencję.

– Oink – wyrwało mi się współczująco.

Grzebałam w pęczkach zielonych cebulek z niezłomnym postanowieniem, że począwszy od dziś, zaczynamy się odżywiać racjonalnie i przestajemy opychać jedzeniem na wynos. Jednym słowem kończymy z wygodnictwem i zaczynamy z kulturą jedzenia. Dokładnie w samo południe

zadecydowałam, że potrawy indyjskie, włoskie, tureckie czy tajlandzkie będziemy spożywać wyłącznie w wyjątkowych przypadkach. Żeby być precyzyjną: moja decyzja zapadła po lekturze artykułu w „Cosmopolitan”, w którym twierdzono, że staranne przyrządzanie wspólnych posiłków wnosi sporo romantyzmu w szarą codzienność życia małżeńskiego.

– Czy przynajmniej podrzemywał w ciągu dnia?

– Coś ty?! Pospał tylko dziesięć minut w samochodzie... – W tle coś skrzypiało i grzechotało. Prawdopodobnie Henriemu znowu udało się opróżnić kolejną szufladę. – Robert uważa, że to nie nasze dziecko, tylko jakiś pozaziemski robot, którego nam podrzucono. Chętnie bym ci go dała do telefonu, ale właśnie cudownie się bawi. I wygląda tak słodko, gdy mówi to swoje „oink, oink”. Przemailuję ci jutro nowe zdjęcia.

– Ewa, czy zdarza ci się od czasu do czasu flirtować z innymi mężczyznami? – zapytałam. – Mam na myśli: tak dla zabawy?

– A to dopiero nagła zmiana tematu. Czy u ciebie i u wymarzonego doktora wszystko w porządku?

– Oczywiście. Jestem tylko, no tak trochę... w filozoficznym nastroju. A więc flirtujesz?

– Jak miałabym flirtować z innymi? – prychnęła Ewa. – Zlituj się, z jakimi innymi? Przez trzy przedpołudnia w tygodniu pracuję w podstawówce, gdzie nauczycielkami są wyłącznie kobiety. Jedyny mężczyzna to woźny, który – obawiam się – nawet gdyby był trzydzieści lat młodszy i tak nie byłby w moim guście. Resztę czasu spędzam z małym dzieckiem, które uparczywie nazywa mnie „muu-muu” i chyba nie muszę ci mówić, z czym mi się to kojarzy. A kiecki przy każdej nadarzającej się okazji dekoruje mi wszystkimi możliwymi plamami, jakie tylko potrafisz sobie wyobrazić. W takiej sytuacji i na tym przedmieściu można tylko twierdzić, że się ma szczęście, że wybór mężczyzn, z którymi można poflirtować, gdyby na coś takiego przyszła ochota, kształtuje się na poziomie minus pięć. Ale czekaj! Zupełnie zapomniałam o tej łysej pale w supermarkecie, który zawsze mówi do mnie „dzień dobry, pani Ewuniu”. Niestety jego uśmiech wyraźnie się oziębził, od czasu gdy Henri zrzucił z regału słoiki z owocami. No i w naszej grupie matek organizujących wspólne zabawy dla dzieci jest jeszcze Bernd, który zawsze patrzy mi głęboko w oczy. Żywy dowód na to, że seksowni ojcowie i mężczyźni prowadzący dom są niczym innym jak tylko miejskim

mitem. A, jeszcze do tego nasz listonosz jest kobietą.

Zachichotałam.

– A nie brakuje ci czasem tego?

– Jedyne, czego mi brakuje, i to nie czasem, ale notorycznie, to sen. – Ponownie ziewnęła. – No i talii. Ale skoro już pytasz, to tak, brakuje mi. I gdybym była na twoim miejscu, wykorzystywałabym każdą okazję, żeby sobie poflirtować, do czasu aż nie będzie ci się pętać między nogami mały dzieciak, i jak długo nie będziesz uważała, że wyglądasz jak opos. A tak poważnie: małżeństwo jest nawet całkiem do wytrzymania, gdy od czasu do czasu jakiś mężczyzna da ci poczucie, że jesteś wspaniała. Zakładam, że o to chodziło w twoim filozoficznym pytaniu?

– Uhmhm! – Czasami mądrość mojej siostry trochę mnie przerażała. Ale jej słowa podziały na moją duszę niczym balsam. Że też nie zadzwoniłam do niej od razu, zamiast dać się ogłupić złemu sumieniu i Lindzie. – Jeszcze jedno... jak to jest właściwie z tą puszką Pandory?

– Też, naturalnie, w miarę możliwości nie należałoby otwierać – powiedziała Ewa, przechodząc do porządku nad moim pytaniem. – Przecież żaden rozsądny mąż nie powinien mieć nic przeciwko temu, że jakiś inny mężczyzna od czasu do czasu trochę za niego popracuje.

– *Popracuje?*

– To nie to, o czym myślisz, kochana Pandorko. Mam na myśli nasze parszywe kobiece poczucie własnej wartości, za które obarczamy winą mężczyzn. To naprawdę dla faceta katorżnicza praca wciąż dawać żonie do zrozumienia, że jest cudowna. A im dłużej jest się po ślubie, tym trudniej to przychodzi. Co prawda Robert nieustannie powtarza, że mnie kocha, i twierdzi, że jestem równie pociągająca jak w dniu, w którym mnie spotkał. Ale wcale mu nie wierzę. W ani jedno słowo. W głębi duszy czekam jednak na to, że pewnego dnia nazwie mnie krową „muu-muu”.

– Z pewnością nie Robert. To do niego niepodobne – zaprotestowałam.

– Wystarczy sama myśl, że mógłby to zrobić. Co właściwie chcę przez to powiedzieć? Że jeden drobny flircik z kimś obcym pięćdziesiąt razy lepiej wpływa na wzrost poczucia własnej wartości niż dziesięć komplementów i zapewnień o miłości własnego męża. Jasne, to bardzo nefajnie, że potrzebujemy czegoś takiego. Tak się jednak składa, że nasza generacja jest na tym punkcie totalnie porąbana. Robert zawsze prawi mi niekończące się

kazania o braku miłości własnej i o wynikających z tego projekcjach rzutujących na partnera. – Roześmiała się. – Uważam, że to był głupi pomysł wychodzić za mąż za psychiatrę. Zawsze chce, żebyśmy rozmawiali o problemach. Ohyda. A ty jaki masz problem, kochanie?

– Tak naprawdę to dokładnie sama nie wiem – przyznałam szczerze, ścisząc głos. – Jedyne zadaję sobie pytanie... Ach, pewnie dlatego, że za rzadko z Felixem chodzimy do łóżka. I to wcale nie z mojego powodu. To znaczy, z mojego w co najwyżej dziesięciu procentach.

– Och – wyrwało się Ewie. – Ale chyba nie chodzi o impotencję?

Energicznie potrząsnęłam głową, czego Ewa naturalnie nie mogła zobaczyć.

– Ani nie chcesz powiedzieć, że przestałaś depilować nogi albo zaczęłaś sikać przy otwartych drzwiach łazienki, albo że chodzisz spać w lokówkach?

– Nie, coś ty. To coś więcej... jak by ci to powiedzieć... No wiesz, dla Felixa seks po prostu przestał być ważny! – Chociaż niemal szeptałam do słuchawki, gdy padło słowo „seks”, wszyscy ludzie w supermarkecie odwrócili się jak na komendę w moją stronę. Popychając przed sobą wózek, czym prędzej czmychnęłam w zupełnie pustą alejkę z konserwami. – To tak, jakbym mu za każdym razem musiała przypominać, że przecież ja... no, że przecież jestem.

– Felix to typ roztargnionego profesora. Dokładnie jak Robert – stwierdziła Ewa – który jak tylko wyjdzie z domu, momentalnie zupełnie zapomina, że ma żonę i syna. Widać to po zakupach, kiedy przynosi do domu *jeden* jogurt. I dopiero gdy zobaczy mnie w kuchni, przypomina mi się, że jednak istniejemy. O rany, zgadza się, przecież jest i Ewa. Jak fajnie. Aha, zaraz, zaraz, przecież mamy jeszcze ze sobą dziecko. Doprawdy niewiarygodne.

– I wtedy rzuca ci się szczęśliwy na szyję...

Ewa nie zaprzeczyła, co sprawiło, że westchnęłam.

– Widzisz, i tak to już jest. Może to moja wina. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie kupić sobie podwiązek albo może zapisać się na kurs tantry, albo kulinarnej sztuki gotowania afrodyzjaków... – W tym momencie na drugim końcu linii rozległ się ogłuszający wrzask, który sprawił, że zaniemówiłam. Wyglądało na to, że Henri przytrzasnął sobie rękę szufladą. Co najmniej. – Mam nadzieję, że nie macie nigdzie na wierzchu maszynki

do krojenia chleba?

– Kati, bardzo niechętnie się wtrącam i daję rady, ale najlepiej by było, gdybyś porozmawiała z Felixem, zanim zaczniesz kupować ostrygi. – Ewa musiała krzyczeć, żeby przekrzyczeć wrzask dziecka, którego poziom wzrósł jeszcze o ładnych parę decybeli.

– Na Boga, Ewa, zrób coś! Przecież musi go potwornie boleć!

– Nie, nic go nie boli. Ma tylko swój napad wściekłości, bo nie potrafi zamknąć okrągłym wieczkiem prostokątnego otworu puszki. Muszę kończyć, bo chcę mu zrobić zdjęcie. Henri wygląda jak wujek Eberhard wtedy, gdy mu się przydarzyła ta historia z NIESZCZĘSNĄ ŚWINKĄ MORSKĄ... Brakuje mu tylko wąsów. – Pisk osiągnął rozmiar apokaliptyczny. Należy bardzo podziwiać Ewę, że żyjąc w takim piekle, ani razu nie nazwała synka TYM DZIECKIEM. – Zadzwoń znowu, dobrze? Wiesz, że można nas zastać codziennie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kocham cię.

– Ja ciebie też – powiedziałam, czego Ewa już nie mogła usłyszeć.

Rozmowy są niczym podróże statkiem.
Nim się spostrzeżemy, oddaliliśmy się od lądu,
i dopiero gdy znajdujemy się na pełnym morzu,
nagle odkrywamy, że straciliśmy z oczu brzeg.
Nicolas de Chamfort

Przygotowany przeze mnie kurczak w sosie cytrynowo-szczypiorkowym z ryżem nie do końca wyszedł tak, jak to przewidywał przepis. Głównym powodem był brak cytryny, którą zapomniałam kupić. Próbowałam naprawić to niedopatrzenie podlaniem kurczaka podwójną ilością białego wina, co dało całkiem niezły efekt. Problem w tym, że kosztując potrawę, lekko się zanietrzeźwiłam. Wszystko jedno! Jeśli tylko sos będzie się dostatecznie długo gotował na wolnym ogniu, po alkoholu nie zostanie ani śladu. A wyglądało na to, że potrwa to jeszcze jakiś czas, gdyż dokładnie na pięć minut przed zaplanowanym powrotem do domu mój mąż zadzwonił z wiadomością, że pogorszyło się jednemu z jego onkologicznych pacjentów i w związku z tym trochę się spóźni. Pacjenci onkologiczni to z reguły ludzie poważnie chorzy na raka. Czy w tej sytuacji miałam prawo czynić Felixowi wyrzuty, że przesunął mnie na dalszy plan? *Co? Uważasz, że ważniejszy jest pijany kurczak niż rozmowa z pacjentem, który ma przed sobą raptem dwa miesiące życia, o jego zaatakowanych gruczołach ślinowych?*

– Żaden problem – zauważyłam miękko. – I tak nie jestem jeszcze gotowa z obiadem.

– To naprawdę nie potrwa długo – zapewnił mnie Felix. Zawsze tak twierdzi, kończąc tego typu rozmowy. I prawdopodobnie wierzy w tę bzdurę. Ale czasami odnoszę wrażenie, że początkujący lekarze nauczyli się tego zdania na pamięć, zanim jeszcze przystąpili do pierwszego egzaminu na studiach medycznych.

Przykryłam pokrywką garnek z ryżem, dołałam trochę śmietany do sosu i nastawiłam palnik na najniższą temperaturę. Postanowiłam wykorzystać czas i wziąć kąpiel, zanim pojawi się Felix. Być może uda mi się też polakierować paznokcie u nóg. A może nawet ponownie zadzwonić do Ewy. Koniecznie chciałam jej opowiedzieć o odrzuconym zaproszeniu na kawę

i usłyszeć, co ma na ten temat mądrego do powiedzenia.

Ledwie weszłam do ciepłej wody i poczułam na karku delikatne łaskotanie piany, odezwał się dzwonek u drzwi. Zanurzyłam się nieco głębiej. Postanowiłam nie otwierać, niezależnie od tego, kim był intruz. Nie teraz. Jeśli pani Heidkamp z dołu znowu potrzebowała jajek, to jej problem. Ponownie rozległ się dzwonek. Przemknęło mi przez myśl, że być może któryś z lokatorów odebrał przeznaczoną dla nas paczkę. Czasami Felix zamawiał jakieś części do roweru wyścigowego. Albo mama od czasu do czasu wysyłała nam z Münsteru paczki żywnościowe z czekoladą, kawą i robionymi na drutach skarpetkami. Paczka czy nie, nie byłam w stanie wyjść z ciepłej kąpieli. Było tak przyjemnie. Jednak całą przyjemność szlag trafił, gdy usłyszałam znajome szcęknięcie zamka, typowe dla otwierania drzwi.

Zamarłam, nasłuchując. Tak, to wyraźnie kroki w przedpokoju. A teraz ktoś postawił coś ciężkiego na podłodze. O mój Boże. W panice zaczęłam się rozglądać za czymś, co ewentualnie mogłoby mi posłużyć do obrony. Lecz wszystko, co miałam w zasięgu wzroku tudzież ręki, zupełnie nie nadawało się do walki z rosnącym zbrojem. Nie mogłam przecież obezwładnić włamywacza rolką papieru toaletowego. Albo zmusić go do ucieczki pachnącymi solami do kąpieli. Co prawda pryśnięcie w oczy perfumami Un Jardin sur le Nil z pewnością nie należało do przyjemności, ale rozpylany strumień nie miał specjalnie dużego zasięgu. W efekcie włamywacz pachniałby dużo lepiej po obrabowaniu nas niż przed złożeniem nam wizyty. Ale gdyby tak udało mi się przekraść cichuteńko do szafy i wyciągnąć z szuflady nożyczki do strzyżenia włosów... Ostrożnie, żeby nie spowodować nawet najmniejszego szmeru, uniosłam się w wannie. Gdy się poruszałam, miałam wrażenie, że pękające bąbelki piany powodują większy huk niż eksplodujący granat.

Włamywacz najwyraźniej czuł się bezpiecznie, sądząc, że nikogo nie ma w domu, gdyż plądrując mieszkanie, gwizdał pod nosem jakąś melodię. Nagle jego kroki zaczęły się zbliżać do drzwi łazienki. Zauważyłam ruch klamki.

– Stać i nie ruszać się! – wrzasnęłam. – Jestem uzbrojona, a policja jest już w drodze.

Dopiero teraz przyszło mi na myśl, że mogłam przecież zadzwonić na

policję, gdyż telefon przez cały czas leżał tuż koło wanny.

W tym momencie drzwi się otworzyły i przez powstałą szczelinę włamywacz wetknął do środka ohydny gębę, po czym zaczął lustrować mnie beczelnym wzrokiem od stóp po sam czubek głowy. Zaskoczona stwierdziłam, że jest kropka w kropkę podobny do mojego szwagra Floriana, brata Felixa.

– Kati? Sądziłem, że nikogo nie ma w domu. Dzwoniłem dwa razy, ale nikt się nie odzywał.

– Ccc... Co tu, u diabła, robisz? – zapiszczałam i najszybciej jak tylko mogłam, wskoczyłam na powrót do wanny. – Od jak dawna masz klucze do naszego mieszkania?

Florian, rzecz jasna, jak gdyby nigdy nic wepchnął się do łazienki i odruchowo spojrzął w lustro. Mój szwagier był łudzaco podobny do Felixa. Stanowił wymuskaną, elegancką odmianę mego małżonka. Jego faliste, miękko układające się włosy miały ten sam jasnobrązowy odcień. Oczy miał równie szare, a brwi z natury krzaczaste. Jednakże Florian depilował je w gabinecie kosmetycznym dla mężczyzn. Dlatego nie były w takim nieładzie i tak potargane jak u Felixa, lecz bardzo zadbane. Generalnie na pierwszy rzut oka sprawiał o wiele bardziej męskie wrażenie niż brat, co podkreślały jeszcze perfekcyjnie leżące na nim modelowe ciuchy od najlepszych projektantów mody. Całość uzupełniała wyrazista twarz, na której nawet zmarszczki sprawiały wrażenie, jakby ktoś je obrobił w Photoshopie, celem nadania im prawidłowej głębości.

– Felix dał mi klucze, żebym mógł zostawić u was whisky na urodziny Gereona – powiedział niedbale, jakbyśmy oboje siedzieli naprzeciw siebie w pokoju. – Udało mi się wylicytować superbutelki. Linkwooda z 1939 roku i Glenlivet z 1948. Obie praktycznie nieosiągalne, i do tego jeszcze nieprawdopodobnie taniutkie.

Aż pękał z dumy, promieniując zadowoleniem do tego stopnia, że miałam wrażenie, jakby jego wybielone zęby rozjaśniały łazienkę niczym punktowy reflektor.

Każdy sprawia nam przyjemność na swój sposób:
jedni wchodząc do pokoju, a drudzy go
opuszczając.

Herman Bang

Obiema rękami zagarniałam pianę na piersi, obserwując go spode łba, co wcale mu nie przeszkadzało.

– Gereon zdębieje, gdy zobaczy, cośmy mu kupili – kontynuował. – A że udało mi się sporo zaoszczędzić, mogłem sobie pozwolić na dorzucenie jeszcze skrzynki z sześcioma butelkami dwudziestopięcioletniego Maccallana! W sumie wyszło to trochę drożej, niż planowałem, ale Felix z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu. Po pierwsze, Gereon jest naszym najlepszym przyjacielem, a po drugie, też coś z tego uszczkniemy. Właściwie zamierzałem przynieść to już w południe, ale jakoś nie wyszło i tymczasem zrobiło się trochę późno.

Starałam się, by moje spojrzenie przybrało jeszcze bardziej ponury wyraz. Na mojej skali antypatii Florian plasował się dokładnie na tym samym miejscu co moja szefowa i była przyjaciółką Felixa Lillian (nazywana TĄ EKS). Ale jeśli chodzi o tamtych, to mogłam przynajmniej twierdzić, że nigdy mnie nie widzieli nago.

Florian podał mi ręcznik.

– Szaleństwo, prawda? Dwudziestopięcioletni Maccallan z 1971, i do tego jeszcze sześć butelek.

– Z 1971? Możesz mnie spokojnie utopić, ale według moich obliczeń to przecież czterdzieści lat, a nie dwadzieścia pięć – zauważyłam, ignorując ręcznik na tyle, na ile to było możliwe. Chyba nie sądził, że na jego oczach wyjdę z wanny jak mnie Pan Bóg stworzył i zacznę się wycierać?

Florian przewrócił oczami.

– Nie masz bladego pojęcia o whisky. Coś ci powiem: butelka rocznika 1971 już w 2002 roku kosztowała swobodnie jakieś dwieście sześćdziesiąt euro. A teraz trzeba za nią zapłacić nawet powyżej pięciuset. Za dziesięć lat ten rocznik będzie wart majątek. Pomijając fakt, że ma fantastyczny smak. A poza tym tak się składa, że 1971 to rok urodzin zarówno Gereona, jak i Felixa. Jeśli to nie jest oryginalne i w dobrym stylu, to niech mnie szlag trafi! Dlatego też, nie patrząc na cenę, od razu kupiłem dodatkowo pięć butelek dla Felixa i dla mnie jako lokatę kapitału.

– Co za troskliwość – zauważyłam sarkastycznie.

Florian bez przerwy kupował coś dla Felixa, i co ciekawe, Felix co prawda za wszystko płacił, ale nigdy nie widziałam, żeby kiedyś czegokolwiek z tych zakupów użył, czy też z nich skorzystał. Typowym przykładem była żagłówka

cumująca obecnie w Kilonii, którą Florian, Gereon i Felix kupili wspólnie w równych częściach. Rzecz w tym, że Felix spędził na niej najwyżej cztery dni.

Florian stał nad wanną, wymachując ręcznikiem.

– No, wyłaźże wreszcie, bo chce mi się sikać. Odwróć się, jeśli wstydzisz się swoich pseudopiersi.

Co za niewychowany cham. Po pierwsze, to moja łazienka i nikt tu nie będzie mną dyrygował, zwłaszcza jakiś włamywacz. A po drugie, mój biust wcale nie był taki znowu pseudo. Co najwyżej w porównaniu z podwójnym 70 D, typowym rozmiarem, jakim z reguły mogły się wykazać liczne przyjaciółki mojego uroczego szwagra.

– Nie – stwierdziłam kategorycznie. – Zostaję w wannie! Tylko co do niej weszłam. Dosłownie na minutę przed twoim włamaniem. A jeśli koniecznie musisz sikać, to ja się odwróć, żebyś mógł bez skrępowania wyciągnąć swojego mikrosiusiaka.

Teraz z kolei Florian spojrzał na mnie spode łba.

– Kati w całej okazałości, pruderyjna i wredna. Wiesz, że to właśnie kobiety twojego pokroju skutecznie zniechęciły mnie do małżeństwa? Takie jak ty mnie przerażają – powiedział, ponownie odwracając się do lustra, by sprawdzić fryzurę. Najwidoczniej wcale go tak znowu bardzo nie przypiliło albo rzeczywiście to, co się kryło w jego spodniach, było mikroskopijnych rozmiarów.

– Wcale nie musisz się bać kobiet mojego pokroju – zapewniłam – gdyż żadnej z nich nawet by przez myśl nie przeszło, żeby wyjść za ciebie za mąż.

Florian westchnął.

– Ale tylko dlatego, że omijam tego typu wiedźmy szerokim łukiem, żeby dać im szansę złowienia jakiegoś dobrodusznego durnia pokroju mojego brata. Bo tylko taki naiwniak jest w stanie z nimi wytrzymać. No dobra, idę sobie. Pozdrów Felixa. Kartony i butelki stoją w przedpokoju. Musisz je tylko elegancko zapakować i napisać kartkę.

No jasne, pakowanie było naturalnie sprawą kobiet. Z największym wysiłkiem powstrzymałam się od zrobienia kolejnej uwagi, ograniczając się jedynie do wrogiego spojrzenia. Od dawna nie umiałam już patrzeć inaczej na swojego szwagra.

– A zatem do piątku. Widzimy się na przyjęciu u Gereona. Jeśli oczywiście

nie będziesz miała migreny albo czegoś podobnego.

Tym razem naprawdę nie wytrzymałam.

– Nigdy w życiu nie miałam migreny.

– Nie? A wyglądasz właśnie na taką, co ciągle ją miewa.

Zanim zamknął za sobą drzwi łazienki, skrzywił się paskudnie, co miało w jego mniemaniu uchodzić za uśmiech.

– Hej! – ryknęłam za nim – tylko przypadkiem nie zapomnij zostawić kluczy! Słyszysz?

– Przecież nie jestem głuchy, ty przedmenstruacyjny, pseudowyemancypowany koszmarze wszystkich mężczyzn – usłyszałam jego odpowiedź, zanim trzasnęły drzwi wejściowe.

– I niedopieszczony – uzupełniłam z goryczą. O ile bardzo kochałam Felixa, o tyle nie znosiłam całej jego rodziny. Doprawdy straszne, że wszyscy mieszkali w tym samym mieście i bez przerwy czegoś od nas chcieli, podczas gdy z moją ukochaną rodziną widywałam się o wiele za rzadko.

Z pewnością pożaliłabym się Felixowi na Floriana, nie szczędząc szczegółów. Przy okazji zmyłabym mu głowę za to, że dał mu ot tak sobie klucze do naszego mieszkania. Ale zanim Felix wrócił wreszcie do domu z charakterystyczną zmarszczką między brwiami, która pojawiała się, ilekroć był zmartwiony lub gdy miał za sobą okropny dzień, ograniczyłam się do opowiedzenia mu historii o domniemanym włamywaczu w taki sposób, by zabrzmiała zabawnie. Wspomniałam też o whisky oraz o typach wyrzucających na nią mnóstwo pieniędzy. Wszystko po to, by wywołać jego uśmiech. Felix w rewanżu bardzo chwalił jedzenie, co było dowodem, że myślami przebywa zupełnie gdzie indziej (niekończące się podgrzewanie wcale nie wyszło na dobre pijanemu kurczakowi, wręcz przeciwnie). Moje próby skierowania rozmowy na nasze życie ogólnie, jak również w szczególnie interesującym mnie aspekcie, oraz zwrócenia uwagi na mój dekolt spęzły na niczym. Powodem była, co się ostatnio zdarzało coraz częściej, jego duchowa nieobecność.

– Czy zdarza ci się czasem flirtować z innymi kobietami? – zdecydowałam się zapytać bez ogródek.

– Co? Mnie? – Spojrzał na mnie z takim osłupieniem, że aż przez moment wygładziła mu się zmarszczka między brwiami. – No jasne! Właśnie flirtuję wyjątkowo zawzięcie z panią Hegemann z sześćdziesiątkidwójki B. Co

prawda ma sześćdziesiąt osiem lat i byłaby wyjątkowo krzepka jak na swój wiek, gdyby nie problemy z sercem.

– Ale założmy, że miałbyś na oddziale jakąś młodą atrakcyjną pacjentkę. Albo atrakcyjną lekarzkę. Albo młodą atrakcyjną pielęgniarkę. – Zrobiłam krótką przerwę, doskonale zdając sobie sprawę z faktu, że w szpitalu aż się roi od atrakcyjnych lekarek i siostr. – I zakładając, że któraś z nich zaprosiłaby cię na kawę. Czy przyjąłbyś takie zaproszenie?

– Dlaczego jakaś atrakcyjna kobieta miałaby chcieć pójść ze mną na kawę?
– Felix osłupiał.

– Na to pytanie będziesz mógł odpowiedzieć wówczas, gdy przyjmiesz takie zaproszenie. A więc poszedłbyś?

– Jeśliby się dobrze zastanović, to przecież codziennie chodzę z atrakcyjnymi kobietami na kawę albo na sałatkę. I rozgotowane ravioli.

– Nie chodzi mi o przerwę obiadową. Mam na myśli prawdziwe zaproszenie – wyjaśniłam niecierpliwie. – Atrakcyjna kobieta, która ci się naprawdę podoba, proponuje ci pójście na kawę. Albo, jak wolisz, na wino. I co ty na to?

Felix zamyślił się na chwilę.

– Zapytałbym ją, dlaczego chce się ze mną spotkać.

– Poważnie? Naprawdę byś się odważył? – Zdziwiona uniosłam brew. – Sądzę, że wcześniej zapadłabym się pod ziemię, zanim zapytałabym o coś takiego.

– A to dlaczego? Przecież to ona chce pójść ze mną na kawę, a nie na odwrót. A więc dlaczego zadajesz mi teraz takie pytanie?

– Dlatego... no może dlatego, że po prostu chciałaby cię bliżej poznać?

– Po co?

– Nooo... Skąd mogę wiedzieć? – Stopniowo traciłam cierpliwość. – Bo na przykład uważa cię za atrakcyjnego i sympatycznego faceta i... chciałaby się od czasu do czasu rozerwać. Pytam, czy spotkałbyś się z nią.

– Hmm, prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Czy wie, że jestem żonaty?

Westchnęłam z politowaniem.

– A czy to ma znaczenie?

– Jakieś tam ma, nie sądzisz? Zastanawiam się, w jaki sposób chciałaby się ze mną rozerwać? I dlaczego?

– O Boże, Felix! – Zirytowana chciałam rzucić w niego widelcem.

– No co? Czy to może miało być podchwytliwe pytanie?

– Nie, to było na poważnie.

– W porządku. Mimo wszystko: nie zamierzam marnować czasu na picie kawy z innymi kobietami, bo i po co. Przecież mam ciebie, Osiołku! – Uśmiechnął się tak rozbijając, że odpowiedziałam uśmiechem. Uśmiechaliśmy się do siebie przez jakieś pięć sekund, po których między jego brwiami ponownie pojawiła się zmarszczka oznaczająca, że coś go trapi.

– Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybym trochę posiedział przy komputerze? – zapytał, podnosząc się z miejsca. – Ten pacjent, o którym ci ostatnio wspomniałem, uchodzi oficjalnie za wyleczonego, w związku z czym fundusz zdrowia nie chce płacić za kolejną chemioterapię. Chciałbym sprawdzić, czy nie ma przypadkiem jakiegoś programu, do którego może udałoby mi się go przemycić. Ma zaledwie trzydzieści trzy lata i dopiero co urodziło mu się dziecko. Chciałby jeszcze trochę pożyć. Po prostu nie mogę go tak... Rozumiesz, o co mi chodzi?

Wszystko dobrze się kończy dla kogoś, kto potrafi
czekać.

Lew Tołstoj

– Tak – przytaknęłam. Oczywiście, że rozumiałam. Jak można być szczęśliwym, gdy cały czas ma się do czynienia z nieszczęściem innych? Za nic na świecie nie chciałabym być na miejscu Felixa. – Zaczekam na ciebie w łóżku.

Bardzo byśmy się zdziwili, wyciągnąwszy z butelki z tysiącem numerów liczbę 1000. Przecież szansa na wyciągnięcie liczby 457 też wynosi tylko 1:1000.

Laplace

Na przyjęcie Gereona wybrałam seksowną szarą sukienkę, którą jakiś czas temu zupełnie niepotrzebnie, *po prostu ot tak sobie*, kupiłam razem z przepięknymi zamszowymi czółenkami. Chociaż przyznaję, że od początku chodziło mi po głowie, że włożę ten zestaw właśnie na tę okazję. Bardzo mi zależało – choć od lat próbowałam z tym walczyć – żeby Gereon zawsze widział mnie elegancko ubraną i żeby uważał, że Felix miał szczęście, żeniąc się ze mną.

Jak dotychczas najlepszy przyjaciel mojego męża był wręcz odwrotnego zdania i swój pogląd zawsze wyrażał bez ogródek, gdy tylko nadarzyła się po temu okazja. Co prawda brat Felixa był antypatyczny, ale pod tym względem nie dorastał Gereonowi nawet do pięt. Podobnie jak Florian, jego najlepszy przyjaciel był święcie przekonany, że stanowi największą ozdobę tego świata i że gdyby nie on, Felix z pewnością przepadłby z kretesem. Uważał siebie za kogoś, komu Felix zawdzięcza comiesięczną porcję squasha, dobrej zabawy i doborowych trunków. Ja natomiast byłam w jego oczach zawadą stojącą mężowi na drodze do korzystania z życia i czerpania z niego przyjemności. Czymś w rodzaju Złej Czarownicy z Zachodu², która zaczarowała Felixa, skazując go na marną egzystencję nic nieznaczącego lekarzyny ordynatora w miejskim szpitalu pełnym ubogich pacjentów, harującego od świtu do nocy i niemającego na nic czasu, podczas gdy inni spędzali życie na polu golfowym i luksusowych jachtach.

– Wszystko ma ze sobą jakiś związek. – Linda często powtarzała to zdanie przy najbardziej kuriozalnych okazjach (ostatni raz, czyszcząc klawiaturę komputera, z której wyłowiła pięciometrowej długości włos – jeszcze dziś robi mi się niedobrze, gdy o tym myślę). – Ludzie, zwierzęta, planety, wszystko jest z sobą powiązane w jakiś magiczny sposób i żadne spotkanie nie jest przypadkowe (znowu to samo).

Świat to globalna wioska, jak się wyraził mój ojciec, ujmując mądrości

Lindy w nieezoteryczną formę. Cokolwiek to było – przypadek, zrządzenie losu czy magia – Gereon był nie tylko najlepszym przyjacielem Felixa od czasu studiów, ale jeszcze do tego byłym mężem Marlene i ojcem jej córki.

Poza tym był również moim ginekologiem.

W każdym razie do czasu przerażającej chwili, w której Felix przedstawił nas sobie i w której mi zaświtało, że to jego najlepszy przyjaciel. Przy czym chodziło o faceta, który nie dalej jak dwa dni wcześniej wpychał do najintymniejszej części mojego ciała coś, co wyglądało na łyżkę do butów. Między innymi. Kiedy tylko co przeprowadziłam się do Kolonii, Marlene gorąco poleciła mi Gereona, wyrażając się o nim w następujących słowach: „To co prawda niewiarygodny dupek, ale z drugiej strony świetny ginekolog”.

No cóż, sama jestem sobie winna, że nie posłuchałam ostrzeżenia zawartego w pierwszej części rekomendacji. Gdybym wówczas wzięła sobie słowa Marlene do serca, nigdy nie dałabym temu draniowi okazji do oznajmienia Felixowi z wyniosłym uśmiechem: „Ale my się przecież znamy. Nie dalej jak przedwczoraj robiłem jej wymaz”. Nie mam pojęcia, co potem o mnie nagadał (do dziś zadaję sobie pytanie, czego dowiadyuje się ginekolog o pacjentce podczas badania, pomijając to, że niezbyt dobrze znosi depilację brazylijską). W każdym razie idę o zakład, że zasadniczo miał gdzieś obowiązek dochowania tajemnicy lekarskiej.

Jak wiadomo, świat to globalna wioska i wszystko ma ze sobą związek, czy się tego chce czy nie. Doskonałym tego przykładem i zarazem potwierdzeniem było także czekające nas przyjęcie.

Ponieważ Felix – co za niespodzianka – w ostatniej chwili zadzwonił, by mi oznajmić, że się spóźni (oczywiście dodając, że to nie potrwa długo i że za chwilę się zjawi), pojechałyśmy z Marlene i jej córką Amelią do knajpy w południowej części miasta, którą Gereon wynajął na tę okazję. Wraz z barmanem, dwoma kelnerami, pianistą jazzowym i piosenkarką. No cóż, jak spaść z konia, to z dobrego. Tak się składało, że Gereon odziedziczył pokaźny spadek. Ponadto miał bardzo dochodową praktykę. No i uwielbiał żyć na pokaz, jak również pysznić się przed wszystkimi swoim stanem posiadania.

– Zostanę co najwyżej do jedenastej! – Amelia, jak zazwyczaj przy takich okazjach, stroiła fochy. Miała siedemnaście lat i niespecjalnie przepadała za

ojcem, pomimo że podarował jej na dwunaste urodziny wymarzonego konia. Coś takiego, moim zadaniem, mówi w zasadzie wszystko o człowieku.

– Podobnie jak ja – zapewniłyśmy ją z Marlene zgodnym chórem. Javier miał dzisiejszej nocy gig, w związku z czym miałyśmy zamiar najeść się do syta i porządnie napić, po czym niepostrzeżenie się ulotnić. Cokolwiek by mówić, jedzenie i trunki z pewnością były z najwyższej półki.

Uznałam, że zapakowałam whisky nie tylko starannie i proekologicznie, ale jeszcze do tego wyjątkowo stylowo, zawijając butelki w różowe strony „Financial Timesa” i obwiązując je czarną tiulową wstążką, którą wygrzebałam z resztek materiałów pozostałych z zeszłorocznego kostiumu karnawałowego. Jeśli Florianowi marzył się czarny błyszczący papier, to powinien był zająć się sam zapakowaniem tych przeklętych flaszek.

Już z daleka zobaczyłyśmy tłum ludzi kotłujący się przed wejściem do restauracji.

– Wygląda na to, że ojciec zaprosił wszystkich znajomych z Facebooka – prychnęła pogardliwie Amelia.

– I chyba naprawdę zatrudnił goryli przy drzwiach! – zauważyłam, otwierając drzwi taksówki. Wbrew woli byłam pod wrażeniem. – Jak sądzicie, czy będą sprawdzać zaproszenia? Nie wzięłam naszego, a wy?

– Też nie. Od razu powędrowało do kosza na śmieci. Może będziemy miały szczęście i nie wpuszczą nas do środka. Wtedy będziemy mogły z czystym sumieniem powiedzieć, że próbowałyśmy, ale się nie udało. – Marlene zapłaciła taksówkarzowi i pomogła mi się wygramolić z butelkami whisky. – Właściwie po cholere mi to całe przyjęcie i co ja tu robię? Przecież będzie tam z setka ludzi, którzy mnie znali za starych czasów, obrażonych, że ich nie poznaję.

– Lepiej tak niż na odwrót.

– Jeśli ktoś choć raz powie, jak bardzo urosłam, momentalnie daję nogę – zapowiedziała Amelia, gdy ustawiałyśmy się na końcu kolejki do drzwi wejściowych.

– A jeśli ktoś choć raz powie, jak bardzo przytyłam, zwiewam razem z tobą – oznajmiła Marlene, co sprawiło, że stojąca przed nami kobieta odwróciła się w naszą stronę i uważnie zlustrowała moją przyjaciółkę wzrokiem, nie pomijając żadnego szczegółu. Sama wyglądała tak, jakby co najmniej od pół roku nie wzięła do ust ani kęsa.

– Sześćdziesiąt osiem kilo – zwróciła się do niej Marlene. – W bieliźnie. Kobieta ponownie szybko się odwróciła. Tym razem w drugą stronę.

Niestety, obydwaj ochroniarze przed drzwiami mieli listę zaproszonych gości i wpuścili nas bez najmniejszych oporów. Szkoda. Piekielnie szkoda.

Restauracja była z gatunku tych typowych lokali wyłożonych szlachetnym drewnem, z kryształowymi żyrandolami i dębowym parkietem, w których zaraz po wejściu szuka się lustra, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma się zębów upaprzanych szminką. Do naszych uszu doszły strzępy melancholijnej muzyki granej na fortepianie. Towarzyszyło jej posępne zawodzenie, które otoczyło niczym ciemna peleryna moją tego dnia niezbyt radosną aurę.

– Poszukam ojca – poinformowała Amelia, oddając płaszcz do garderoby i otrzymując w zamian świstek papieru z numerem. Wyglądało na to, że Gereon z niepojętych powodów wynajął również garderobianą.

– A ja jakiegoś drinka – oznajmiła Marlene.

Ja natomiast chciałam się przede wszystkim pozbyć nieporęcznych butelek whisky, w związku z czym podążyłam za Amelią torującą sobie drogę w tłumie gości. Z pewnością Gereon kazał gdzieś postawić przesadnie okazały stół na prezenty. Zbieranie datków na jakiś zbożny cel dobroczynny, jak to zazwyczaj robią ludzie mający wszystko, zdecydowanie nie było w jego stylu.

You filled my heart with tears. O mój Boże, że też bluesowe piosenki zawsze muszą być takie potwornie smutne. Jak ludzie mogą się bawić przy takiej muzyce? *Go break some other heart in two, guess I'm a fool falling in love with you.* Jeszcze i to. Piosenkarka miała ładny głos. Ale dlaczego, do diabła, nie śpiewała czegoś weselszego? Byłam tu od niespełna trzech minut, a już chciało mi się ryczeć.

– Gdzie Felix? – Przede mną wyrósł Florian z roześmianą blondynką w ramionach w oszalamiająco pięknej zielonej sukni koktajlowej.

– Musiał zostać dłużej w pracy. Ale zaraz się zjawi – poinformowałam szwagra. – Cześć, Holly! Wspaniała sukienka.

– Mam na imię Sabrina – pośpieszyła z wyjaśnieniem blondynka, ciągle się uśmiechając.

– Och! – Wolałam nie pytać, co się stało z Holly, gdyż nie byłam nawet pewna, czy przypadkiem nie miała na imię Dolly. – A zatem... Cześć,

Sabrino. Miło cię poznać. Kati – przedstawiłam się.

– Moja szwagierka – dopełnił prezentacji Florian. – Zawinęłaś kosztującą fortunę whisky w *papier gazetowy!*? – Wskazał oskarżycielskim gestem paczki, które trzymałam w rękach. – Coś nieprawdopodobnego! Czyżbyś zużyła już wszystkie reklamówki od Aldiego?

– A mnie się to podoba. Uważam, że jest cool – powiedziała Sabrina. – Vintage, szalenie szykowne.

– Aaa, aha? – Florian zrobił niepewną minę. Podziękowałam Sabrinie uśmiechem, wstydząc się w duchu tych wszystkich okropności, które mi wpadły do głowy na jej temat w ciągu naszej króciutkiej znajomości. Przecież to, że ma katastrofalny gust, jeśli chodzi o mężczyzn, wcale nie znaczy, że musi być głupia. I może jej uśmiech był naturalny, a nie stanowił efektu operacji plastycznej twarzy?

– Florianie, czy mógłbyś być tak miły i odebrać ode mnie te butelki? – *Dlatego że wreszcie chciałabym się od nich uwolnić i czym prędzej pożegłować w stronę baru, zanim ta okropna muzyka doprowadzi mnie do samobójstwa.*

Florian najwidoczniej nie miał nic przeciwko osobistemu przekazaniu solenizantowi nabytych kosztowności, dzięki czemu cztery minuty później mogłam trzymać w dłoni perfekcyjnie przyrządzone daiquiri ze świeżym sokiem z limonek, który barman wycisnął na moich oczach. Pociągnęłam solidny łyk i z ulgą oparłam się wygodnie o kontuar. Dwa albo trzy takie drinki pozwolą mi jakoś wytrzymać do jedenastej. Przy założeniu, że piosenkarka zrobi sobie tymczasem przerwę. Ale gdzie się podziała Marlene? Na ile ją znałam, zapewne zaglądała w każdy kąt sali, wypatrując mnie z koktajlami w obu dłoniach. Stwierdziłam, że w tej sytuacji najlepiej będzie nie ruszać się z miejsca, gdyż prędzej czy później z pewnością dotrze do baru. Miałam nadzieję, że Felix również.

Patrzyłam na liczne twarze. Niektóre kojarzyłam z poprzednich przyjęć u Gereona. A do niektórych potrafiłam nawet dopasować imiona. Mężczyzna, który właśnie przeciskał się w stronę baru, też wydał mi się znajomy.

Czyżbym się myliła? Nie, niemożliwe. O, nie. To zapewne przytłumione światła i moja wyobraźnia płatały mi figła. Przecież nie był to jakiś tam sobie blondyn w marynarce. To był nieprzyzwoicie przystojny typ. Kobieta siedząca na barowym stolku obok mnie też zwróciła na niego uwagę.

Natychmiast się wyprostowała i wygładziła sukienkę.

– Proszę wódkę z martini! – złożył zamówienie przystojniak.

Cholera jasna! Moje pożałowania godne próby samooszukiwania spaliły na panewce. Ten głos rozpoznałabym wśród tysiąca innych. Mathias Lenzen, mężczyzna, o którym od czterech dni z zacięciem wyszukiwałam w Google wszelkie możliwe informacje. To naprawdę był on we własnej osobie.

Okej. Tylko spokojnie. Tak, to on. I co z tego? Przypadek. Żaden powód, żeby od razu udławić się kostką lodu.

Nie mogłam oderwać od niego oczu, gapiłam się tak, że niemal mi wychodziły z orbit, czego na szczęście nie zauważył, gdyż zagadała go kobieta siedząca obok na barowym stolku. Jeśli to, co robiła, można nazwać „zagadaniem”.

– O, drink Jamesa Bonda – powiedziała ochryple, zakładając nogę na nogę.
– Bardzo męski. Nawet nie przyszło mi na myśl, że mógłby pan zamówić coś innego.

Wciąż wlepiałam w niego wzrok, podczas gdy mój galopujący puls powoli wracał do normy. To naprawdę on. Tak blisko mnie, że wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, by go dotknąć. Zrządzenie losu czy przypadek? Szczerze mówiąc, obie możliwości były niesamowite.

– W zasadzie zamierzałem tylko napić się piwa, ale przy tej muzyce koniecznie potrzebne jest coś mocniejszego – odparował, patrząc, jak się domyślałam, na nogi swojej rozmówczyni.

– O tak. Czy ta muzyka nie jest fantastyczna? – szepnęła. – Zaraz zapytam Gereona, skąd wytrzasnął tę piosenkarkę. Zamówię ją natychmiast na najbliższą imprezę. A pan?

Milczał, sącząc z namysłem wódkę z martini, którą mu podał barman.

– Natychmiast – przytaknął. – Ale na szczęście nie muszę w najbliższym czasie organizować żadnego pogrzebu.

Zachichotałam, co sprawiło, że zwrócił na mnie uwagę. Gdy odwrócił się w moją stronę, zauważyłam, jak ze zdziwienia rozszerzają mu się źrenice. Byłam wdzięczna losowi, że zauważyłam go pierwsza. W przeciwnym razie z pewnością opadłaby mi szczeka, co wywołałoby fatalny efekt, gdyż wyglądałabym naprawdę arcygłupio.

Posłałam mu wyniosły uśmiech, unosząc równocześnie trzymaną w dłoni szklanekę.

– Alkohol rzeczywiście pomaga – powiedziałam ochryple. – Przed trzema minutami miałam ochotę się powiesić, a teraz uważam, że wieczór nie jest taki znowu zły.

Okej, okej, wcale tak nie było. Wierutne kłamstwo i tyle. Jednak ponownie uśmiechnęłam się wyniośle i dodałam ochryplym głosem coś, co zabrzmiało cool.

– Czyż świat nie jest globalną wioską? – powtórzyłam kilkakrotnie. A ponieważ on milczał jak zaklęty, wpatrując się we mnie ze zdziwieniem, dodałam: – Hej! Czy przypomina mnie pan sobie? Kati Wedekind. Poznaliśmy się w poniedziałek w Berlinie na seminarium dla przyszłych gwiazdeczek... eeee... to znaczy, miałam na myśli kierowniczych sił. A potem siedziałam w pociągu do domu i wtedy przez pomyłkę wysłałam do pana SMS-a, który tak naprawdę był przeznaczony dla kogoś innego, i potem...

Na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech od ucha do ucha. Jeszcze miłszy niż ten, który mnie prześladował we wspomnieniach.

– Tak, tak, doskonale wiem, kim pani jest! – przerwał mi w pół słowa z uśmiechem. – Mój Boże, czy naprawdę sądzi pani, że mógłbym panią zapomnieć?

– Nie jest to wcale takie znowu nieprawdopodobne – wtrąciła się siedząca obok kobieta o ochryplym głosie, zsuwając się elegancko z barowego stołka. – Poznał mnie pan zaledwie przed minutą i jak widać, już zdążył zapomnieć, choć jeszcze przed chwilą zamierzał pan postawić mi drinka. Jednak nie skorzystam z pańskiej propozycji. Nie, serdeczne dzięki, mój kochany. *Arrivederci...*

– Eeeeeech... *Arrivederci* – powtórzył Mathias Lenzen.

Spojrzałam na nieznajomą, kręcąc głową.

– Chyba doskonale wie, że drinki są za darmo?

– Jeśli jeszcze nie wie, to z pewnością szybko do tego dojdzie.

Ponownie odwrócił się do mnie. Jezu, co za oczy! Nawet w tym mrocznym barowym świetle wyglądały niesamowicie. Od razu przyszło mi na myśl porównanie z górskimi jeziorami skąpanymi w słońcu albo migoczącymi klejnotami, albo z wypłowiałymi aksamitnymi zasłonami ciotki Eriki. Najważniejsze, że nie wyraziłam głośno nasuwających mi się porównań.

– Czy to jest to okropne przyjęcie urodzinowe, na którym koniecznie musi się pani upić? Czy może to, na które miała pani upiec tort? – zapytał.

– Może pan zgadywać trzy razy. – Pociągnęłam spory łyk daiquiri. *Tylko ani słowa o aksamitnych zasłonach ciotki Eriki. Po prostu mów dalej całkiem normalnie.* – Dlaczego musi pan... eee... dlaczego znalazł się pan właśnie tutaj? Przecież z pewnością nie należy pan do pacjentów Gereona. Hahaha.

O nie. *Proszę!* Zapraǳnęłam, żeby zjawił się ktoś, kto mi zamknie usta. Gdzie właściwie podziewała się Marlene? Gdzie była, gdy tak bardzo jej potrzebowałam?

Mathias Lenzen sprawiał wrażenie, jakby moje kiepskie żarty wcale mu nie przeszkadzały. Jego uśmiech pozostał nadal bardzo... bardzo czarujący.

– Hmmm, gdybym wierzył w przeznaczenie, stwierdziłbym, że to los sprawił, że jestem tu dziś wieczorem – powiedział lekkim tonem. Zamarłam, słysząc słowo „przeznaczenie”. – Powinniśmy koniecznie wznieść toast za nasze ponowne spotkanie. – Uniósł dłoń ze szklanką. – W tej sytuacji wręcz nie wypada, żebyśmy dalej byli na pan i pani. Proponuję przejście na ty.

– Chętnie. Z przyjemnością. Jestem... – *Kati.* O nie, przecież nie powiem czegoś tak banalnego. Tym bardziej że przecież znał moje imię. Desperacko szukałam jakiegoś jako tako sensownego zakończenia niefortunnego zdania. – Jestem... zaskoczona, że szklanka tak szybko robi się pusta. Albo... – kontynuowałam, chwytając jego rozbawione spojrzenie – w tym konkretnym przypadku do połowy pusta.

– Powinnaś szybko wypić tego drinka i zamówić sobie następnego – stwierdził Mathias, spoglądając mi głęboko w oczy. Jak na mnie było to zdecydowanie za dużo.

– Moja ciotka Erika ma aksamitne zasłony dokładnie tego samego ko... – usłyszałam własny głos.

W tym momencie wymanikiurowana męska dłoń wylądowała z plaśnięciem na ramieniu Mathiasa.

– Nie do wiary! Obiecałem ci na dzisiejszy wieczór najbardziej ognistą singielkę w tym mieście. I z kim cię widzę? O zgrozo, akurat z Kati. – Gereon pojawił się nie wiadomo skąd. Widząc go tym razem, byłam wyjątkowo zadowolona, gdyż sprawił, że feralne aksamitne zasłony ciotki Eriki nie stały się narzędziem mojego blamażu. Moja radość nie trwała jednak długo. Ulotniła się już po niespełna sekundzie.

– Nie myśl, Kati, że mam coś przeciwko tobie. Ale tak się składa, że nie masz za grosz temperamentu ani też nie jesteś singielką. Nie myślę się,

prawda? – Gereon był na tyle bezczelny, że pozwolił sobie puścić do mnie oko.

Gereon wyglądał atrakcyjnie, przynajmniej w mniemaniu tych, którym podobały się sportowe tyse wydania Bruce’a Willisa, stawiające nogi tak, jakby tyle co zwały z konia. Po cichu dałam mu ksywę „Powolna Śmierć”. W kwestii wyglądu „Powolna Śmierć”, podobnie jak Florian, nie szczędził kosztów ani wysiłków. Niedawno przyznał mi się otwarcie, że za słoiczek kremu na dzień płaci dwieście euro. Prawdopodobnie mazidło to wzbogacano wyciągiem z jąder byka i kolagenem z młodych cieląt.

– Chciałbym, żeby mój stary przyjaciel Matze cudownie się bawił dzisiejszej nocy. – Uśmiechnął się. – Naturalnie ty też, Kati. Ale może będzie ci lepiej w towarzystwie innych mężatek, gdyż z nimi możesz pogadać sobie do woli o przepisach kulinarnych Albo o tym, jak zanudzić męża na śmierć. Będziesz mogła poplotkować o czym tylko dusza zapagnie.

Mądrzy wiedzą, jak pożegnanie z młodością
rozłożyć na dziesięciolecia.

Françoise Rasay

Ponownie rozległ się gardłowy śmiech Gereona, który zawsze rechotał w ten sposób, gdy chciał obrócić obelgę w żart. Już dawno zrozumiałam, że w takich sytuacjach było się na straconej pozycji. Gdybym śmiała się z tych rzekomych żartów (co czasami robiłam na początku naszej znajomości w nadziei, że w końcu przestanie się ze mnie wyśmiewać i da mi spokój), obrażałabym swoją inteligencję. Natomiast obrażając się, wykazałabym brak poczucia humoru. A ich ignorowanie oznaczałoby brak zarówno poczucia humoru, jak i inteligencji. Nauczyłam się zatem odpłacać pięknym za nadobne, odpowiadając na obrazę obrazą. Z biegiem lat doskonaliłam się w tej dziedzinie, systematycznie podnosząc poziom moich złośliwych ripost. Nie trzeba nadmieniać, że Gereon nie miał ani dość finezji, ani poczucia humoru, żeby to docenić.

– Och, nie musisz się o mnie martwić – odparowałam, patrząc spod oka na „starego przyjaciela Matze”, od którego nieco się odsunęłam, zastanawiając się w duchu, jak szybko można spaść z różowej chmurki. – Świetnie się bawię, czekając na klauna, który wpadł na pomysł pozawieszania tych koszmarnych balonów w kształcie zwierząt. – Z uśmiechem, który jak

miałam nadzieję, nie odzwierciedlał mojego skwaszonego nastroju, uniosłam szklankę z drinkiem. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Twoje zdrowie! – Wypiłam resztę jednym haustem, nie zważając na kostki lodu. – A więc jesteście starymi przyjaciółmi, *Matze*?

– Jeszcze ze szkoły. – Wciąż się uśmiechał, z tym że już nie tak przyjaźnie, ale raczej nieco... niebezpiecznie. – Ale po maturze straciliśmy się z oczu.

– Niestety – przyznał Gereon. – Za czasów szkolnych byliśmy jak dwaj muszkietierowie. Prawda, *Matze*?

O Boże ty mój jedyny! Nagle poczułam mdłości i zawartość żołądka podeszła mi do gardła.

– Dopiero niedawno znowu wpadliśmy na siebie... Po dwudziestu latach... Idę o zakład, że na Facebooku.

– I stwierdziliśmy, że nie tylko jeździmy tymi samymi samochodami, ale jeszcze na dodatek mamy tę samą słabość do golfa, co sprawiło, że zaraz zaprosiłem go na moje czterdzieste urodziny.

No i wszystko jasne, trafił swój na swego. Wielkie braterstwo dusz wyje zawsze na tę samą nutę.

– Na początku trochę się certolił, ale w końcu przyjął zaproszenie. – Gereon poklepał Mathiasa czule po plecach. – I nie powinien tego żałować. Chyba też jesteś tego zdania, prawda, *Kati*?

A żeby cię szlag trafił, skończony dupku. Wzięłam oddech, by mu się równie uroczo odwzajemnić, ale Mathias mnie uprzedził:

– Gdybym wiedział, że spotkam tu *Kati*, rzecz jasna z mety potwierdziłbym, że przyjadę. Tak się składa, że bardzo rzadko mamy okazję się widzieć. Prawda, *Kati*?

– Hmmm? – Spojrzałam na niego podejrzliwie.

W oczach Gereona również pojawiło się zaskoczenie zmieszane z niedowierzaniem.

– Jesteście ze sobą spokrewnieni, czy jak? – zapytał.

– Nie, znamy się zawodowo. *Kati* jest jedną z najlepszych w branży trenerek z zakresu komunikacji. – Mathias otoczył mnie ramieniem, strząsając tym samym spoczywającą mu na plecach elegancką rękę Gereona. – Czy moglibyśmy poprosić o jeszcze jedno daiquiri i jeszcze jedną wódkę z martini? – zwrócił się do barmana, po czym dodał: – To naprawdę przyjęcie z klasą, Gereonie. Znakomicie się bawię. – Po czym, zupełnie nie zważając

na dawnego kumpla z klasy, spojrział mi głęboko w oczy i zapytał: – O czym to mówiliśmy, zanim nam przerwano?

Rozum i umiejętność zrobienia z niego użytku
to zgoła dwie różne rzeczy.
Franz Grillparzer

Najpierw dobra wiadomość: tego wieczoru nie robiłam już więcej porównań z aksamitnymi zasłonami ciotki Eriki, migoczącymi klejnotami ani tajemniczymi przejrzystymi jeziorami górskimi. Pozytywny był też fakt, że pomimo siedmiu (albo ośmiu, od pewnego momentu miałam też kłopoty z liczeniem) daiquiri ani nie bełkotałam, ani nie zalewałam się bez powodu łzami. Wręcz przeciwnie, byłam (na początku) tak skoncentrowana, elokwentna i dowcipna jak rzadko kiedy.

A zła wiadomość jest taka, że ktoś podstępnie i bez ostrzeżenia otworzył tę przeklętą puszkę Pandory, co było jednym z powodów tak dużej liczby drinków, które w siebie wlałam. Za pomocą możliwie najwyższego poziomu alkoholu we krwi chciałam się wymigać od wszelkiej odpowiedzialności, jak również od zastanawiania się nad tym, co tu się właśnie działo.

– Właściwie to nie piję aż tyle – zapewniałam Mathiasa po gdzieś chyba, jeśli właściwie oceniłam, piątym drinku. Wówczas wiedziałam już, że od prawie sześciu lat był rozwiedziony oraz że miał alergię na orzeszki ziemne, a także dwie siostry, z których jedna mieszkała w Nowym Jorku, a druga zamknęła go w szafie, gdy był jeszcze całkiem mały, co było powodem jego niechęci do wind i ciasnych pomieszczeń, i że dlatego w jego berlińskim mieszkaniu ściany były wyłącznie w łazience.

Natomiast on się dowiedział, że Gereon był najlepszym przyjacielem Felixa, byłym mężem Marlene i, niestety, swojego czasu moim ginekologiem, oraz że w wieku dziewięciu lat ugryzła mnie wiewiórka (dokładnie PARSZYWA WIEWIÓRKA), co sprawiło, że odnoszę się nieufnie do wszystkich małych milutkich stworzonek. W szczególności gdy uroczo przechylają łebki i patrzą na mnie ogromnymi oczyskami. A na koniec poinformowałam go, że normalnie nie piję aż tyle. I nie w takim tempie.

– Ja również – odpowiedział, pokazując barmanowi pusty kieliszek. Mathias był na tyle miły i taktowny, że wypijał swoje drinki równie szybko jak ja. Dla kogoś z boku musiało to wyglądać na zawody w picciu. – W każdym

razie nie coś takiego. Normalnie też nie zaczynam... nie flirtuję z mężatkami.

– Z powodu zasad moralnych? – Zauważyłam roziskrzonym wzrokiem, jak barman ponownie przygotował nam koktajle, nawet nie pytając, czego sobie życzymy. W tle piosenkarka ciągle wyśpiewywała jakiegoś bluesa o miłości, śmierci, stracie i schodzeniu na psy, co mój mózg rejestrował jedynie jako natarczywy szmer, gdyż byłam skoncentrowana wyłącznie na moim towarzyszku.

– Nie. – Mathias potrząsnął głową. – Z powodu przekonania, do którego doszedłem po gruntownych przemyśleniach. Zdrowy rozsądek cały czas mi mówi, że to piekielnie nierozsądne siedzieć tu z tobą i z sekundy na sekundę być coraz to bardziej oczarowany tym, co widzę, i tym, co mówisz. Jeszcze parę minut i kolejny drink, a powiem ci, że *chciałbym wiedzieć, jaki zapach mają twoje włosy.*

Wierz mi, że byłoby to nic w porównaniu z tym, co będąc jeszcze zupełnie trzeźwa, chciałam powiedzieć o twoich oczach.

Sięgnęłam po kolejne daiquiri, uśmiechając się do Mathiasa. Odpowiedział uśmiechem. Mój Boże, od tego uśmiechu kręciło mi się w głowie.

– Może powinniśmy opowiedzieć sobie szybko coś odstrasżającego – zaproponowałam.

– Cóż mogłabyś mi powiedzieć bardziej odstrasżającego niż „jestem mężatką”?

– Mam syfilis?

– A masz?

– Nie – odpowiedziałam z żalem i marszcząc czoło w desperacji, próbowałam znaleźć jakiś inny odstrasżający przykład. Ale resztką mojego zdrowego rozsądku wysyłała jedynie sygnały ostrzegawcze od A, jak alkohol, po P, jak puszka Pandory, powstrzymując mnie od powiedzenia: „Na co jeszcze czekasz, przekonaj się, jak pachną moje włosy!”.

Nagle zjawiała się Marlene i usiadła na sąsiednim stołku barowym. Właściwie należało powiedzieć, że się na niego osunęła, gdyż była równie pijana jak my. W przeciwieństwie do nas – szampanem, który kelnerzy caluteńki czas roznosili na tacach. Gdy spostrzegła Mathiasa, jej oczy przybrały rozmiar spodków. Ale powstrzymała się od wszelkich aluzji, które

z pewnością cisnęły jej się na język. Zamiast prawić złościwości, zaczęła z nami wesoło, aczkolwiek nieco bełkotliwie rozmawiać, czym zasłużyła na moją niemal dozgonną wdzięczność, gdyż alkohol zdążył właśnie dotrzeć do mojego centralnego ośrodka mowy. Co wcale nie było takie znowu złe, gdyż wyraźnie pozytywnie wpłynęło na moją elokwencję (patrz wyżej). Ale żeby nie zepsuć dobrego wrażenia (historię z WIEWIÓRKĄ udało mi się opowiedzieć naprawdę zabawnie), zamilkłam elegancko.

Zresztą miła część wieczoru i tak należała już do przeszłości. Alkohol ma to do siebie, że ogranicza zdolność jasnego formułowania myśli, ale niestety czasami też pomaga wyostrzyć spojrzenie szczególnie w kwestii uczuć. Jeśli o nie chodziło, to w danym momencie byłam w stanie swobodnego spadania.

– *What a mess.* – Piosenkarka lkała do mikrofonu, mając w pełni rację.

„Powolna Śmierć” ponownie podeszła do nas. Gereon jednym ramieniem obejmował Felixa, a drugim Lillian (TĘ EKS), która wyglądała jak zwykle wspaniale i uśmiechała się do mnie protekcyjnie. Normalnie gdy ją spotykam, też krzywię się w szczególnym uśmiechu typu Lillian, zarezerwowanym wyłącznie dla niej. Ale tym razem nie byłam w stanie zrewanżować jej się stosownym grymasem, gdyż zbyt absorbowano mnie kurczowe trzymanie się kontuaru.

Lillian była anesteziologiem w szpitalu, w którym pracował Felix, i gdy poznałam mego przyszłego męża, wciąż jeszcze była jego przyjaciółką. A przynajmniej tak twierdziła. Podczas gdy Felix był zdania, że rozstali się w przyjaźni. Lillian natomiast uporczywie utrzymywała, że „zawiesili chwilowo” swój związek na jej wyraźne życzenie. Cokolwiek by mówić, godne politowania. Ale że Lillian od pięciu lat zachowywała się tak, jakbym była jedynie drobnym, nic nieznaczącym intermezzo w życiu Felixa, czekającego z utęsknieniem na odwołanie „chwilowego zawieszenia”, nie byłam w stanie wykrzesać ani krzty współczucia.

– Matze, oj, Matze, naprawdę nie można cię zostawić samego ani na moment – stwierdził Gereon. – Najpierw Kati, a teraz znowu Marlene... Coś podobnego! Czy zdajesz sobie sprawę, że przez ciebie stracę dobrą opinię? – Roześmiał się. – Ale teraz już dość tego smętnego towarzystwa. – Kolejny głupi uśmiech.

Niestety z wyżej wspomnianych i całego szeregu innych powodów nie

byłam w stanie zareagować, jak to mam w zwyczaju, odpowiednio obraźliwą ripostą, ponieważ w dalszym ciągu znajdowałam się w stanie swobodnego spadania.

– Czy mogę dokonać prezentacji? – kontynuował jakby nigdy nic Gereon. – Felix, facet który każdego rana zmuszony jest budzić się u boku Kati... eee... chciałem powiedzieć: ma zaszczyt budzić się obok niej. A to Lillian. Tak na marginesie, możesz mi wierzyć, że wygląda supersexy zarówno w lekarskim kitlu, jak i bez! A to, moi drodzy, Mathias, zwany Matze, mój najlepszy kumpel z czasów szkolnych.

Piosenkarka nadała całości odpowiednią oprawę. *I'm laughing just to keep from crying*. Tak, tak. Ja również. Hahaha.

– Bardzo mi miło – zagruchała Lillian.

– Cześć – rzucił Mathias, którego wcześniejszy uśmiech był zdecydowanie bardziej serdeczny niż w tym momencie, co zauważyłam pomimo stanu wskazującego na nadmierną konsumpcję alkoholu. Nie uszło mojej uwadze także to, że o wiele dokładniej przyglądał się Felixowi niż Lillian.

Mój małżonek odpowiedział szczerym uśmiechem. I choć tego wieczoru wyjątkowo nie miał charakterystycznej zmarszczki pomiędzy brwiami, wyglądał na zmęczonego. Włożył jedną z tych koszul w kratkę, które matka niezmordowanie dawała mu w prezencie na każdą gwiazdkę i każde urodziny (pomimo że co roku wyrzucałam dwie z nich do kontenera ze starą odzieżą, wcale ich nie ubywało). Najwyraźniej skoczył po pracy do domu, by wziąć szybki prysznic. Najwyraźniej zapomniał się uczesać, gdyż z boku sterczał mu kosmyk wyglądający niczym pędzelek w uchu rysia.

Gereon wypuścił Felixa z objęć, by wziąć pod ramię Mathiasa i odciągnąć go od baru.

– Czy zdążyłeś już obejrzeć bufet, Matze? Chodź, Lillian! Matze potrzebuje zjeść coś solidnego. Przed nami jeszcze przecież długa noc. Dlatego też pójdziemy w trójczkę, jak tu stoimy piękni i wspaniali, wrzucić coś na ruszt. Co wy na to?

– Czy będziecie tu jeszcze, jak wrócę? – Mathias obrócił się w naszą stronę.

Próbowałam zamknąć oczy. Wówczas zachwiałam się i poczułam uderzenie. Byłam pewna, że za sekundę wyląduję na podłodze, potwierdzając świtające mi w pijanej głowie podejrzenie, że jest wyjątkowo twarda. Przynajmniej w tej kwestii nie miałam najmniejszej wątpliwości. Na

szczęście Marlene zachowała przytomność umysłu. Doskoczyła do mnie, oszczędzając mi bezpośredniego kontaktu z kołyszącą się posadzką.

– Będziemy czekać tu na ciebie jak ostatni idioci – zapewniła z uśmiechem.

Przelotny uśmiech i tyle było go widać. Osunęłam się. Stwierdziłam, że miałam rację – podłoga była rzeczywiście twarda. Bardzo twarda.

– Właściwie też jestem głodny. A wy? – Felix najpierw pocałował w policzek mnie, a potem Marlene. – Przez cały dzień zjadłem jedynie obowiązkowego banana, którego pani Hegemann z sześćdziesiątkidwójki B zawsze dla mnie zostawia. Ale może powinienem się najpierw napić, gdyż wygląda na to, że macie lekkie fory. – Odwracając się, musiałam się chyba lekko zachwiać, bo Felix chwycił mnie za ramię i dodał: – Albo raczej spore fory...

– Nie do nadrobienia, pozwolę sobie zauważyć! – Barman uniósł brew, stwierdzając oczywisty stan rzeczy.

Być szczęśliwym, nie wiedząc, co to szczęście, to
dopiero szczęście.

*Marie von Ebner-Eschenbach*³

W każdym razie nie urwał mi się film. Gdy obudziłam się następnego dnia, pamiętałam każdy szczegół. Niestety. Na wspomnienie powrotu do domu od razu czerwieniłam się ze wstydu jak burak. Najpierw zmusiłam Felixa do nagłego wyjścia, kompletnie ignorując wszystkie jego protesty oraz obiekcje w stylu: „Ale przecież dopiero przyszedłem” albo „Powinniśmy się chociaż pożegnać”. Uciekając, próbowałam desperacko ratować swój kompletnie rozsypujący się świat.

– Kochaj się ze mną, Felixie. Teraz. Natychmiast.

Felix spojrział na mnie zdumiony.

– Kati, sądzę, że taksówkarzowi nie przypadłoby to... Nie, Osiołku! Przestań! Lepiej zostań w płaszczu.

W porządku, przez chwilę zapomniałam, że siedzieliśmy w taksówce. Ale prawdę powiedziawszy, było mi to całkowicie obojętne. Felix otoczył mnie ramieniem niczym chore dziecko. Szybko uwolniłam się z jego objęć, by pocałować go tak, jak całowałoby się kogoś, wiedząc, że za godzinę w ziemię łupnie meteoryt, niszcząc wszystkich i wszystko. Przez chwilę Felix dał się ponieść emocjom.

– Słuchajta no, jak się porzygacie, będę sztrasznie zły – oznajmił taksówkarz, co sprawiło, że Felix odsunął mnie od siebie delikatnie.

– Wszystko w porządku – zapewnił taksówkarza.

Hahaha, właśnie że nie!

– Pocałuj mnie – poprosiłam, mając wyraźne trudności z prawidłową wymową poszczególnych głosek oraz właściwym dopasowaniem ich do poszczególnych słów, co zabrzmiało zapewne jak „Mocafuj pfe” albo „Mocuj pnie”. Natomiast kolejne zdanie, które uplasowałoby się zapewne na dziewiątce w dziesięciostopniowej skali kiczu, wypowiedziałam perfekcyjnie. – Proszę! Chcę poczuć, że wciąż jeszcze istniejemy.

– Tyle co mioteł takich, co się porzygali. Musiał zech rozybroć pół auta, szeby usunąć całe szwiństwo – poinformował nas taksówkarz. – I mówiem

wom: pijone baby są gorsze niżli pijone chłopy.

Mój ty Boże, ależ on mi działał na nerwy.

– Te wszystkie pana życiowe mądrości nikogo nie interesują – fuknęłam na niego, co jedynie pogorszyło sytuację, gdyż poczuł się urażony w swojej męskiej dumie i oświadczył nam, że w jego taksówce nikt nie ma prawa zabronić mu mówić co mu się żywnie podoba. A zwłaszcza jakaś pijana wywłoka.

– Proszę, nie bierta panie mi tygo za słe – zwrócił się do Felixa, rzucając mu przepaszające spojrzenie we wsteczne lusterko. – Ale pedziała, coby ją przelecieć.

– Co proszę? To wytwór pana zbereżnej fantazji! – wrzasnęłam. – Powiedziałam, że ma mnie pocałować, ale możliwe wyszło trochę niewyraźnie... trochę jak...

– To wcale nie jest żadna wywłoka, tylko moja żona. Jest tylko pij... wstawiona. – Felix potarł dłonią czoło. – Jak powiedziałem, to moja żona, a więc... A jeśli o mnie chodzi, to zrozumiałem „pocę się”.

– Jak tak sobie chceta. Proszę, nie bierta panie tygo za słe – powtórzył. Tym razem z wyraźnym współczuciem.

Nic nie rozumiałam.

– Ładnie, że zawsze mnie bronisz. Niczym lew. I to już nawet drugi raz w ciągu dzisiejszego wieczoru. Po raz pierwszy, jak napadł na mnie Gereon.

– Kati...

Mój sarkazm przeszedł w płaczliwy nastrój.

– A tak szczerze, to dlaczego Gereon ciągle mnie obraża, a ty nigdy nie reagujesz? Zupełnie jakbyś nie miał nic przeciwko temu. Zgoda, robi to głównie, gdy jesteś czymś zajęty albo gdy nie ma cię w pobliżu. Ale zdarza się dostatecznie często... na przykład właśnie dziś... Mam na myśli, że zrobił ze mnie idiotkę. I co? Uważasz, że to miało być zabawne?

Felix ponownie potarł czoło.

– Tak, uważam, że miało być. Żarty Gereona, niestety, nie zawsze są odpowiednie...

– Tylko dlatego, że pozwalasz, by jego niewybredne, obrażające mnie dowcipy uchodziły za żart, co wcale nie oznacza, że nie robi tego celowo. – Uznałam, że pomimo takiej ilości wchłoniętego alkoholu mojej wypowiedzi nie można nic zarzucić zarówno pod względem logiki, jak i konstrukcji

zdania. Wypadłaby jeszcze lepiej, gdybym tak nie bełkotała. – Wiesz... gdybyś mnie naprawdę kochał, wówczas... wówczas nie dopuściłbyś do tego, żeby mnie traktowano, jakbym była w twoim życiu zawadą... jakbyś był ze mną za karę... I choć *jeden jedyny raz* chciałabym, żebyś się za mną ujął, żebyś się na to zdobył. – Pomyślałam o fali ciepła, która mnie ogarnęła, gdy Mathias mnie objął, i o głupiej minie Gereona, gdy to zobaczył. – Dlaczego nigdy tego nie robisz, Felixie?

W niewyraźnym świetle zobaczyłam, że się uśmiecha.

– Kati, szczerze powiedziawszy, nigdy nie odniosłem wrażenia, że muszę cię bronić podczas tych ciągłych scysji. Wręcz przeciwnie, do tego stopnia górujesz nad Gereonem w tych słownych potyczkach, zapędzając go w kozi róg, że zawsze mi go żal.

– Żal ci go? – spojrzałam na Felixa z osłupieniem.

– Trochę tak. Przecież z tobą nie ma nawet najmniejszej szansy. Nokautujesz go ot tak sobie, i za każdym razem doprowadzasz do tego, że wychodzi na durnia.

– To... to przecież nieprawda – zaprotestowałam. – To znaczy, uważam go naprawdę za durnia, ale... ale robię to jedynie w obronie własnej i dlatego, że mnie prowokuje i dlatego... Przecież to on zawsze mnie prowokuje! A poza tym co to za odwracanie kota ogonem? Sądziłam, że jestem dla ciebie kimś... że mnie ochraniasz... że mnie... – Nagle zamilkłam.

– Przeleciśz – dokończył za mnie taksówkarz. Zatrzymał samochód i odwrócił się do nas. – Jak o mnie idzie, to teraz już możeta, bo jezdeźmy na miejscu. Należy się dwanaście osiemdziesiąt.

Tyle jeśli chodzi o moje wspomnienia. Zważywszy siedem (albo nawet i osiem) daiquiri, sądzę, że pamiętałam całkiem sporo.

Zapamiętane szczegóły – pomijając to, co się działo w taksówce – sprawiły, że z jękiem obróciłam się w łóżku na bok, zastanawiając się, czy śmierć nie byłaby w tej sytuacji najlepszym wyjściem. Wyjątkowo byłam zadowolona, że Felix pojechał wcześniej rano do szpitala. („To naprawdę nie potrwa długo, chcę tylko sprawdzić, co mówi ustawa”). Przy łóżku zostawił mi opakowanie aspiryny i szklankę wody. Połknęłam dwie tabletki, które rzeczywiście pomogły, ale jedynie w kwestii fizycznej. Reszta nadal pozostała cierpieniem. A im bardziej cierpiałam, tym bardziej wyraziste stawały się stereotypy, które jak stwierdziłam, w tego typu sytuacjach całkowicie

słusznie dają w kość: motyle w brzuchu, karuzela w głowie, podłoga uciekająca spod nóg i tajemniczy stan nieważkości. Wszystko to miałam. Ale wcale nie z powodu wypitego alkoholu, lecz tylko i wyłącznie Mathiasa. Taka była prawda, pomimo że bardzo się starałam wmówić sobie coś zgoła przeciwnego.

– Ewa? Narobiłam głupstw – wyznałam zrozpaczona, gdy pozbierałam się na tyle, żeby wziąć do ręki telefon.

– Większych niż ze ŚWINKĄ MORSKĄ? – zainteresowała się siostra.

– Innego rodzaju – wyjaśniłam, po czym opowiedziałam jej wszystko od samego początku. Poczynając od Mathiasa i naszego spotkania w Berlinie w ubiegły poniedziałek, a na przyjęciu urodzinowym Gereona kończąc. Nie opuściłam niczego z całej historii, nawet najślabszego uderzenia serca.

Ewa była znakomitą słuchaczką. Przerывała mi jedynie po to, by zadać parę mądrych pytań. Kilkakrotnie mruknęła tylko „Och nie!”. Parę razy wyrwało jej się „Ojej, Kati!”. Zawsze we właściwym momencie wydawała głębokie westchnienie. Gdy relacjonowałam epizod w taksówce, nagle wypadła z roli, wybuchając głośnym śmiechem.

– To wcale nie jest śmieszne – zauważyłam.

– Wiem. – Ewa krztusiła się ze śmiechu. – Przykro mi. Ale wszystko mam przed oczami, dosłownie jak na filmie. I w radio pewnie leciało *I Need a Hero* Bonnie Tyler. – Bez powodzenia usiłowała stłumić śmiech, co wcale nie brzmiało zabawnie, a raczej przypominało napad hysterii. W pewnej chwili poczułam się nieswojo, po czym ogarnął mnie lęk. – I czy potem...?

– Nie, potem już nic nie było. Z wyjątkiem kłótni. Przez chwilę skakaliśmy sobie do oczu, to znaczy ja wrzeszczałam, plotąc coś o rozsądku, namiętności, karuzeli wszechświata, a Felix tylko patrzył ogłupiały, nie rozumiejąc, czego tak naprawdę od niego chcę, a potem... zasnęłam.

– Chwała Bogu. – Ewa wciąż chichotała jak główny bohater *Lotu nad kukułczym gniazdem*.

– I co mam teraz zrobić? – zapytałam.

W słuchawce nagle zaległa cisza. Zupełnie jakby ktoś zatkał jej usta. Milczenie, które nastąpiło, było jeszcze bardziej irytujące od wcześniejszego chichotu.

– Ewa?

– Ciągle się zastanawiam.

– Zastanawiasz się? Ty? – zapytałam, czując, jak ogarnia mnie panika. Normalnie moja mądra siostra odpowiada z szybkością pistoletu. Była przecież niczym wszytkowiedzący Yoda z *Gwiezdnych wojen*. – Doradź mi, co mam robić!

Ale po raz pierwszy jak sięgam pamięcią, mądrość mojej siostry zawiodła.

– Może – zaczęła powoli – być może przejdzie samo z siebie. – Zabrzmiało to zupełnie jak pytanie.

Po skończonej rozmowie byłam równie skołowana jak przed wzięciem telefonu do ręki. I równie zrozpaczona. Zagłębiłam głowę w poduszkę. Wciągałam zapach Felixa, przysięgając w duchu, że zachowam się rozsądnie. Rozsądnie i jak przystało na dorosłą osobę. Musiałam jedynie zabronić sobie o nim myśleć. Po prostu zerwać wszelki kontakt, co nie powinno być trudne. W końcu mieszkał przecież w Berlinie, który będę zwyczajnie omijać szerokim łukiem. Najlepiej aż do śmierci. W przeciwnym razie mogę popełnić głupstwo, co złamałoby Felixowi serce, gdyby się o tym dowiedział.

A niezależnie od wszystkiego, skąd wiadomo, że Mathias czuł to samo co ja? Być może wczorajszy wieczór zakończył w łóżku z Lillian i dawno zdążył o mnie zapomnieć? Będąc na jego miejscu, co najmniej bym spróbowała. No dobrze, być może nie poszedł do łóżka z Lillian, a z kimś innym. Przecież na przyjęciu aż się roiło od kobiet, z których żadna nie zastanawiała się nawet przez sekundę, gdyby się tylko nadarzyła okazja.

Dźwięk komórki przerwał moje smętne rozmyślenia. O mało co nie spadłam z łóżka, ale jakoś wzięłam się w garść. Gdybym teraz wzięła we wciąż jeszcze drżącą dłoń tę cholerną komórkę, to tym samym dopełniłabym tylko banalnego stereotypu.

„Mathias Lenzen”. Samo pojawienie się jego nazwiska na wyświetlaczu wywołało lawinę najprzeróżniejszych uczuć: radości, przerażenia, strachu i... *zachwytu!* A zatem nie zapomniał. Postanowiłam nie odbierać. Po prostu odczekam, aż się rozłączy. Będę rozsądna i...

– Halo? – krzyknęłam do słuchawki głosem, w którym wyraźnie słychać było napięcie.

Zdawało mi się, że Mathias, słysząc mnie, był równie zaskoczony jak ja. Zauważyłam, że po raz pierwszy jego głos nie brzmiał ani pogodnie, ani opanowanie, ale nieco niepewnie.

– Właściwie to nie miałem zamiaru dzwonić – przyznał na wstępie.

– A ja nie miałam zamiaru odbierać.

Wydawało się, że po tych dwóch zdaniach nie pozostawało już nic więcej do powiedzenia, że najważniejsze słowa już padły. Serce waliło mi tak głośno, że zagłuszało tykanie zegara ściennego. I do tego co najmniej pięciokrotnie szybciej niż zazwyczaj.

– Jestem... – Wciągnął głęboko powietrze. – Czy moglibyśmy się zobaczyć? Proszę.

– Nie. To tylko pogorszy sprawę. Poczekajmy, aż samo przejdzie – wyrzuciłam z siebie. O Boże, mam nadzieję, że nie zapyta, co oznacza „samo”.

Znowu cisza.

– A jeśli samo nie przejdzie?

– Przejdzie, jeśli tylko się wypali – stwierdziłam z pewnością, której wcale nie czułam. – Jeśli nie da się żadnej pozywki i...

– To przecież nie ma sensu – przerwał mi. Nagle niepewność w jego głosie zniknęła. – Wręcz przeciwnie, jedynie pogorszy sprawę. Czy słyszałaś kiedykolwiek o projekcji? Jeśli lepiej się poznamy, wówczas jest szansa, że szybko stwierdzimy, że to... *uczucie*... nie wytrzyma konfrontacji z rzeczywistością.

Ta argumentacja była fascynująca i zarazem porywająca. Przez moment chciałam przyznać mu rację.

– Wyobraź sobie, że siedzimy w kawiarni naprzeciwko siebie kompletnie trzeźwi w świetle dnia i nagle dochodzimy do przekonania, że zupełnie do siebie nie pasujemy – kontynuował swój wywód miękim, kuszącym tonem. – Mógłbym cię zanudzić na śmierć opowiadaniem o golfie i o samochodach. Ty natomiast mogłabyś mi powiedzieć, że masz młotkowaty palec. A może mogłabyś mi go nawet pokazać.

Nie sposób było się nie roześmiać.

– W porządku, z tym młotkowatym palcem z pewnością by się nie udało, bo już jestem nim zauroczony – kontynuował swój wywód Mathias. – Ale z pewnością są inne rzeczy, które... Po prostu musimy się bliżej poznać i tyle.

– Na ile bliżej? – zapytałam.

– To się okaże. Musimy to odkryć.

– Nie! To jest... to dla mnie... zbyt niebezpieczne. Mam zbyt wiele do

stracenia. – Miałam wrażenie, że brzmię niczym jakaś marna szansonistka.
– Teraz się rozłączam.

W rzeczywistości nawet nie ruszyłam palcem. Z telefonem przy uchu, wstrzymując oddech, czekałam na jego odpowiedź.

– Jestem w Kolonii do jutrzejszego popołudnia. Zadzwoń do mnie, jeśli zmienisz zdanie – powiedział. – Nawet na sekundę nie wypuszczę komórki z ręki.

Po czym, w przeciwieństwie do mnie, nacisnął klawisz, kończąc połączenie.

Kto nie robi błędów, nie ma szans nauczyć się
czegoś nowego.
Albert Einstein

– Wyglądasz na zmęczoną, dziecinko. – Matka Felixa uszczypnęła mnie w policzek. – Czy zażywasz dość witamin? Kwas foliowy jest bardzo ważny w okresie ciąży. Pisano o tym w ostatniej gazetce aptecznej.

– Nie jestem w ciąży, Luizo – wyjaśniłam.

– Czy powiedziałam coś takiego? – Teściowa mrugnęła do mnie. Z niewiadomego powodu od dłuższego czasu insynuowała mi ciążę. Dokładnie od jedenastu miesięcy. Może sądziła, że jestem słoniem. – Ja też pochwaliłam się teściowej dopiero w siódmym miesiącu.

Westchnęłam.

– Jeśli będziemy spodziewać się dziecka, z pewnością dowiesz się o tym pierwsza – zapewniłam.

Miałam za sobą czterdzieści osiem koszmarnych, ciągnących się w nieskończoność godzin, w czasie których desperacko próbowałam nie myśleć o Mathiasie. Rzecz jasna nic z tego nie wyszło. Wręcz odwrotnie. Krótko mówiąc: Mój rozsądek był niczym choroba, co prawdę powiedziawszy, odbiło się na moim wyglądzie.

Najtrudniejsze w życiu jest doprowadzić do
współgrania serca z głową.

Woody Allen

Ponadto moje postrzeganie rzeczywistości bardzo się zawężyło. Winę za ten stan rzeczy ponosiły przekłete motyle w brzuchu, wariacka karuzela i natrętne skrzypce. (Czy wspomniałam już może o skrzypcach? Wygrywano na nich bez przerwy jedno i to samo *Love Never Dies* i *I'm Still in Love with You*).

Ilekcóż Felix patrzył na mnie, pytał o coś albo mnie dotykał, wzbierało we mnie ogromne poczucie winy, które ścisnęło mi gardło, grożąc uduszeniem. Równocześnie musiałam walczyć z perwersyjną chęcią opowiedzenia mu, co się ze mną dzieje. Idiotyczne i zarazem paradoksalne, ale oprócz Ewy tylko

Felix doskonale mnie rozumiał. Człowiek, którego kochałam najbardziej na świecie i któremu za nic na tymże świecie nie chciałam sprawić bólu.

Na przyjęciu urodzinowym Lindy byłam obecna jedynie ciałem, gdyż mój duch błędził zupełnie gdzie indziej. Jedyne, co mi z tamtego popołudnia pozostało w pamięci, to kobieta z prowadzonej przez Lindę grupy tańca życia, która w zamierzeniu solenizantki miała stanowić główną atrakcję przyjęcia. Linda zaangażowała ją, by powróżyła nam z dłoni, mówiąc, co nas czeka. Tańcząca chiromantka stwierdziła, że mam na dłoni płamę, co oznacza, że niestety umrę młodo. Taka wczesna śmierć była z mojego obecnego punktu widzenia najlepszym rozwiązaniem. Nie miałam nic przeciwko natychmiastowemu rozstaniu się z tym światem, gdyż wówczas przynajmniej udałoby mi się uniknąć obiadu u teściów.

Jeśli pominąć syndrom wnuka, to matka Felixa była całkiem do wytrzymania. Natomiast teścia, Hermanna, nie znosiłam w tym samym stopniu co Floriana. Ojciec Felixa stanowił siwowłose, pozbawione poczucia humoru, podstarzałe wydanie młodszego synalka. Był równie arogancki, zarozumiały i ambitny. Do tego stopnia, że zamówił wykonanie herbu rodowego, który został między innymi wykuty w płycie piaskowca umieszczonej nad kominkiem.

Niezliczone projekty tej oznaki próżności leżały porozkładane, zajmując niemal cały stół.

– Chciałbym, żeby każdy członek rodziny został uwidoczniiony za pomocą jakiegoś symbolu – wyjaśnił. – Musi to być naturalnie coś ponadczasowego. Nie żadna tam rakietka tenisowa ani nic w tym rodzaju. Dla Felixa mógłby to być przykładowo sztylet, jako symbol skalpela.

– Jestem internistą, a nie chirurgiem – zauważył Felix, co ojciec skwitował głębokim westchnieniem, gdyż studia medyczne starszego syna były dla niego ogromnym rozczarowaniem. Marzyło mu się, że pewnego dnia obaj synowie będą ręką w rękę rządzili stworzonym przez ojca imperium obrotu nieruchomości „Leuenhagen i Synowie”. Teraz na placu boju pozostał jedynie Florian, który pewnego dnia sam będzie „musiał” kierować firmą, choć wszyscy – a zwłaszcza jego ojciec – doskonale zdawali sobie sprawę z faktu, że młodszy syn jest o wiele bardziej zajęty wydawaniem pieniędzy niż ich zarabianiem.

– Jeśli chodzi o zwierzę w herbie, to lew symbolizuje, ma się rozumieć,

mnie. Już samo patrycjuszowskie brzmienie nazwiska wyklucza jakąkolwiek inną opcję. Mimo to będę wdzięczny za każdą propozycję. A więc? – rzucił wszystkim zachęcające spojrzenie.

– Jednorożec byłby bardzo romantyczny – zauważyła Luiza.

– Bzdura – burknął Hermann. – A co ma do powiedzenia panna synowa? Może masz jakąś propozycję? Możesz chyba coś wymyślić, pomimo że nie nosisz naszego nazwiska. – Zawsze miał za złe mnie oraz prawodawstwu, że nie przyjął nazwiska męża. Uważał, że to największa głupota pozwolić, by zamężna kobieta pozostawała przy panieńskim nazwisku. – Jakie twoim zdaniem zwierzę symbolizuje najlepiej nasze rodowe nazwisko i naszą rodzinę?

Na jego miejscu nie zadawałabym takiego pytania. Przygryzłam wargę. *Wredna małpa. Uparty kozioł. Nadęty kogut. Napuszony paw. Śliski szczupak. Tępy baran. Nędzna glista. Durnowaty...*

– Konik morski! – wypaliłam, na co Hermann przewrócił oczami.

– Widzę, że w tak istotnych kwestiach nie należy pytać kobiet o zdanie.

Tym razem to ja przewróciłam oczami. Z największym wysiłkiem powstrzymałam się od przygadania mu, jak na to zasługiwał. Ale w stanie, w jakim byłam, słowna potyczka z męską częścią rodziny Felixa z pewnością zakończyłaby się moją klęską. Przynajmniej to nie budziło wątpliwości.

Zamiast wdać się w niepotrzebną wymianę zdań, wyłączyłam się wsłuchana w wewnętrzny dwugłos nadający na obu kanałach. Podczas gdy Hermann z Florianem przeszli z herbu rodzinnego na dom letniskowy na Fehmarn⁴, wymagający całego mnóstwa pilnych napraw (musisz to załatwić w Wielkanoc, Felixie; przecież dobrze wiesz, że Florian nie ma czasu), teściowa zaczęła drobiazgowo rozprawiać o objawach chorobowych swoich przyjaciółek, z którymi grywała w tenisa, oraz ich krewnych. Po czym zażądała od Felixa postawienia na odległość jednoznacznej diagnozy.

Problem w tym, że pomimo wieloletniego treningu nie byłam w stanie puszczać tych gadek mimo uszu, przytakując tylko od czasu do czasu, i równocześnie myśląc o swoich sprawach, do chwili gdy wreszcie będzie można pójść do domu. Swego czasu robiłam też ćwiczenia izometryczne na wzmocnienie mięśni pośladków. Naprężałam je niemal do bólu, gdy tylko padła jakaś wyjątkowo denerwująca albo głupia uwaga. Z biegiem czasu wskutek tych coniedzielnych treningów moje *gluteus maximus* nabrały takiej

twardości, że z powodzeniem mogłam nimi łupać orzechy.

Ale nie dziś. Dziś nie byłam w stanie skupić się na tym, co zawsze wykonywałam niemal bezwiednie.

– Ortopeda twierdzi, że chrząstka jest mocno nadwyrężona i że w tej sytuacji, jeśli chce się pozbyć bólu, może pomóc wyłącznie operacja. Na co powiedziałam jej: kochana Rosi, zaczekaj, aż zapytam syna, co o tym sądzi. – Luiza położyła dłoń na ramieniu Felixa. – Najlepiej będzie, jeśli od razu do niej zadzwonisz, gdyż nie znam się na tych waszych medycznych pojęciach. A poza tym dowiesz się dokładnie, o co chodzi. Hermann, skarbie, czy mógłbyś podać telefon? Felix chciałby zadzwonić do Rosi, żeby porozmawiać z nią na temat kolana. Dziękuję. Mam ją zapisaną pod dziewiątką. Wystarczy tylko nacisnąć. Powiedz, że jesteś *doktor* Felix Leuenhagen, wówczas od razu skojarzy, o co chodzi.

– Ale przecież nie jestem ortopedą – zauważył skonsternowany Felix, gapiąc się osłupiałym wzrokiem na telefon. – Poza tym bez badania nie jestem w stanie...

– Ale jako lekarz możesz dużo lepiej ocenić sytuację niż my, laicy. – Teściowa nie zamierzała popuścić. – Przestań się certolić i zrób wreszcie coś dla mnie...

Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego właśnie w tym momencie w moim mózgu rozległo się cichutkie kliknięcie. Fakt włączenia się do rozmowy dotarł do mnie dopiero w połowie czwartego zdania.

– Przecież są, do cholery, ważniejsze sprawy na świecie niż jakaś kretyńska chrząstka w kolanie obcej baby. To nie do wiary, że marnujecie czas mój i Felixa na tego typu głupstwa! A do tego jeszcze zawsze nas zmuszacie, żebyśmy spędzali urlopy w waszym parszywym domu letniskowym, bo potrzebujecie głupiego do roboty, który wszystko ponaprawia! Życie jest i tak wystarczająco skomplikowane, by marnować je na wymyślanie jakichś cholernych herbów rodzinnych i sztyletów, po to tylko, żeby... – Nagle zamilkłam.

Co ja tu właściwie robię? Cała rodzina, łącznie z Felixem, patrzyła na mnie, jakbym nagle postradała rozum. I może naprawdę tak było. Ale wcale nie czułam się źle. Wręcz przeciwnie. Kto twierdzi, że zawsze należy zachowywać się rozsądnie? Czy nie wystarcza, że punktualnie płacę rachunki, nie robię debetów na koncie i co wieczór starannie zmywam

makijaż? Poderwałam się z krzesła tak szybko, że aż zadzwoniła porcelanowa zastawa na stole.

Gdzież może być lepiej niż na łonie rodziny?

Jean-François Marmontel

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza – oznajmiłam, idąc w kierunku drzwi. – Przepraszam.

– Wcześniej było zupełnie nie do pomyślenia, żeby kobiety przeklinały – dotarły do moich uszu słowa ojca Felixa. – Mamy to do zawdzięczenia wyłącznie tej całej Alice Schwarzer⁵.

– Z pewnością zrobiło jej się niedobrze. Też zawsze byłam w ciąży taka pobudliwa – stanęła w mojej obronie matka Felixa.

Porwałam płaszcz z garderoby, złapałam w pośpiechu torebkę i nie czekając na reakcję Felixa, wypadłam z domu. Zatrzymałam się dopiero na ulicy, żeby poczekać na męża.

Lecz Felix się nie pojawił.

Przez dobre pięć minut spacerowałam po chodniku tam i z powrotem, nie spuszczać ani na moment z oczu drzwi wejściowych, które ani drgnęły. No dobrze, może przesadzam. Może nie było to pięć minut, ale trzy. Albo dwie i pół. W każdym razie pętałam się pod domem teściów o całą minutę za długo.

Nagle podjęłam decyzję. Skoro zebrałam się na odwagę, by zakłócić Leuenhagenom idyllę niedzielnego obiadku, to co właściwie stało na przeszkodzie, żeby spróbować raz jeszcze? Żeby zdobyć się na kolejny krok? Przystanek tramwajowy znajdował się w odległości niecałych pięciu minut. Pędząc, wyłowiłam z torebki komórkę.

Mathias odebrał już po pierwszym dzwonku.

– O której odjeżdża twój pociąg? – zapytałam.

Na rozdrożach życia nie ma żadnych
drogowskazów.
Charlie Chaplin

– Pomidory! – wrzeszczał ktoś nieopodal. Bezdomny w rozchełstany płaszczu, o potarganych siwych włosach sterczących na wszystkie strony, miotał się w hali dworca, drąc się wniebogłosy: – Pomidory! Wszyscy macie pomidory na oczach! Widzicie tylko to, co chcecie!

Przeszedł tak blisko mnie, że poczułam odór alkoholu z jego ust. Szybko opuściłam wzrok. Oberwaniec dalej się darł:

– Sądzicie, że macie rozum i że to ja jestem pomyłony. Ale to nieprawda. Jest dokładnie na odwrót. To wy macie źle w głowach!

Właściwie trudno było mu zaprzeczyć. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Co prawda nie biegłam z obłędem w oczach po dworcu, wrzeszcząc na ludzi, tylko stałam spokojnie przed Starbucksem, czekając na mężczyznę odpowiedzialnego za motyle w moim brzuchu, którego pociąg odjeżdżał do Berlina dokładnie za pół godziny.

Równie wariacki, a właściwie nie tyle wariacki, co niepojęty był fakt, że tramwaj nadjechał natychmiast, gdy skończyłam rozmowę, i że w ciągu niespełna dwunastu minut znalazłam się na dworcu, co teoretycznie było niemożliwe, jeśli wierzyć rozkładowi jazdy Zakładów Komunikacji Miejskiej Kolonii. Jednak tego niedzielnego popołudnia stał się cud. To były niemal czary. Los zdecydowanie mi sprzyjał. Niezaprzeczalnie robił co tylko mógł, żeby umożliwić mi spotkanie z Mathiasem.

Fakt faktem, nie udało mi się zagłuszyć wyrzutów sumienia, jakie miałam w stosunku do Felixa. Ale przecież nikt inny tylko on sprawił, że zastąpiła je złość. Powodem takiej zmiany nastroju był telefon. Felix wprawdzie zadzwonił, ale dopiero wówczas, gdy dojeżdżałam do dworca.

– Gdzie się podziewasz? Przetrzęsnałam już cały ogród. – Troska w głosie Felixa chwilowo wytrąciła mnie z równowagi. Ale tylko na moment. Przeszło mi, gdy usłyszałam: – Mamy jeszcze deser. Tiramisu, za którym przecież przepadasz.

Nie do wiary!

– Felixie, być może nie zauważyłeś, gdyż byłeś zbyt zajęty chrząstką w kolanie Rosi, względnie wyszukiwaniem odpowiedniego herbu, ale tak się składa, że w jadalni twoich rodziców tylko co przeżyłam prawdziwe załamanie nerwowe. Z miejsca przyszło mi do głowy co najmniej dziesięć pomysłów na to, co bym najchętniej zrobiła z tiramisu twojej matki, zamiast je zjeść.

Przerwałam połączenie. Zdawałam sobie sprawę, że zachowałam się nie fair i podle. Czułam się jak najgorsza żona od czasów Henryka VIII⁶, lecz nie potrafiłam inaczej.

Moje serce nie było w stanie niczego zmienić.

Ruchome schody wiozące mnie w górę do głównej hali dworca dosłownie pędziły. Przebiegłam krótki odcinek do Starbucksa w niemal olimpijskim tempie. Gnając na złamanie karku, miałam nadzieję, że moja fryzura była w mniejszym nieładzie niż moje emocje.

A teraz stałam w umówionym miejscu, szarpiąc nerwowo gumkę do włosów i rozglądając się wokół w poszukiwaniu oczu w kolorze błękitnego aksamitu. Równocześnie, nie chcąc przestraszyć dzieci, starszych ludzi oraz obsługi Starbucksa, próbowałam kontrolować na wpół debilny uśmiech, co udało mi się jedynie po części, gdyż przez cały czas myśli zaprzętała mi blask oczu Mathiasa. I jego cudowny zapach, jak również zabawny sposób opowiadania oraz głęboki tembr głosu.

Wyobrażałam sobie jego cudowne pocałunki. Na tym punkcie zawsze byłam bardzo wrażliwa. Moja statystyka (przyznaję, że prawdopodobnie całkowicie nieistotna z naukowego punktu widzenia, ze względu na skromne doświadczenie) wskazywała, że mężczyźni, średnio rzecz biorąc, nie wypadali zbyt dobrze, jeśli chodziło o całowanie. Spośród dziewięciu mężczyzn, z którymi się całowałam w swoim dotychczasowym życiu (poczynając od czasu, gdy skończyłam czternaście lat, żeby nie musieć uwzględniać kuzyna Bertrama), pocałunki jednego z nich kojarzyły mi się z oślizłą zdechłą rybą, sześciu zaś wyczyniało językiem różne paskudztwa (wpychało go głęboko do ust, międliło, ćmokało, penetrowało...). Jedynie dwóch (jednym z nich był Felix) całowało naprawdę jak trzeba. Pytanie, czy Mathias dorówna tamtym dwóm. A może raczej należałoby zadać pytanie, czy Mathias w ogóle będzie miał ochotę mnie pocałować.

Gdzież on się właściwie podziewał? Nerwowo spojrzałam na ogromny

kolejowy zegar. Czternasta trzydzieści cztery. Jego pociąg odjeżdżał za dwadzieścia cztery minuty. Powiedział mi, że z hotelu do dworca ma tylko jedną stację metra. Właściwie powinien był zjawić się tu przede mną. A może się rozmyślił?

Nagle moja podróż tramwajem w rekordowym tempie wydała mi się wysoce podejrzana. To było zbyt oczywiste. Los nie sprawia przecież takich niespodzianek. W każdym razie nie mnie. Prawdopodobnie chodziło mu o to, żebym się opamiętała i uświadomiła sobie, jak długo można robić z siebie pośmiewisko bez narażania się na utratę poczucia własnej wartości.

Czas pędził jak szalony. Minuta po minucie. Moja komórka milczała jak zaklęta. Wskazówka ogromnego zegara przesuwiała się nieubłaganie do przodu. Do odjazdu pociągu pozostawało jeszcze niespełna dziesięć minut. Przede mną defilowały wszystkie kolory oczu występujące na naszej planecie, począwszy od zieleni traw aż po brąz linoleum. Trafiły się nawet żółte w odcieniu piasku pustyni (na plakacie). Ale nie było wśród nich ani jednej pary w kolorze błękitnego aksamitu. Gdzie były?

Jeszcze tylko szesnaście minut.

Opuściłam ramiona. Szczerze powiedziawszy, nie byłam w stanie brać Mathiasowi za złe, że się nie pojawił. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby się zadawać z żeńskim wydaniem Henryka VIII? Do tego jeszcze o chwiejnym charakterze.

– Pomidory! – rozległ się ponownie wrzask bezdomnego obdartusa z trudnego do zidentyfikowania kierunku. – Wszyscy macie pomidory na oczach! Ale mówię wam, że wszystko ma swój koniec! Wkrótce nastąpi zagłada.

I tym razem nie mogłam zaprzeczyć. Zbliżał się kres mojego oczekiwania. Ponadto ogarnęło mnie nieodparte wrażenie, że koniec świata to kwestia najbliższych paru chwil. Rzuciłam raz jeszcze spojrzenie na kolejowy zegar, a następnie na wyświetlacz komórki, na którym nie było widać żadnego nieodebranego połączenia ani nieotwartego SMS-a. Jakimś cudem udało mi się ucześcić marnej resztki poczucia własnej godności i odtrąbić odwrót. Powolutku ruszyłam przed siebie, czując, jak w ciągu zaledwie paru minut postarzałam się o całe trzydzieści lat.

Ruchome schody prowadzące w dół, na peron metra, nie działały. Jakiś brodaty śmierdzący grubas w taniutkim garniturze zablokował całe

przejście. Kolejny pociąg, jak wynikało z wyświetlonej na peronie zapowiedzi, spóźniał się i miał nadjechać nie wiadomo kiedy. Za moimi plecami bezdomny niezmordowanie wieścił koniec świata.

Było jak zwykle. A zatem w czym problem?

W moim brzuchu masowo umierały motyle. Powoli zamierały ruchy ich skrzydeł. Padały jeden po drugim, kończąc swój krótki żywot. Ale może to i lepiej? W każdym razie rozsądnie. A do tego dużo... doroślej.

– Kati!

Zdezorientowana spojrzałam na przeciwległy peron, z którego właśnie odjeżdżał pociąg metra. Głos dochodził z grupy mężczyzn w skórzanych spodniach, z puszkami piwa w dłoniach i koszulkach z napisem „Bóg seksu opuszcza Olimp”. (Tego ostatniego nie byłam całkiem pewna, bo z tej odległości nie mogłam dokładnie odczytać, mimo to byłam przekonana, że nie może być mowy o pomyłce, gdyż mężczyźni na bezsensownych wieczorach kawalerskich zawsze nosili koszulki z takimi napisami).

Kto wierzy w siebie, ten wzbija się ponad innych.

Mądrość chińska

– Kati! Zaczekaj!

Ponownie zadałam sobie pytanie, skąd jakiś facet w skórzanych portkach mógł znać moje imię i dlaczego motyle zdychające w moim brzuchu nagle się ożywiły. Nagle go spostrzegłam: Mathias wyłaniający się z grupy samozwańczych bogów seksu, któremu przyszył nowożeniec bezpardonowo wbił łokieć w brzuch, co sprawiło, że zniknął mi z pola widzenia, by po paru sekundach pojawić się po mojej stronie peronu, pędząc w dół jak oszalały po nieczynnych ruchomych schodach. Skrzypce, ożywione nagle niczym motyle, zaintonowały *Oh, what a man*.

Przede mną wyrósł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki niemogący złapać tchu Mathias o oczach niczym błękitny aksamit i ujmującym uśmiechu. Dokładnie taki jak w moich marzeniach. A nawet jeszcze bardziej cudowny. Uśmiechał się, jakby w życiu nie widział nikogo równie pięknego jak ja.

W głowie miałam tysiące pytań, na przykład dlaczego zjawił się dopiero teraz albo dlaczego nie zadzwonił, albo jak mnie rozpoznał na peronie metra. Jednak żadne nie przeszło mi przez usta. Zamiast tego stałam

wpatrzona w niego jak zaklęta, do chwili aż odciągnął mnie nieco od krawędzi peronu.

– Dlaczego zmieniałaś zdanie? – zapytał.

Ponieważ już dłużej nie mogłam wytrzymać. Bo nie potrafiłam inaczej. Dlatego że najwidoczniej w głębi duszy jestem pozbawioną sumienia, wiarołomną szmatą. Z powodu twoich niesamowicie pięknych oczu...

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. – Z największym wysiłkiem udało mi się opanować drżenie głosu. – Nigdy wcześniej... nic takiego mi się nie przydarzyło. I jestem... jestem całkiem... zupełnie... bezradna.

– Nie tylko ty.

– A co z twoim pociągiem...? – Próbowałam się skoncentrować.

– Nie zaprzataj sobie głowy tym przeklętym pociągiem – przerwał mi w pół słowa. – Czy wiesz, co jest w tym wariactwie?

No właśnie, co?

– Moja siostra Tina bez przerwy zakochuje się w żonatych mężczyznach, a po krótkim czasie musimy składać do kupy jej złamane serce i pozbawione sensu życie. Za każdym razem powtarzam jej, że jest skończoną idiotką, zakochując się w tych mężczyznach i wiedząc z góry, że nic z tego nie wyniknie z wyjątkiem komplikacji.

– Czy to ta siostra, która zamknęła cię w szafie, czy ta, która mieszka w Nowym Jorku?

– Ta od szafy. Ale to chyba nie ma znaczenia która. Chcę ci powiedzieć... – Nabrał powietrza w płuca i spojrzał na mnie z powagą. – Teraz wiem, że nic na to nie można poradzić.

I wówczas pochylił się i delikatnie pocałował mnie w usta.

Jak wspomniałam, jestem szczególnie wrażliwa na pocałunki. Do tego jeszcze byliśmy w zupełnie nieodpowiedniej scenerii, gdyż stacje metra w Kolonii nie mają za grosz romantyzmu. Mimo to miałam uczucie, że wszystko jest dokładnie takie, jak być powinno. Przez moment mój ogarnięty chaosem świat wrócił do porządku.

– Psiakrew – szepnęłam, gdy skończył mnie całować.

Mathias uśmiechnął się leciutko i pogłaskał mnie po włosach.

– Jestem dokładnie tego samego zdania. Psiakrew, zakochałem się.

Ponownie zaczęliśmy się całować, co sprawiło, że tysiące motyli w moim brzuchu nagle się ożywiło, by wykonywać jeszcze bardziej zwariowany

taniec szczęścia. Obawiałam się, że znowu dopadną mnie wyrzuty sumienia, omotując mnie niczym wielka czarna peleryna. Zdziwiona zauważyłam, że wcale się nie pojawiły. Wręcz przeciwnie. Czułam się znakomicie. Cudownie tętniąca życiem. Cudownie nierozsądna. Cudownie bezradna.

– Pomidory! Pomidory na oczach! – Tuż za nami rozległ się głos prorokującego obdartusa. Mijając nas, nagle się zatoczył, co sprawiło, że Mathias wypuścił mnie na moment z objęć, by przepuścić zataczającego się mężczyznę. – Nie widzicie świata takim, jaki jest naprawdę.

Choć jego przesycony alkoholem oddech niemal zwałił mnie z nóg i żeby uniknąć zderzenia, musiałam się przesunąć na krawędź peronu, nie mogłam powstrzymać uśmiechu, gdyż świat nagle nabrał sensu. Wszystko jedno prawdziwego czy złudnego. Lecz nasz kaznodzieja miał najwyraźniej odmienny pogląd w tej kwestii.

– Świat jest skazany na zagładę! – wrzeszczał, usiłując przekrzyczeć hałas nadjeżdżającego pociągu. – Tak samo jak wy.

Celem podkreślenia złowieszczego proroctwa wykonał szeroki gest, co sprawiło, że się zatoczył i by odzyskać równowagę, zaczął bezładnie wymachiwać rękami na wszystkie strony. Chcąc uchronić się przed uderzeniem o kamienną posadzkę, złapał mnie za ramię.

Ostatnim dźwiękiem, który usłyszałam, spadając na szyny razem z nieszczęsnym prorokiem, był krzyk Mathiasa wypowiadającego moje imię.

Przyszło mi na myśl, że to właśnie jedna z tych sytuacji, w których widzi się przed oczami, niczym na filmie, całe swoje życie. W moim przypadku tak się nie stało, gdyż nie było na czasie. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyłam, były światła pędzącego pociągu. Ogromne reflektory tuż przed moją twarzą.

Niespodzianki mają miejsce dokładnie wtedy, gdy
się ich nie spodziewamy.
Wilhelm Busch

Jak wspomniałam, życie wcale nie przewinięło mi się przed oczami niczym film. Nie mignął mi nawet najdrobniejszy jego szczegół. Dobrze sobie: tunel, jasne światło oraz niebiańska muzyka! I jeszcze do tego ostatnie mądre myśli. Horrendalna bzdura, nic więcej. Zwyczajnie zapadłam w ciemność. A jedyną myślą, która wpadła mi do głowy, była krzykiem rozpacz, że przecież nie chcę jeszcze umierać!

No cóż.

Nie czułam bólu. Naprawdę nic mnie nie bolało, co uznałam za niemal stuprocentowy pewnik, że jestem martwa. Uczucie, które mnie wypełniało, było zupełnie nowe. Całkowicie niezwykle.

Nie zdobyłam się na otwarcie oczu. Bałam się nawet oddychać.

– Tak, to ci dopiero widok, prawda? – Nagle dotarł do mnie głos starszej pani. – Prawda, że dla czegoś takiego oplaca się długo wspinać?

W porządku. Potwierdza się, że trafiłam do nieba. A na dodatek okazuje się, że Bóg jest kobietą, i do tego mamroczącą coś trzy po trzy. Głos wydał mi się dziwnie znajomy.

Nagle dotarło do mnie, że po śmierci nadal się oddycha. Ostrożnie otworzyłam oczy. Ujrzałam świetlistą biel, co mnie upewniło, że jestem w niebie. Jednak po chwili spostrzegłam paskudne rysy oraz nierówne tynki nałożone byle jak na zwichrowane, niestarannie przyśrubowane płyty gipsowo-kartonowe.

– Wcześniej leżałam na dole, na drugim piętrze, jak miałam problem z podbrzuszem. Ale tu, na górze, podoba mi się o wiele bardziej. – Przez cały czas wyraźnie słyszałam kobiecy głos. – Gdyby tylko nie to złamanie kości biodrowej. Ale, ale, proszę popatrzeć, już się obudziła.

I nie tylko się obudziłam, ale do tego jeszcze usiadłam. A więc nie umarłam! Leżałam w szpitalnym łóżku. A Bóg wcale nie był kobietą, tylko...

– Pani Grafinski! – wrzasnęłam. O mój Boże (ha, ha, ha), to przecież ta sama urocza starsza pani, z którą parę lat temu leżałam w tym samym

pokoju, gdy trafiłam do szpitala z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego. Wówczas też miała identyczne siwe loczki i dokładnie taką samą luźną, ciągle opadającą sztuczną szczękę. Najwidoczniej biedaczka znowu złamała nogę.

– Baronski! – sprostowała, obdarzając mnie serdecznym uśmiechem. – Spała pani jak zabita, moja droga. Napędziła pani siostrze porządnego stracha. Ale wyjaśniłam jej, że musi się pani wyspać, gdyż ja w nocy bardzo hałasuję. Jak to starzy ludzie. A jeszcze do tego siostra dała pani te malutkie różowe pigułki, po których śpi się cały dzień.

Dokładnie tak samo jak wtedy. Przypomniałam sobie, jakby to było wczoraj: pani Baronski nie tylko potężnie chrapała, ale jeszcze do tego puszczała wiatry niczym nazarty osioł. Obróciłam się do okna, przy którym stała, spoglądając na mnie, Ewa.

Momentalnie rzuciły mi się w oczy dwie rzeczy. Po pierwsze: Ewa znowu nosiła wystrzępioną grzywkę. Po drugie: pokój szpitalny był identyczny jak ten, w którym wówczas leżałam z panią Baronski. Nawet uszkodzona żaluzja była identyczna i zwisała w lewym oknie równie krzywo jak przed laty. Prawdziwy obłęd.

– Ojej, mam nadzieję, że was nie przestraszyłam – zwróciłam się do Ewy. – Od momentu upadku nic sobie nie przypominam. Dobry Boże! To prawdziwy cud! Byłam święcie przekonana... A co z tym facetem? Czy też wyszedł z tego cało?

– Czyżby przyśnił ci się jakiś mężczyzna, kochanie? Zapytałaś go może, czy pójdzie z tobą na ślub? Wygląda na to, że będziesz musiała siedzieć koło kuzyna Bertrama. – Ewa posłała mi radosny uśmiech spod wystrzępionej grzywki. Pominąwszy nieszczególną fryzurę, wyglądała niesamowicie. Ani śladu po nieprzespanych nocach. Zmarszczki zaś na czole, które nazywała „matczynymi oznakami powrotu do zdrowia”, były niemal niewidoczne. Czyżby się ostrzyknęła...

– Botoks! Coś podobnego! – Wręcz zaniemówiłam z wrażenia. – A byłaś taka przeciwna zrobieniu sobie zwykłych pasemek, twierdząc, że tylko niszczą włosy... A co ze ślubem?

Ewa spojrzała na mnie zdziwiona.

– Ależ kochanie! Te środki, które ci zaaplikowano, musiały być naprawdę silne.

– Dlaczego mi... – Zamilkłam, widząc torebkę wiszącą na oparciu krzesła. Wyglądała identycznie jak ta, którą mi ukradziono w ubiegłym roku.

– Nie martw się. Kuzyn Bertram to tylko żart. – Ewa usiadła na brzegu łóżka i pogładziła mnie po ręce. – Wyswatamy go z którąś z koleżanek Roberta z pracy. A dla ciebie... Co robisz?

Odkryłam kołdrę i zaczęłam podciągać flanelową piżamę w kwiatki, którą jak sądziłam, wyrzuciłam dobrych parę lat temu. Skąd Felix mógł ją wygrzebać? Nie do wiary, że ją znalazł i na dodatek przywłókł do szpitala. Chciałam się przekonać, jak bardzo jestem pokiereszowana, gdyż było nieprawdopodobne, żebym wyszła z takiego wypadku bez żadnej szramy. Upadek nastąpił przecież ze znacznej wysokości i wcale nie należał do łagodnych, gdyż wylądowałam na wyjątkowo twardym podłożu. Nawet jeśli nadjeżdżający pociąg mnie nie potrącił (biedny maszynista z pewnością przeżył szok!), to przecież nie mogło się obyć bez sińców. I to całkiem pokaźnych. Jednak na ramionach nie miałam nawet najmniejszego śladu. Nic! Dopiero po podciągnięciu góry piżamy zauważyłam opatrunek na brzuchu.

– Co to takiego? – zdziwiłam się, dotykając ostrożnie plastra. Poczułam lekki ból. No proszę. Z pewnością jakieś obrażenia wewnętrzne. Być może pęknięcie śledziony albo zmiżdżenie wątroby.

– Prawdę mówiąc, Kati, napędziłaś mi stracha – przyznała Ewa. – Jeśli nie przestaniesz dziwnie się zachowywać, zawołam siostrę i zapytam, co ci, u diabła, dali. Nie mają, do jasnej cholery, prawa faszerować ludzi pigułkami nasennymi wywołującymi halucynacje niczym cukierkami. Przecież od operacji minęły już trzy dni.

Amerykanin, który pierwszy odkrył Kolumba,
dokonał doprawdy paskudnego odkrycia.

Georg Christoph Lichtenberg

– Co to mi dokładnie zoperowano? – zapytałam, wpatrując się w niewielki, niegroźnie wyglądający opatrunek na brzuchu, identyczny jak ten po wycięciu wyrostka. I na dodatek umieszczony dokładnie w tym samym miejscu. Nagle dotarło do mnie, co powiedziała Ewa. *Trzy dni?* Operacja była trzy dni temu? Nagle poczułam suchość w ustach.

– A jak myślisz, co się operuje przy zapaleniu wyrostka robaczkowego? –

Ewa przewróciła oczami. – Z pewnością nie przegrodę nosową!

– Jak długo byłam nieprzytomna? – Wbiłam paznokcie w jej ramię. – Którego mamy dzisiaj? Gdzie jest Felix? Dlaczego pani Baronski znowu złamała nogę i dlaczego znowu leżymy w tym samym pokoju? – Ewa wzdrygnęła się pod natłokiem moich pytań, które wypluwałam z szybkością karabinu maszynowego. – Co się stało z bezdomnym facetem? Kto mi pomalował na fioletowo paznokcie u nóg? Dlaczego mówisz te wszystkie niedorzeczności? Skąd się wzięła ta torebka? I dlaczego nosisz kolczyki? – Gwałtownie wciągnęłam powietrze. – Przecież nie nosisz niczego w uszach od dnia, w którym Henri rozerwał ci mał... Dokąd idziesz?

Ewa skoczyła na równe nogi.

– Dość tego! To przecież jakaś paranoja! Pani Baronski, jak się nazywa pielęgniarka, która dała Kati te przeklęte pigułki?

– To była siostra Sabina. Pozna ją pani po szerokich biodrach. – Pani Baronski była wyraźnie rozbawiona. – Bardzo szerokich. Nie do przeoczenia. Z pewnością wpadną pani w oko... No proszę! Oto siostra Sabina. O wilku mowa.

– Noj, noj, noj! Oj lia-lia! Tylko proszę nie zapominać, kto przynosi pani co rano basen. – Siostra Sabina uśmiechnęła się dobrodusznie. W istocie miała niesamowity obwód bioder, który w żaden sposób nie mógł ujść uwagi. I to niezależnie czy patrzyło się z przodu czy z tyłu. Wyglądała, jakby połknęła fortepian. Stąd też utkwiała mi w pamięci. Jak również z powodu śmiesznej miejscowej gwary, którą się posługiwała. Do dziś pamiętałam jej „Oj lia-lia” oraz „Hopla-polpa”, których używała zupełnie bez związku i sensu. Siostra Sabina już wówczas pracowała na oddziale. I już wtedy miała to wyrozumiące spojrzenie, z którym upewniała Ewę, że dała mi jedynie nieszkodliwy, łagodny środek uspokajający. Do tego w niewielkiej dawce.

Słowo raz wypowiedziane nie powraca.

Horacy

– Ale jej naprawdę trochę pomieszało się w głowie – pośpieszyła Ewie z pomocą pani Baronski. – Nie wie nawet, że dziś niedziela. Bo dziś mamy niedzielę, prawda?

– Lekka przesada z tym „trochę”! Jej się przecież kompletnie pomieszało – oburzyła się Ewa. – Tylko co pytała o naszego kota Felixa, który zdechł

dobrych piętnaście lat temu. Chcę wiedzieć, coście jej dali. A przede wszystkim chcę rozmawiać z lekarzem prowadzącym.

– Dwadzieścia – stwierdziłam.

– Co dwadzieścia? – zapytała Ewa.

– Kot! Zdechł dwadzieścia lat temu. Ale nie o niego mi chodzi. Miałam na myśli *prawdziwego* Felixa. – Głos mi zadrżał. – Gdzie on jest?

– No widzi pani? – Ewa o mało się nie rozplakała. – Przecież ona jest zupełnie otumaniona – stwierdziła, głaszcząc mnie po ręce. – Nie pamiętasz, Katineczko? Musieliśmy uśpić biednego staruszka Felixa w dniu twoich piętnastych urodzin...

– Pewnie, że doskonale pamiętam. – Opadłam na poduszki, gdyż poczułam nagle szarpnięcie w ranie na brzuchu. A poza tym zaczęło mi świtać, że coś tu jest nie tak. Aby zadać kolejne pytanie, musiałam najpierw zamknąć oczy.

– Którego mamy dzisiaj?

– Drugi kwietnia – pospieszyła z odpowiedzią siostra Sabina.

– Niedziela – dodała pani Baronski pogodnym tonem. – Albo poniedziałek. Zacerpnęłam powietrza.

– Którego roku? – To pytanie zadałam szeptem.

To niezwykle przydatne w życiu móc możliwie jak
najwcześniej popełnić błędy, na których się
człowiek uczy.
Winston Churchill

A zatem 2006!

Rok, w którym przeprowadziłam się do Kolonii, by rozpocząć pracę w G&G Impulse Consulting. Rok, w którym miałam zupełnie niepotrzebne zapalenie wyrostka robaczkowego i w którym poznałam Felixa. Rok, w którym spotkałam Marlene, moją najlepszą przyjaciółkę. Rok, w którym Ewa zrobiła sobie pasemka i nosiła grzywkę. Rok, w którym wymarzony ślub okazał się KOSZMARNYM ŚLUBEM. I który w tym momencie jeszcze się nie zdarzył.

To było jakby... *odpłynięcie*. Albo jak by się wyraziła siostra Sabina: „Hopla-polpa, dostaliśta kopla”.

Tymczasem nastąpiła noc. W sąsiednim łóżku pani Baronski chrapała we wszystkich możliwych tonacjach. Wpatrując się w półmroku w sufit, próbowałam uporządkować myśli, które kręciły mi się w kółko w głowie niczym szczeniak uganiający się za własnym ogonem.

Po raz chyba dziesiąty dochodziłam do wniosku, że najwidoczniej pędzący pociąg metra cofnął mnie w czasie o pięć lat. Pomijając fakt, że pociągi służą do czegoś zgoła innego niż zabieranie ludzi w podróż w czasie i że to wszystko było nie tylko niemożliwe, lecz jeszcze ponadto zupełnie nie do pomyślenia, gdyż... gdyż coś takiego zwyczajnie się nie zdarza. Moje poplątane myśli miały tyle wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, ile uczesanie Ewy z twarzą fryzurą.

Z drugiej strony dowody na to, że *znalazłam się* w 2006 roku, były jednoznaczne. Świadczyła o tym między innymi świeża rana po wycięciu wyrostka robaczkowego, chrapanie pani Baronski i ukradzioną torebkę, w której znalazłam swoją starą komórkę. Bez zapisanych w pamięci numerów Felixa i Mathiasa, których wówczas jeszcze nie spotkałam.

Ni z tego, ni z owego dostałam napadu histerycznego chichotu. Śmiałam się tak głośno, że aż w chrapaniu pani Baronski pojawił się pytający ton.

Przestraszona zakryłam usta dłonią. Wystarczyło, że wczoraj napędziłam Ewie potwornego stracha pozbawionymi sensu pytaniami bez ładu i składu. Na szczęście w którymś momencie jakoś udało mi się odnaleźć w upiornej terażniejszości, będącej dla mnie przeszłością. Przynajmniej na tyle, by trzymać buzię na kłódkę i zapanować nad ogłupiałym spojrzeniem, co nieco uspokoiło moją siostrę. W przeciwnym razie leżałabym teraz nie na chirurgii miękkiej, ale na psychiatrii jako *szczególnie interesujący przypadek schizotypowego zaburzenia osobowości. Pacjentce wydaje się, że pojawiła się z przyszłości i że wszystko, co ją otacza, jest złudą...*

Jeden rzut oka na świat dowodzi, że horror to nic innego jak otaczająca nas rzeczywistość.

Alfred Hitchcock

O Boże ty mój! Żeby to była złuda! Musiałam przyznać, że wszystko wyglądało jak prawdziwe. Prawdziwe też były moje odczucia. Po tysiącokrotnie rzeczywista pani Baronski przewróciła się na drugi bok. Czułam nawet woń dochodzącą od strony jej łóżka. Niestety!

Uszczypnęłam się na próbę w ramię. Uau! Zabolalo jak diabli. A zatem ból też był rzeczywisty.

Więc musiała to być jawa, nie sen.

Z drugiej strony wiadomo przecież, że ludzka podświadomość jest w stanie wyczyniać niesłychane rzeczy. Istniało zatem niewielkie prawdopodobieństwo, że być może wcale nie zwariowałam, a zwyczajnie leżałam sobie w głębokiej śpiączce w jakimś tam szpitalu w roku 2011, a wszystko to zwyczajnie mi się śniło.

Albo – co też nie było pozbawione pewnej logiki – naprawdę umarłam i żyłam życiem pośmiertnym. Zadziwiające było jedynie to, że do mojej śmierci pozostawało jeszcze dobrych pięć lat.

Na myśl, że mogę być martwa, zaczęłam płakać. Biedny Felix! Kto będzie mu teraz przypominał o goleniu obu policzków? I kto go rozweseli, gdy znowu pojawi mu się ze zmartwienia zmarszczka pomiędzy brwiami? Wspomnienie rodziców, siostry oraz Marlene sprawiło, że rozbeczałam się na dobre. Ich obraz, stojących w deszczu nad otwartym grobem (na moim pogrzebie z pewnością będzie lać), niemal złamał mi serce. Być może Mathias też przyjdzie na mój pogrzeb i stanie pod jednym z drzew...

Biedulek! Nie tylko był świadkiem mojej śmierci, ale jeszcze na dodatek musiał opisać policji w najdrobniejszych szczegółach, jak do niej doszło. W rezultacie Felix dowiedział się o Mathiasie i teraz zapewne cierpiął podwójnie... O mój Boże! Tylko nie to! Zapewne po tym, jak wszyscy się rozejdą, będzie stał samotnie nad moim grobem, blady, nieogolony, zadając wciąż to samo pytanie: „Dlaczego, Kati, dlaczego?“, do czasu aż pojawi się jego ojciec, żeby go stamtąd zabrać. Być może powie mu wówczas: „Chłopcze, rynna w domu letniskowym jest w fatalnym stanie. Musisz ją naprawić, bo Florian nie ma czasu”.

Nie! Zdecydowanie nie chciałam być martwa!

Poza tym, czyż nie można zwyczajnie ignorować dowodów oraz faktów? Ostatecznie inteligencja to umiejętność pogodzenia się z sytuacją i dostosowania się do zastanych okoliczności. Powtarzanie sobie w kółko, że niemożliwe, bym wylądowała we własnej przeszłości, do niczego nie prowadzi. Najwidoczniej coś takiego było *możliwe*, gdyż w przeciwnym razie by mnie tu nie było.

Tak czy siak!

W tym momencie rozboleła mnie głowa, czego powodem były zapewne moje skomplikowane rozważania. Do tego jeszcze wpadła mi do głowy arcyparadoksalna myśl: A jeśli okres życia do roku 2011 zwyczajnie sobie uroiłam? Kto wie, może przyczyną był guz mózgu albo pigułki siostry Sabiny? A może Felix, KOSZMARNY ŚLUB, Mathias i wszystko inne to tylko wytwór mojej wyobraźni? Albo halucynacja? Szybko jednak odrzuciłam tę myśl, w głębi ducha zdając sobie sprawę, że to nieprawda. Poza tym istniało realne niebezpieczeństwo, że od natłoku myśli zwyczajnie pęknie mi głowa albo naprawdę zwariuję.

– Nie, nie! Tylko nie to! – wymamrotała pani Baronski przez sen, przewracając się na drugi bok. – Tylko nie różyczka wiatrów.

Podczas gdy zastanawiałam się, co moja sąsiadka ma na myśli – roślinę czy też może poetyckie określenie na pozbywanie się gazów z organizmu – mój udręczony mózg uruchomił hamulec bezpieczeństwa, przenosząc mnie w krainę snów. Przynajmniej tak zakładałam, bo gdy ponownie otworzyłam oczy, było jasno.

Zanim zaświtała mi nadzieja, że to tylko sen, w drzwiach pojawiła się siostra Sabina z basenem dla pani Baronski.

– Dzieńdoberek, moje szczebiotki-trajkotki! – przywitała nas pogodnie.

Dzień dobry, drogi roku dwa tysiące szósty. Co mam z tobą i z sobą począć?

– I jak tam, pani Wedekind? Główka znów w porządeczku?

Spojrzałam na siostrę Sabinę spode łba. *Nie licz na jakąkolwiek odpowiedź. Nawet jeśli nie jesteś wytworem mojej podświadomości, znajdującej się – z dużym prawdopodobieństwem – w stanie głębokiego letargu, przypuszczalnie w roku dwa tysiące jedenastym. Albo kopią siebie samej w równoległym świecie. Albo też...*

– Najzupełniej – wymamrotałam, zastanawiając się nad swoim losem, podczas gdy pani Baronski poddawała się poniżającej procedurze z basenem.

Gdybym tak cofnęła się w czasie o dwadzieścia lat, przynajmniej coś bym z tego miała. Wówczas, będąc piętnastolatką, miałabym choć szansę lepiej zdać maturę, a pieniądze otrzymane w prezencie z okazji konfirmacji zainwestowałabym w akcje albo co najmniej w elektryczną szczoteczkę do zębów. W każdym razie nie w tatuaż, a następnie w jego usunięcie.

Również cofnięcie się o piętnaście lat nie byłoby takie złe, bo wówczas nie było jeszcze za późno na spędzenie roku za granicą jako opiekunka do dzieci i na naukę gry na fortepianie. Albo na studia na wydziale architektury wnętrz, względnie na ekonomii.

Nawet jeśli to miało być tylko dziesięć lat. W takim przypadku mogłabym zostać wynalazczynią Facebooka. Albo ostrzec świat przed atakiem z jedenastego września. No i przede wszystkim stosować inny krem pod oczy.

Ale dwa tysiące szósty? No, nie!

Z drugiej strony cofnięcie się w czasie o pięć lat było zdecydowanie lepsze niż perspektywa spoczywania na miejskim cmentarzu. To mogło mieć nawet dobre strony. Pociąg metra albo moja kopnięta podświadomość, względnie jakaś do tej pory jeszcze nieobjawiona siła wyższa, przeniosła mnie w przeszłość. W czas, w którym wszystkie wielkie wydarzenia życiowe były jeszcze przede mną. Co prawda moja droga zawodowa była już obrana, ale szczerze mówiąc, i tak nie byłabym w stanie wymyślić Facebooka. Natomiast architektura wnętrz była hodowlą bezrobotnych frustratów. A co do spraw prywatnych, to...

– Auć! – Na tę myśl aż usiadłam z wrażenia na łóżku, i to tak gwałtownie,

że poczułam szarpiący ból w niezagojonej ranie.

To było to! Był dokładnie trzeci kwietnia. Dzień później, czwartego kwietnia, staranowałam Felixowi rower na przyszpitalnym parkingu, co spowodowało, że odwiózł mnie do domu. Po czym już następnego dnia zadzwonił z samego rana, żeby się dowiedzieć, jak się czuję. I żeby w nadchodzącą sobotę zaprosić mnie do kina, a potem na kolację. Trzy soboty później zapytał, czy mogłabym sobie wyobrazić zamieszkanie razem z nim. A po roku byliśmy po ślubie. I wszystko było w jak najlepszym porządku aż do roku dwa tysiące jedenastego, kiedy to w moim życiu pojawił się mężczyzna o oczach niczym błękitny aksamit, zmieniając szarą codzienność w grecką tragedię. Biedny Felix! Naprawdę nie zasłużył na coś takiego.

Ale przecież wcale nie musiało do tego dojść! Gdybym jutro nie pojawiła się na parkingu, wtedy nie zamieniłabym roweru Felixa w kupę złomu. A to oznacza, że wcale byśmy się nie poznali. I co za tym idzie, wcale nie odwiózłby mnie do domu. I nie poprosił o numer telefonu. W tej sytuacji wcale byśmy się nie pobrali i w konsekwencji pięć lat później nie mogłabym mu złamać serca.

Jakie to proste! Felix żyłby sobie szczęśliwie beze mnie. Nie musiałby przeżywać katuszy z powodu Mathiasa ani też zalewać się łzami na moim pogrzebie.

Ja natomiast mogłabym... mogłabym się rzucić Mathiasowi na szyję bez najmniejszych nawet wyrzutów sumienia. A wszystko dlatego, że nic nie działa się naprawdę.

Ani się spostrzegłam, jak wylądowałam pospołu z moim mózgiem – powodzenia – na huśtawce myśli. Już przy drugim wzlocie wpadł mi ni stąd, ni zowąd do głowy supergenialny pomysł: jeśli rzeczywiście znajdowałam się w stanie totalnie odlotowej śpiączki, to mogłam przecież robić co mi się żywnie podoba!

– Z czego to się pani tak chichra? – dotarł do mnie głos siostry Sabiny, która wyciągała basen spod pani Baronski i spoglądała na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Właśnie wyobraziłam sobie coś cudownego – odpowiedziałam, uśmiechając się od ucha do ucha do niej i do pełnego po brzegi basenu. Ten równoległy świat (albo cokolwiek to było) nagle wydał mi się całkiem fajny.

W życiu mogą się wydarzyć tylko dwie tragedie.
Jedna z nich to utrata pragnień serca. Druga to ich
przyrost.
Bernard Shaw

Żeby mieć lepszy widok z okna na przyszpitalny parking, usiadłam na kaloryferze w korytarzu na trzecim piętrze, skąd mogłam obserwować najdrobniejsze nawet szczegóły. Mój samochód stał całkiem z przodu, tuż przy stojakach przeznaczonych na rowery. Zaparkowałam trochę krzywo, ale trudno się temu dziwić, gdyż wjeżdżając na teren szpitala, dosłownie skręcałam się z bólu.

Nie mogłam sobie dokładnie przypomnieć, która wówczas była godzina, gdy po raz pierwszy spotkałam Felixa. Musiało to być tak gdzieś koło południa.

– Nie umie pani czytać? – Drgnęłam przestraszona. Jakaś kobieta lustrowała mnie surowym wzrokiem z góry na dół. – Siadanie na kaloryferach jest zabronione.

– Li... – pisnęłam i natychmiast zakryłam usta dłonią. W samą porę. Przede mną stała Lillian! TA EKS! Moja poprzedniczka. Wyglądała zjawiskowo w nieskazitelnie białym kitlu. Choć patrzyła na mnie niczym na jakiegoś czerwia, sprawiała wrażenie, jakby mnie rozpoznawała.

– Litości, czy naprawdę nie można zdobyć się na nieco więcej uprzejmości? – zapytałam. Celowo tak rozpoczęłam swoją kwestię, żeby na początek jakoś upakować sylabę „li” i żeby moja odpowiedź zabrzmiała w miarę sensownie. – Zdaję sobie sprawę, że to szpital, nie kawiarnia. Mimo wszystko jesteście przecież skazani na przyjmowanie ludzi, bo żyjecie dzięki pacjentom. Poza tym, o ile mi wiadomo, w Kolonii są jeszcze inne szpitale. Na przykład cieszący się doskonałą opinią szpital elżbietanek. Następnym razem pójdę właśnie tam.

Lillian zmarszczyła nos. Najwidoczniej uznała, że nie ma co wdawać się ze mną w rozmowę.

– Krzesła są trochę dalej, w pomieszczeniu świetlicy – oznajmiła, odwracając się na pięcie.

Patrzyłam, jak odchodzi. Jaki przerażająco mały był ten dziwaczny równoległy świat z moich sennych majaków. Z drugiej strony prawdopodobieństwo natknięcia się w nim na Lillian wcale nie było znowu takie znowu małe. Ostatecznie pracowała w tym szpitalu, podobnie jak Felix.

Ponownie zajęłam swój punkt obserwacyjny, skupiając wzrok na moim samochodzie. Gdzie się podziewał Felix? Nie dalej jak wczoraj nie mogłam się oprzeć pokusie, by wygramolić się z łóżka i poczłapać do dyżurki, żeby go zobaczyć. Troszeczkę poobserwować z daleka. Ale gdy tylko znalazłam się w pobliżu, opadły mnie skrupuły. Felix co prawda nie był wierzący i uważał ezoterykę za bzdurny wymysł, ale wspominając nasze pierwsze spotkanie, zawsze używał słów „zrządzenie losu” albo „przeznaczenie”. Zawsze też mówił, że zakochał się we mnie w ciągu pierwszych dwóch minut, choć nie miał ku temu najmniejszych powodów. W końcu kompletnie zrujnowałam mu rower. A do tego byłam niewyspana i nieumalowana, co Felix nieustannie kwitował stwierdzeniem, że opowiadam bzdury, gdyż wyglądałam cudownie. Ale coś takiego twierdził nawet po spektakularnym przyjęciu wydanym przez Marlene i Javiera, kiedy to przez całą noc klęczałam przed muszlą klozetową niczym w konfesjonale. To było gdzieś tak mniej więcej koło dwa tysiące siódmego.

W kwestii kobiecego wyglądu Felix był naprawdę zadziwiająco ślepy. Do tego stopnia, że wcale nie można było wykluczyć, że zakocha się od pierwszego wejrzenia w przypadkowo spotkanej na oddziale pacjentce z nieumytnymi włosami, w niegustownej piżamie w kwiaty. W żadnym razie nie mogłam zaryzykować czegoś takiego niezależnie od tego, jak bardzo za nim tęskniłam i jak bardzo pragnęłam go zobaczyć – przynajmniej z daleka. W tym przypadku musiałam mieć na względzie przede wszystkim Felixa, gdyż w całej tej grze chodziło głównie o to, by nie stracił serca dla niewłaściwej kobiety. Znaczy się dla mnie! Bo gdybym była dla niego naprawdę tą właściwą, to pięć lat później nie zakochałabym się na łeb na szyję w innym mężczyźnie. Co do tego nie było raczej wątpliwości.

Pomimo że moje serce dokładnie znało moje plany i w pełni je popierało, zaczęło bić jak szalone, gdy tylko go ujrzałam. Przycisnęłam nos do szyby i westchnęłam, widząc, jak biegnie przez parking w wytartej szarej bluzie z kapturem, z kaskiem rowerowym pod pachą.

Och, Felix! Mój Felix! Tęsknym wzrokiem obserwowałam, jak wkłada

kask, siada na rower i odjeżdża, omijając przeznaczenie. Wzruszona połykałam łzy, mówiąc w duchu: *Uważaj na siebie, proszę. Nie pracuj za dużo i od czasu do czasu pomyśl o...*

– Proszę mi powiedzieć z łaski swojej, której części zdania „Zabrania się siadania na kaloryferze” pani nie rozumie? – rozległ się zjadliwy głos za moimi plecami. Znowu ta przekłeta Lillian.

Niechętnie odwróciłam się w jej stronę, Wstając, wytarłam łzy.

– No to złóż na mnie skargę w sądzie, raszpló jedna! – rzuciłam, szukając gorączkowo w pamięci, jakich to dosadnych określeń zazwyczaj używała siostra Sabina. I czy przypadkiem nie należałoby dodać energicznie na zakończenie „odpieprz się”. Ostatecznie ciągle znajdowałam się w stanie traumatycznej śpiączki, w związku z czym mogłam sobie pozwolić na nieco więcej niż zazwyczaj.

Lepiej kogoś zwyzywać, niż zastrzelić.

Winston Churchill

Zanim zeskoczyłam z kaloryfera, Lillian zdołała jeszcze rzucić mi pogardliwe spojrzenie. Udając się na powrót do sali w pizamie w kwiatuszki, zdążyłam zauważyć kątem oka, jak drgnęła przestraszona.

Jednak życie w tym równoległym świecie wcale nie było takie złe.

„...Ciągły wzrost poziomu wody na Łabie... Powódź na Morawach i w Austrii... Bilateralne porozumienie w sprawie wykorzystywania energii atomowej w celach pokojowych...” Wiadomości wydawały mi się jakieś znajome. Równie dobrze mogły pochodzić z roku dwa tysiące jedenastego. Od kilku dni czekałam na *déjà vu*, ale nic takiego nie nastąpiło. Wielka szkoda, że nie dało się wygooglować przyszłości. Niestety.

Głupia sprawa, ale nie mogłam też wygooglować terażniejszości, gdyż mój laptop był zabezpieczony hasłem, którego za diabła nie mogłam sobie przypomnieć. Przeklinałam przyzwyczajenie wymyślania skomplikowanych kombinacji słowno-cyfrowych bez ich zapisywania.

„Sekretarz stanu Condoleezza Rice wypowiedziała się pozytywnie w sprawie Indii...” – No, nareszcie coś, co zabrzmiało jak echo z przeszłości, gdyż w dwa tysiące jedenastym nie było już Rice. W każdym razie nie na stanowisku sekretarza stanu. A o Baracku Obamie w roku dwa tysiące szóstym nikt jeszcze nie słyszał. Przynajmniej w Niemczech. Powinnam wykorzystać tę okazję i rzucić jego nazwisko przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Może podczas jednego z tych przyjęć na stojąco, urządzanych od czasu do czasu w naszej agencji przez krwiożerczą hrabinę? Coś w stylu: „Jeśli pyta mnie pan o zdanie, to następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych będzie Obama... Jak to, nie zna go pan? Jak to możliwe!? Takiego młodego obiecującego polityka z ogromną przyszłością...?”

W ostatnich dniach uzmysłowiłam sobie, że pojawienie się z przyszłości wcale nie jest takie znowu dobre. Fakt, wiedziałam, kto zostanie kolejnym amerykańskim prezydentem, jak również to, że księżę William w końcu poślubi Kate. I że borsuk zostanie wybrany na zwierzaka świata roku dwa tysiące dziesiątego (nie pytajcie, proszę, dlaczego właśnie ten fakt utkwiał mi w pamięci). Lecz tak naprawdę wszystkie te wiadomości wcale nie były pomocne ani też do niczego potrzebne. W podsumowaniu musiałam przyznać, że trzy minione dni, które przyszło mi na nowo spędzić w roku dwa tysiące szóstym, przeżywałam zupełnie inaczej niż za pierwszym

razem.

Gdy grało radio (przynajmniej muzyka brzmiała jako tako znajomo), wpatrywałam się w zawartość mojej szafy. Skąd u diabła wzięły się te wszystkie paskudne ciuchy? Wyglądało na to, że w moim przypadku w roku dwa tysiące szóstym odpowiednikiem pasemek i wyharatanej grzywki Ewy był najwidoczniej kolor LILA. Za diabła nie mogłam sobie przypomnieć, co było przyczyną mojego zauroczenia właśnie tym kolorem, który nie tylko mnie postarzał, ale jeszcze na dodatek sprawiał, że wyglądałam trupio blade. Jakbym tylko co wstała z grobu. Jedyne, co mnie cieszyło, to ukochane dżinsy. Wówczas jeszcze całe, bez dziury na kolanie. Niestety, ze względu na konserwatywne zasady krwiożerczej hrabiny i narzucone przez nią ostre rygory w kwestii ubioru nie mogłam ich nosić w pracy.

Jako że termometr na zewnątrz wskazywał zero stopni, zaś wybór ciuchów zimowych w kolorze innym niż lila był stosunkowo skromny, zdecydowałam się w końcu na sztruksową spódniczkę lila, grube rajstopy ze wzorkiem w warkocz w kolorze lila i czarny golf. Szukając z uporem godnym lepszej sprawy ulubionych czarnych botków, przypominałam sobie, że w roku dwa tysiące szóstym jeszcze ich nie nabyłam. Jak się okazało, w owym czasie nie miałam żadnych butów z wysoką cholewką. Jak to w ogóle możliwe?

Podobne zdziwienie wywołało we mnie maluteńkie mansardowe mieszkanko z oknami zaparowanymi od wewnątrz każdego poranka i ogrzewaniem bulgoczącym przez całą noc. Jak można było mieszkać w takiej mysiej norze, w której co rusz uderzało się głową w skośny sufit? Albo w skośne ściany jak kto woli! Nie dziwota, że tak szybko przyjął propozycję Felixa, by wprowadzić się do niego.

„Poszukać nowego mieszkania” – zanotowałam na samej górze listy rzeczy koniecznych do załatwienia, którą co parę godzin uzupełniałam i nieustannie przepisywałam na nowo.

Do pozytywów należał również fakt, że paskudna spódniczka w kolorze lila była całkiem luźna na biodrach, pomimo maluteńkiego rozmiaru. Zawsze wmawiałam sobie, że te dodatkowe pięć kilo, które dołożyłam sobie w ciągu ostatnich lat, rozłożyło się równomiernie na całym ciele, choć tak naprawdę zlokalizowało się głównie w talii i na biodrach. Jakkolwiek by było, teraz zniknęło. Podobnie jak drobne zmarszczki mimiczne od śmiechu,

które w roku dwa tysiące jedenastym okalały moje oczy niczym promienie słońca. Nawet wówczas gdy wcale nie było mi do śmiechu. W każdym razie teraz powinnam uważać, żeby się tyle nie śmiać, za to częściej nosić okulary słoneczne. Z drugiej strony Mathias mnie pocałował pomimo zmarszczek. I pomimo pięciu dodatkowych kilogramów w talii. Jeszcze jeden powód, żeby się w nim zakochać i zostać z nim na zawsze, gdy wreszcie pojawił się w moim ówczesnym, a w zasadzie to przyszłym życiu.

Przez chwilę pomyślałam o Felixie i zrobiło mi się smutno, że pozwoliłam mu odjechać w siną dal na rowerze wyścigowym. Daremnie próbowałam zignorować ukłucie wywołane tym obrazem. Bez przerwy mi go brakowało. Jego rozczochranych brwi i wyrazu twarzy, gdy zapewniał, że cudownie wyglądam z ręcznikiem owiniętym wokół głowy.

Mimo wszystko wcale nie żałowałam raz podjętej decyzji. Wciąż jeszcze czułam na wargach pocałunek Mathiasa, który – jeśli wierzyć moim obliczeniom – miał miejsce dokładnie cztery dni temu. Motyle w moim brzuchu miały się w dalszym ciągu znakomicie. Dlatego też musiałam najszybciej jak to możliwe wrócić do biura, żeby wygoogłować Mathiasa. Co prawda jeszcze do końca tygodnia miałam zwolnienie, ale dalsze czekanie było ponad moje siły.

Na szczęście krwiożercza hrabina miała gdzieś ochronę danych osobowych i wymagała od nas stosowania zawsze tego samego kodu dostępu („hasło 123”) do naszych komputerów. Kiedyś doprowadzało mnie to do białej gorączki, ale teraz wyjątkowo uznałam to za znakomity pomysł. Poza tym cieszyłam się na spotkanie z Marlene i Lindą.

Wysiadając z tramwaju na placu Rudolfa, byłam trochę podenerwowana.

Przed wejściem do biura natknęłam się na Marlene, która posłała mi na powitanie promienny uśmiech. Przez moment miałam chęć rzucić się jej na szyję i opowiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami o koszmarze, jaki przeżyłam, leżąc w śpiączce. Ale pominąwszy fakt, że nie miałam bladego pojęcia, od czego zacząć (od przyjęcia urodzinowego Gereona w roku dwa tysiące jedenastym? od pocałunku Mathiasa? albo może od wpadnięcia w metrę pod koła pędzącego pociągu?), to przecież w owym czasie nie byliśmy jeszcze ze sobą zaprzyjaźnione. Ot, zwyczajne koleżanki z pracy, które się świetnie rozumieją. I pomimo że była cudownie wyrozumiałą osobą, zmuszanie jej do analizowania jeszcze przed pierwszą filiżanką

porannej kawy problemu podróży w czasie wariatki ubranej w sztruksową spódniczkę w kolorze lila to było zdecydowanie za wiele, nawet jak na Marlene.

– Sądziłam, że przyjdiesz dopiero w poniedziałek – powiedziała, gdy wspinałyśmy się po schodach.

Jej młodsze o całe pięć lat ja było spowite dokładnie w taką samą czerwień i równie urocze jak w roku dwa tysiące jedenastym. Z tą tylko różnicą, że miała troszeczkę mniej zmarszczek. Ale za to chód, który stanowił ogromną część jej uroku, nie był jeszcze wówczas taki stanowczy, beztrosko taneczny i rozkołysany (tego sposobu chodzenia zazdrościły jej piekielnie wszystkie bez wyjątku kobiety, mężczyźni zaś nie mogli oderwać oczu od jej bioder). Natomiast Marlene w swojej skromności przypisywała swój sposób poruszania się gimnastyce pilates. Ja jednak byłam przekonana, że to przede wszystkim zasługa względnie – jak kto woli – wina Javiera.

– Mogłaś sobie jeszcze parę dni spokojnie odpocząć od naszej poganiaczki niewolników – stwierdziła. – Uważaj, żeby tylko nie wcisnęła ci kretyńskiego seminarium o podstawach egzystencji, które zleciła nam firma franchisingowa i którego nie ma kto poprowadzić. Od kilku dni wije się wściekła, bo nie potrafi się zdobyć na odrzucenie tego zlecenia. Tym bardziej że zaproponowali nam dwukrotnie więcej forsy niż konkurencji, co tylko potwierdza fakt, że lawirują na granicy oszustwa oraz nielegalnej działalności i zapewne chcą w ten sposób wyprać pieniądze.

– Nie ma obawy. W żadnym wypadku nie dam się w to wrobić – oznajmiłam, otwierając drzwi do biura. – Ostatecznie nie na darmo prowadziłam kurs *Jak powiedzieć „nie”, nie robiąc sobie wrogów*.

– Dzień dobry, Lindo!

– Och, Kati! Już wróciłaś?! – Linda wyszła zza kontuaru recepcji i serdecznie mnie objęła, co było w jej przypadku normalne, gdyż tak właśnie zachowywała się od pierwszego dnia naszej znajomości. Brała w ramiona zupełnie obcych jej ludzi, a także drzewa. Pewnego dnia – w nie tak znowu odległej przeszłości – objęła nawet latarnię uliczną, gdyż wydała jej się smutna i opuszczona.

Wypuściwszy mnie z objęć, Linda chciała rzucić się na szyję Marlene, lecz ta powstrzymała ją stanowczym gestem.

– Ustaliliśmy, że będziesz mogła mnie objąć, dopiero gdy skończysz tę

idiotyczną urynoterapię!

– Przecież mówiłam ci, a nawet udowodniłam czarno na białym, że mocz po wyschnięciu nie ma żadnego zapachu. – Obrażona Linda wysunęła dolną wargę.

Nagle doskonale sobie przypomniałam jej fazę urynoterapii. A zatem Linda była właśnie na etapie bioenergoterapeuty, który z taką energią skupił się na jej bio, że zupełnie zapomniał wspomnieć, że jest żonaty i ma trójkę dzieci. Zaraz, zaraz, jak on miał na imię? Udo? A może Ulrich?

– Niestety, ten twój czarno-biały dowód nie przekonuje mojego nosa – stwierdziła Marlene. – Twoje włosy cuchną niczym wiadro wypełnione po brzegi zasikanyimi pampersami w domu starców albo jak obszczany kąk przy wejściu do podziemnego parkingu, gdzie...

– Po pierwsze, to nieprawda. A po drugie, ledwo wyczuwalny zapach to niewielka cena w zamian za błyszczące włosy bez łupieżu – przerwała Linda, odrzucając do tyłu, trzeba przyznać, cudownie błyszczące gęste włosy. I z pewnością bez łupieżu. – Uwe twierdzi, że mocz to najbardziej naturalna rzecz na świecie.

A zatem ten bioenergetycznie niewierny małżonek to Uwe. Uwe Uryna, który sprawił, że Linda przez długie tygodnie chodziła kompletnie załamana.

Nie usłyszałam odpowiedzi Marlene, gdyż spojrzenie na biurko Bengta odebrało mi mowę oraz słuch. Stałam niczym słup soli, widząc za jego biurkiem kogoś zupełnie innego. Kobietę, która całkowicie wyleciała mi z pamięci.

– Następnym razem, gdy będzie pani miała zamiar przepaść niespodziewanie bez słowa na parę dni, powinna pani przynajmniej sporządzić listę spraw do załatwienia – usłyszałam. – Mieliśmy sporo kłopotu z powodu pani niekolegialnego zachowania.

Margot Liczydło-Rozwalska, magister pedagogiki w okresie menopauzy, była przewodniczką Bengta. Zawsze zręcząca, zawsze szukająca powodów do narzekania i gotowa do kłótni pod płaszczykiem dyskusji lub wymiany poglądów. Pomimo podwójnego nazwiska zdecydowanie niedopieczona, czego dowodem było używanie w co drugim zdaniu w różnych najbardziej karkołomnych odmianach i kontekstach słowa określającego najbardziej męską część ciała.

Różnica między słowem właściwym i prawie właściwym jest dokładnie taka, jak pomiędzy błyskawicą i robaczkiem świętojańskim.

Mark Twain

– W piątek przyszły materiały biurowe, za których odbiór i ewidencjonowanie jest pani odpowiedzialna i które w tej sytuacji musiałam rozczłonkować. Byłoby to zgoła niepotrzebne, gdyby się pani choć trochę zastanowiła nad tym, co robi.

– Jeśli w przyszłości znowu będę musiała się poddać nagłej operacji z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego, to przed podaniem narkozy szybko podyktuję anestezjologowi protokół zdawczy. – Mówiąc te słowa, przypomniałam sobie, że przed laty udzieliłam jej identycznej odpowiedzi. Następnie zapytałam, dlaczego zwyczajnie nie zostawiła wszystkiego w paczkach, co wywołało długą i niezwykle burzliwą dyskusję z udziałem Marlene i Lindy. Na końcu naszej dość gwałtownej wymiany zdań pani Liczydło-Rozwalska postanowiła więcej się do mnie nie odzywać, gdyż w ferworze przejęczyłam się i nazwałam ją „Liczydło-Cymbalską”. Od tamtej pory nikt nie mówił już o niej inaczej niż „pani Cymbalska”.

– Naprawdę daleka jestem od tego, by eksplodować jak członek, ale ostatecznie chodzi o zasady! – Mój brak reakcji najwyraźniej zirytował Cymbalską.

Moje pierwsze *déjà vu*. Zobaczymy, co się stanie, gdy rozegram sprawę inaczej niż przed pięcioma laty.

– Przepraszam za niekolegialne zachowanie – powiedziałam z największym spokojem, na jaki było mnie stać, uśmiechając się od ucha do ucha. – I dziękuję za wyręczenie mnie. To było bardzo miłe z pani strony.

Moja odpowiedź najwyraźniej zbiła Cymbalską z pantafelku. Nie czekając, aż ochłonie, zaczęłam przeglądać ilustrowane czasopisma leżące na kontuarze recepcji.

Marlene pomaszerowała w kierunku swojego biurka. Linda natomiast skropiła się jakąś mieszanką olejków eterycznych, by złagodzić woń moczu, jej zdaniem zupełnie niewyczuwalną. Przez parę sekund unosił się w powietrzu zapach lawendy i rozmarynu z nutą zużytych pampersów, który jednak ponownie zdominowała woń uryny.

– Dziecko powinno się urodzić w najbliższych tygodniach – powiedziała

Linda, pokazując zdjęcie Toma Cruise'a i Katie Holmes. – Moja przyjaciółka postawiła w zakładach na chłopca.

– Nie – zaprzeczyłam, energicznie potrząsając głową. – To będzie dziewczynka i będzie się nazywać... – Cholera, jakie w końcu dali imię biednemu dzieciakowi? Sari... Uri... – Suri! – krzyknęłam triumfalnie.

– Czyżby przemówiło przez ciebie medium? A może to channeling?

– Chan... co?

– Nie co, a kto. Ktoś z duchowego świata. Prawdopodobnie któryś z twoich duchowych przewodników zdradził ci właśnie imię dziecka – szepnęła zachwycona Linda. – Suri.

– Sądzę, że z całą pewnością możemy to wykluczyć. Bo niby po co mój duchowy przewodnik miałby zrobić coś takiego? Chcę przez to powiedzieć, że z pewnością nikogo nie interesuje, jak się ma nazywać ten ich bachor.

Energicznie przewracałam kartki czasopisma w nadziei, że Linda zmieni temat. Niestety, moje nadzieje okazały się płonne, gdyż zaczęła się rozwodzić nad zdolnościami spirytystycznymi oraz – czego nie udało mi się pojąć – kontaktowaniem z jednorożcem. Swoje wywody przerwała jednak w połowie kolejnego zdania, ponieważ nagle w drzwiach ukazała się krwiożercza hrabina. Otaczający ją silny zapach perfum Jil Sanders nie był w stanie konkurować z wonią moczu.

– Kati! A cóż ty tu robisz? Czy przypadkiem nie miałaś być do końca tygodnia na zwolnieniu?

– Moja kuzynka już na trzeci dzień po operacji wyrostka wzięła udział w biegu maratońskim w Kolonii – dobiegł z rogu pokoju pogardliwy głos Cymbalskiej. – Dzisiaj taki zabieg to naprawdę drobiazg.

– Naprawdę? – Krwiożercza hrabina spojrzała na mnie z dezaprobatą. W jej oczach wyraźnie było widać potępienie, że zjawiłam się dopiero dziś, choć już trzy dni wcześniej spokojnie mogłam uczestniczyć w maratonie. Swoje wyraźne niezadowolenie wyraziła głośnym mlaśnięciem.

– Gabi, bardzo dziękuję za śliczne kwiaty – rzuciłam w odpowiedzi.

– Kwiaty? – Gabi wyglądała na zaskoczoną. – Jakie kwiaty?

– Te, które posłałam do szpitala w twoim imieniu – wyjaśniła pośpiesznie Linda, rzucając Gabi dyskretne spojrzenie spiskowca. Udając, że niczego nie zauważyłam, skierowałam się w stronę biurka. – Z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia od nas wszystkich.

– Ach tak? Proszę bardzo – odpowiedziała Gabi. – Swoją drogą dobrze, że już wróciłaś, gdyż miałabym dla ciebie coś interesującego na sobotę po południu. Seminarium o podstawach egzystencji dla świetnej firmy franchisingowej.

Marlene chrząknęła znacząco.

Ten, kto pierwszy zaklął, zamiast użyć oszczepu,
był twórcą cywilizacji.

Zygmunt Freud

– Bardzo chętnie poprowadziłabym to seminarium – zapewniłam z promiennym uśmiechem – ale tak się składa, że akurat w sobotę mam bardzo ważne spotkanie. – Westchnęłam z żalem, sadowiąc się na krześle. – Przykro mi.

– Hm – mruknęła Gabi, mlaskając. – A zatem będę musiała sama się tym zająć, choć doprawdy nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam wolną sobotę.

Mlasnąwszy kolejny raz, zniknęła za drzwiami swego gabinetu.

No proszę, a jednak się udało. Mrugnęłam porozumiewawczo do Marlene, która odpowiedziała mrugnięciem.

– Całkiem nieźle – szepnęła. – Ostatnim razem, żeby się wymigać, musiałam wynaleźć śmiertelnie chorego siostrzeńca.

Pani Liczydło-Rozwalska o uszach niczym ryś pochyliła się do przodu.

– Czy to przypadkiem nie ten siostrzeniec, z którym była pani wczoraj wieczorem? – zapytała Cymbalska z miną niewiniątka. – Chociaż wiek nawet mógłby pasować, to pomimo najlepszej woli za grosz nie dało się dostrzec najmniejszego nawet rodzinnego podobieństwa. Prawda, że to raczej bardziej typ południowca?

– Argentyńczyk – rzuciła Marlene od niechcienia, udając, że jest całkowicie pochłonięta tym, co pojawiło się na ekranie jej komputera.

Jej lapidarna odpowiedź wcale nie zbiła z tropu pani Liczydło-Rozwalskiej.

– No tak, ci południowcy najwidoczniej mają bzika na punkcie starszych pań przy kości – syknęła z uśmiechem zadowolenia.

Nic dziwnego, że z mety polubiłyśmy Bengta, gdyż w porównaniu z Cymbalską był istnym skarbem. Roztaczał wokół pogodną atmosferę nawet wówczas, gdy miewał swoje hipochondryczne napady, wynajdując co rusz jakąś nową śmiertelną chorobę. O rany, jak mi go brakowało! Wciąż

miałam w pamięci, jak utwierdzał Marlene na początku jej związku z Javierem, twierdząc, że ani różnica wieku, ani narodowość nie mają najmniejszego znaczenia, gdy się kogoś kocha (jeśli jest się zdrowym!).

Zastanawiałam się, dlaczego wtedy nie wsparłam Marlene? Prawdopodobnie dlatego, że nie do końca wierzyłam w ten związek: z jednej strony młody, nieco zwariowany muzyk bez środków do życia, śpiący całymi dniami i grający po nocach, a z drugiej Marlene – dojrzała, dziesięć lat starsza kobieta z dwunastoletnią córką. Byłam święcie przekonana, że to się musi źle skończyć. Miałam wówczas dokładnie te same głupie uprzedzenia co pani Liczydło-Rozwalska.

– Niech pani będzie ostrożna – usłyszałam jej głos. – Moja szwagierka związała się z takim jednym playboyem z Republiki Dominikańskiej i na końcu okazało się, że kosztowało ją to całe sto tysięcy euro. Była o całe sto tysięcy biedniejsza, ale za to sto tysięcy razy bogatsza w złe doświadczenia.

Marlene westchnęła.

– I jeśli dobrze się zastanowić, to po tym wszystkim tak naprawdę nigdy już nie... – Cymbalska w najlepsze kontynuowała swój wywód, który ucięłam zdecydowanie, wpadając jej w słowo.

– Dość tego pieprzenia trzy po trzy, to znaczy eeee... paplania – stwierdziłam energicznie, ignorując nagły napad kaszlu Marlene. – Mogłabym co prawda słuchać pani godzinami, ale muszę przecież nadrobić mnóstwo zaległości. A zatem do roboty.

Pani Liczydło-Rozwalska zmarszczyła czoło tak bardzo, że wyglądało niczym złożony akordeon. Udałam, że nic nie zauważyłam, i włączyłam jakby nigdy nic komputer, który uruchamiał się całe wieki. Siedziałam spięta, bębniąc palcem wskazującym w brzeg klawiatury w oczekiwaniu, aż technika z roku dwa tysiące szóstego raczy mi pójść na rękę.

Spotkanie z Marlene i Lindą, z którymi odświeżyłam starą-nową znajomość, to była jedna strona medalu i moje kolejne *déjà vu*. Drugą zaś stanowiła moja lista spraw, których załatwienie nie mogło dłużej czekać. Zwłaszcza punkt pierwszy.

Weszłam na Google i wystukałam nazwisko Mathiasa. Chciałam właśnie kliknąć „szukaj”, gdy w mojej głowie pojawiła się Pandora razem ze swoją puszką. I do tego w towarzystwie Felixa patrzącego na mnie z zachwytem, gdy okręcałam głowę ręcznikiem. Energicznie przywołałam się do porządku,

przypominając sobie, że przecież w owym czasie wcale nie znałam Felixa. A skoro go nie znałam, nie mogłam go oszukać. On z kolei wcale nie mógł być z tego powodu nieszczęśliwy. Ja natomiast nie musiałam mieć żadnych wyrzutów sumienia. Przynajmniej taki był stan rzeczy w owej przeszłości z przyszłości.

Co mnie zatem powstrzymywało?

Nic.

Zupełnie nic!

Ponadto to wszystko tak czy inaczej nijak się miało do rzeczywistości. A zatem w czym rzecz? Wciągnęłam powietrze głęboko w płuca, zamknęłam oczy, po czym zdecydowanym ruchem nacisnęłam klawisz „enter”.

Moja nowa, skorygowana wersja życia, względnie powtórka z roku dwa tysiące szóstego. Zaktualizowana lista rzeczy do zrobienia, stan na czwartek w południe.

1. Poznać Mathiasa:

- 1.1. Ponownie przeżyć magiczny moment pierwszego spotkania;
- 1.2. Uprawiać najlepszy seks w życiu bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia z tego powodu;
- 1.3. Życ szczęśliwie z Mathiasem aż po kres moich dni;
- 1.4. Życ nadzieją, że koniec moich dni nastąpi w bardzo odległej przyszłości.

2. Zupełnie inaczej zorganizować KOSZMARNY ŚLUB Ewy:

- 2.1. Zmienić układ miejsc przy stole;
- 2.2. Znaleźć inny zespół;
- 2.3. Zapobiec:
 - 2.3.1. śpiewaniu KOSZMARNEJ CIOTKI,
 - 2.3.2. upiciu się KOSZMARNEJ CIOTKI,
 - 2.3.3. wycięciu przez KOSZMARNĄ CIOTKĘ szybkiego numerku w garderobie na płaszczu pani Luchsenbichler z będącym na haju muzykiem grającym na organach elektronicznych (patrz 2.2);
- 2.4. Storpedować zaproszenie pani Luchsenbichler;
- 2.5. Przekonać kuzyna Bertrama, by na swój odlot wybrał inny dzień, jeśli będzie trzeba – przy użyciu siły;
- 2.6. Uniemożliwić teściowi Ewy wygłoszenie toastu, jeśli będzie trzeba – przy użyciu siły;
- 2.7. Opanować chwyt Heimlicha (technika pomocy przedlekarskiej stosowana przy zadławieniach).
- 2.8. Inne.

3. Kupić eleganckie klasyczne ciuchy, które przez lata nie wyjdą z mody. W żadnym wypadku w kolorze lila. Nie zapomnieć o botkach (!).

4. Co wieczór stosować krem pod oczy i robić codziennie 120 przysiadów.

5. Zrobić karierę zawodową, najlepiej bez Gabi.

6. Odwołać termin wizyty kontrolnej u doktora Gereona Westermanna.

7. W czasie urlopu podróżować po całym świecie – omijając z daleka Fehmarn.

8. Rozkoszować się każdym dniem, jakby miał być ostatnim.

9. Inne.

Niewątpliwie moja lista spraw do załatwienia wyglądała nieco chaotycznie i wydawała się dość powierzchowna, niemniej zawierała zasadnicze kierunki zmian mojego życia, które zamierzałam przeprowadzić. O ile w ogóle można było cokolwiek zaplanować w tym wariackim równoległym świecie, który wyskoczył z podświadomości niczym diabeł z pudełka.

Długo zastanawiałam się nad tym, czy posiadając wiedzę o wydarzeniach z przyszłości, nie powinnam przynajmniej spróbować uratować świat, zapobiegając mającym się wydarzyć katastrofom – abstrahując od KOSZMARNEGO ŚLUBU Ewy. Ale jakoś nie przychodziły mi do głowy żadne kataklizmy, którym byłabym w stanie zapobiec. Być może mogłabym napisać list do Michaela Jacksona, w którym doradziłabym mu w największym zaufaniu, by trzymał się z daleka od swojego lekarza i przepisywanych przez niego tabletek. Natomiast wszystkie wielkie ataki szału, tsunami, trzęsienia ziemi, ataki terrorystyczne i katastrofy kolejowe, które sobie przypomniałam, albo już się wydarzyły, albo dopiero miały się wydarzyć niewiadomego dnia, w niewiadomej przyszłości i niewiadomym miejscu. Im dłużej o tym myślałam, tym gorzej się czułam. Wydawałam się sobie coraz to bardziej powierzchowna i egoistyczna. Ludzie tacy jak Matka Teresa z Kalkuty albo Oprah Winfrey czy Günther Jauch, a prawdopodobnie również Lillian, pamiętali z pewnością każdą datę i byłiby w stanie doprowadzić do uratowania tego świata.

Natomiast ja mogłam co najwyżej pobawić się w proroka w stosunku do czwórki przyjaciół z lasu Dapplewood, co i tak nie miało sensu. (Posłuchajcie, moi drodzy, w dwa tysiące dziesiątym roku nasz czarno-biały przyjaciel zostanie wreszcie uznany...). Albo zdradzić, że George z *Chirurgów* zostanie śmiertelnie potrącony przez samochód.

Do mojej listy dodałam jeszcze jeden punkt – dokładniejsze czytanie gazet niż w przeszłości. *Pardon*, w przyszłości. Miałam przy tym nadzieję, że wreszcie wpadnie mi coś do głowy, co mnie przekona, że wcale nie jestem taka znowu całkiem zła.

Po tych przemyśleniach momentalnie zrobiłam coś bardzo, ale to bardzo egoistycznego – niezwłocznie przystąpiłam do realizacji pierwszego punktu z mojej listy. W związku z powyższym wyszłam z biura już wczesnym popołudniem i udałam się w kierunku Mittelstraße. Nawet gdyby już dziś

miało dojść do magicznego momentu pierwszego spotkania, to w miarę możliwości nie chciałam się pojawić w sztruksowej spódnicy w kolorze lila i czarnym golfie.

Po wprowadzeniu hasła „Mathias Lenzen” wyszukiwarka wyrzuciła osiemset tysięcy możliwości. Na szczęście w większości z nich chodziło o Mathiasa pisanego przez dwa „t”, co mogłam od razu pominąć. W książce telefonicznej Kolonii też figurował jeden Mathias Lenzen, zamieszkały przy Weißenburgstraße w dzielnicy Agnesviertel. Poza tym dzięki Google ustaliłam, że Mathias Lenzen był szefem działu kadr dużej firmy ubezpieczeniowej zajmującej się ubezpieczeniami reasekuracyjnymi, jak również wykładowcą prowadzącym szkolenia w Stowarzyszeniu Przedsiębiorców w Kolonii, zrzeszającym firmy średniej wielkości. Ponadto dzisiaj miał wykład na uniwersytecie na temat *Rozmowy kwalifikacyjne dla starających się o pracę – efektywne i pozwalające zaoszczędzić czas*. Można wierzyć albo nie, ale w tym przypadku los i opatrność znakomicie ze sobą współpracowały. Doprawdy nie mogło być lepiej!

Mój plan był prosty: najpierw zamierzałam niepostrzeżenie wmieszać się w tłum słuchaczy, żeby z odległości pooglądać sobie w spokoju Mathiasa. Jeśli los tak chce – a co do tego nie miałam nawet cienia wątpliwości – jego wzrok wędrujący po sali w którymś momencie zatrzyma się na mojej twarzy. Być może poślę mu wówczas ledwie zauważalny porozumiewawczy uśmiech, dokładnie taki, jaki posyła się komuś, z kim się już kiedyś wymieniło pocałunek, który sprawi, że ogarnie go uczucie łączącej nas niewytłumaczalnej nici swoistej intymności. Intymności, której – ma się rozumieć – nie będzie sobie w stanie wytłumaczyć. I wówczas nastąpi ów magiczny moment pierwszego spotkania – chwilowo wzrokowego. Tym razem skrzypce duszy zagrają na odmianę *She* Charles’a Aznavoura (jak już spadać z konia, to z dobrego!). Zaraz po wykładzie podejdzie do mnie i zapyta, czyśmy się przypadkiem już kiedyś nie spotkali, na co odpowiem: „Tak, ale nie w tym życiu”. No, może gdy będzie stał naprzeciw mnie, wpadnie mi do głowy coś lepszego. W najgorszym razie po prostu poślę mu tajemniczy uśmiech.

To tyle, jeśli chodzi o mój plan.

Na początku wszystko szło jak po maśle. Znalazłam cudowne czarne botki za niezbyt cudowną cenę. Ale szybko wytłumaczyłam sobie, że przy

niewielkim wyborze, jaki oferował ten równoległy świat, koniec końców kwota jest do zaakceptowania.

Dla równowagi udałam się do mojego ulubionego sklepu z używaną odzieżą, gdzie kupiłam nieprawdopodobnie tanio obcisłą sukienkę etui w niezwykle twarzowym pudrowym kolorze, znakomicie podkreślającą moją na nowo odzyskaną szczupłą talię. W szale zakupów, jak również dlatego, że miła ekspedientka zapewniła mnie, że spokojnie mogę przynieść do sprzedania wszystkie ciuchy w kolorze lila, nabyłam jeszcze dalszych sześć sztuk garderoby, przekonana, że będą mi się tak samo podobały w roku dwa tysiące jedenastym. Wśród nich były klasyczny trencz Burberry'ego (szczerze mówiąc, dokładnie takiego szukałam bez powodzenia od lat!) oraz śliczna broszka w kształcie róży z jasnoszarego filcu.

Gdybym tylko wiedział, powinienem był zostać zegarmistrzem.

Albert Einstein

Wystrojona w nowe botki, nową spódniczkę, nowy sweter, z przypiętą nową śliczną broszką z jasnoszarego filcu w kształcie róży wkroczyłam nader punktualnie do sali wykładowej numer dwa głównego budynku uniwersytetu.

Radośnie podekscytowana zajęłam odważnie miejsce w piątym rzędzie. Nie za bardzo z przodu, żeby Mathias nie musiał zaglądać mi w dekolt. Ale też nie za daleko z tyłu, żeby mógł mnie zauważyć w tym tłumie.

Przy czym... poza mną w sali pojawiło się tylko dwóch mężczyzn w garniturach i krawatach, którzy zajęli miejsca w pierwszym rzędzie. Dwóch kolejnych (również w krawatach) stanęło przy drzwiach. Ci z kolei wdali się w jakąś dyskusję. Wszyscy czterej patrzyli na mnie lekko skonsternowani.

Ciche korytarze świeciły pustką, gdyż był okres ferii.

Co rusz spoglądałam na zegarek, coraz bardziej podenerwowana. Do wykładu pozostało jeszcze niespełna pięć minut. Zastanawiałam się, co będzie, jeśli przyjdzie tylko garstka ludzi w garniturach i krawatach? Wówczas z pewnością wpadnę w oko, i to wszystkim obecnym, gdyż królując w piątym rzędzie z przypiętą śliczną szarą filcową różą, zdecydowanie będę się wyróżniać w tym towarzystwie. Mała liczba

słuchaczy sprawi, że moja obecność wcale nie wyda się nieco przypadkowa, a raczej dziwna lub zgoła podejrzana. A co powiem, jeśli ktoś mnie zapyta, co takiego robię na wykładzie zorganizowanym przez Stowarzyszenie Przedsiębiorców Średnich Firm w Kolonii (lub czegoś podobnego), nie mając ani przedsiębiorstwa, ani krawata?

O mój Boże! Doszłam do wniosku, że muszę się stąd ulotnić. I to zdecydowanie jak najszybciej. Pośpiesznie złapałam torebkę. Obaj mężczyźni z pierwszego rzędu ponownie spojrzeli na mnie z konsternacją, gdy z gracją przedefilowałam obok nich, głośno stukając obcasami. Mój nastrój trudno było nazwać radosnym. Dwójka przy drzwiach patrzyła na mnie z nie mniejszym zdziwieniem. Musiałam mocno wziąć się w garść, by w miarę możliwości nie wypaść z roli i nie pognać na złamanie karku jak ktoś, kto właśnie zwędził projektor i ukrył go pod kurtką.

W momencie gdy z ulgą znalazłam się w miejscu, w którym korytarz zakręcał, nagle ujrzałam Mathiasa w odległości zaledwie paru kroków. Stałam jak wryta. Z wrażenia ugięły się pode mną kolana, które w sekundę później zmieniły się w roztrzęsioną galaretę.

Zaraz, zaraz, jakie były jego ostatnie słowa? *Psiakrew, zakochałem się!*

Problem w tym, że ja również.

Mathias szedł szybko (i słusznie, bo był już co najmniej o minutę spóźniony), ściskając pod pachą torbę z laptopem. Wzrok miał skierowany w podłogę. W chwili gdy znalazł się na mojej wysokości, jego spojrzenie przez moment spoczęło na mnie. Gdy ujrzałam aksamitnie błękitne oczy, zaparło mi dech, co spowodowało, że reszta mojego ciała zmieniła się w roztrzęsioną galaretę.

I to miał być ów magiczny moment pierwszego spotkania, który na zawsze powinien był zmienić nasze dotychczasowe życie? Nawet skrzypce duszy zawiodły, milcząc jak zakłete.

Co prawda Mathias spojrzał na mnie, ale tylko przez ułamek sekundy. I to jak na mijany słup. Ot tak sobie, jakby nigdy nic, przeszedł obok mnie, nawet nie zwalniając kroku. Jakby wcale mnie nie zauważył. Jakbym była powietrzem.

Patrzyłam z niedowierzaniem, jak się oddala i znika za zakrętem, a wraz ze mną mój los. Los naturalnie nie gapił się baranym wzrokiem, gdyż to nie w jego stylu. Za to uśmiechał się złośliwie i na odchodnym uchylił rón

kapelusza. Parszywa, wredna bestia w najgorszym wydaniu!

Miłość jest równie bezproblemowa jak samochód.
Problem stanowią wyłącznie kierowcy, pasażerowie
i drogi.
Franz Kafka

W porządku. Przecież wcale nie ma powodu do paniki!

Po prostu to nie był właściwy pierwszy moment. Ostatecznie Mathias nie należy do osób zakochujących się od pierwszego wejrzenia. Ja zresztą też nie. To raczej domena Lindy. A także Felixa. No i Hollywood.

Ale co, jeśli los wcale nie miał zamiaru nas połączyć? Albo jeśli przewidział nasze spotkanie dopiero w roku dwa tysiące jedenastym, dokładnie na minutę przed wpadnięciem pod koła pędzącego pociągu metra? I jeśli podarował nam tylko ten jeden jedyny cudowny pocałunek? Wiadomo przecież, że los uwielbia uprawiać podobne gierki i płatać złośliwe figle...

Sięgnęłam po komórkę z zamiarem zapytania Ewy, czy wierzy w opatrność, jak również w to, że los daruje w życiu tylko jeden jedyny właściwy moment. Już miałam odblokować telefon, gdy uzmysłowiłam sobie, że chciałam porozmawiać z Ewą z dwa tysiące jedenastego roku, a nie z tą, która dopiero za miesiąc wychodzi za mąż.

Nagle poczułam się straszliwie samotna.

W drodze do domu zamiast kupić coś na kolację, nabyłam dwie butelki czerwonego wina. Wszyscy, których kochałam, byli przeraźliwie daleko stąd. Dzieliło mnie od nich całe pięć lat. Natomiast ja dziwnym zrzędzeniem losu tkwiłam samiuteńka jak palec w roku dwa tysiące szóstym, w którym Mathias przeszedł ot tak sobie obok, nawet mnie nie zauważając...

W tym świecie roku dwa tysiące szóstego wszystko było nie tylko nierealne, ale jeszcze na dodatek całkowicie pozbawione sensu. W dwa tysiące jedenastym zaś, w którym wszystko było aż za bardzo rzeczywiste, leżałam martwa po przejechaniu przez pociąg. Nie ma co, cudowna perspektywa!

Dopiero po przyjsciu do domu i po wypiciu lampki czerwonego wina poczułam się nieco lepiej. Na tyle, by przestać się nad sobą rozczulać. Zdjęłam śliczne czarne botki, po czym położyłam się na wersalce zawinięta

w moherowy koc wydziergany przez mamę (który Felix gdzieś około dwa tysiące dziewiątego wyprał w tak gorącej wodzie, że skurczył się do rozmiarów ściereczki). Ogrzewanie szumiało przyjaźnie. Poczułam działanie wina, co sprawiło, że przestawiłam się na pozytywne myślenie. Gdyż jedynie pozytywne myślenie – jak to każdorazowo wmawiałam uczestnikom prowadzonych przeze mnie seminariów – sprawia, że przychodzą nam do głowy różne kreatywne rozwiązania. A zatem w porządku, to, co się wydarzyło, było jedynie maluteńkim kroczeniem do tyłu w stosunku do przeszłości. *Pardon*, przyszłości. Tęskniąc za rokiem dwa tysiące jedenastym, wmawiałam sobie, że przecież siedzieć tu i teraz z kieliszkiem czerwonego wina jest dużo lepiej, niż leżeć martwa pod pociągiem.

Poza tym miniony dzień wcale nie był znowu taki zły: kupiłam sobie dokładnie taki trencz, o jakim zawsze marzyłam. Postawiłam się Gabi i uniknęłam awantury z Cymbalską. I do tego... piłam naprawdę pyszne czerwone wino. Trzeci kieliszek smakował przewybornie. Wprawdzie niepotrzebnie utrudniałam sobie życie myśleniem... Zaraz, na czym to stanęłam? Aha, już wiem. Na pozytywnym myśleniu o tym, co powróciło na nowo. Na przykład o odzyskanej talii i o świetnej liście spraw do załatwienia, którą udało mi się sporządzić.

W porządku, punktu 1.1 nie udało się dziś zrealizować. Ale za to odnalazłam Mathiasa, i to całkiem blisko, bo w Kolonii. Nie, nie poddam się tak szybko!

Być może obecnie spotkani ludzie nie byli tacy, jacy będą za pięć lat. Mimo to kochałam ich. Poza tym potrzebowali mnie. Święta prawda. Zaraz jutro zadzwonię do wiedźmowatej przyszłej teściowej Ewy, przed którą wszyscy drżeli, i poproszę ją, by powierzyła mi część przygotowań do wesela. Z pewnością będzie mocno wierzgać, ale pozostanę niezłomna w tej kwestii. Nie na darmo, do licha – w tym momencie myśli zaczęły mi się nieco plątać – przybyłam z przyszłości wyposażona w bezcenną wiedzę. Byłam, eee, *Future Woman*. Z całych sił będę chroniła tych, których kocham. A może bym tak uszyła sobie opięty elastyczny kostium, z wyhaftowanym na piersi złotą nicią „F”, który mogłabym nosić pod normalnymi ciuchami...

Usnęłam w samym środku tych nad wyraz pozytywnych, choć całkowicie poplątanych myśli. Na dodatek w pełnym makijażu, co sprawiło, że pierwsze

spojrzenie w lustro drugiego dnia przestawiło moje myśli z pozytywnych na zdecydowanie negatywne tory.

Gdy po długim prysznicu, dwóch aspirynach i trzech filiżankach kawy pojawiłam się w biurze – naturalnie porządnie spóźniona – nie byłam już wcale taka pewna, czy *Future Woman* rzeczywiście będzie w stanie należycie wykorzystać swoją wiedzę z przyszłości w celu pomocy innym w teraźniejszości. Na przykład Lindzie.

– Uwe twierdzi, że jesteśmy już tak daleko. – Linda odczekała, aż Gabi i Cymbalska wyjdą na umówione przedpołudniowe spotkania, i gdy tylko zniknęły, podeszła do naszych biurka – mojego i Marlene.

Ogarnęło mnie złe przecucie. Zupełnie słusznie, jak się okazało.

– Uwe mówi, że przyszedł czas na orgazm szyjki macicy.

Wymieniłyśmy z Marlene skonsternowane spojrzenia. Również w dalekiej przyszłości, gdy Linda zaczynała opowiadać o swoim ezoterycznym życiu seksualnym, byliśmy rozdarte pomiędzy ciekawością, fascynacją oraz nieodpartą potrzebą zatkania sobie uszu palcami i śpiewania na cały głos „lalalala!”. W tym przypadku wiedziałam, niestety, co nastąpi, gdyż dokładnie pamiętałam historię „orgazmu szyjki macicy”.

– Uwe twierdzi, że niewiele kobiet go doznaje – wyjaśniła Linda identycznie jak przed laty. – I tylko niewielu mężczyzn potrafi doprowadzić do tego kobietę. Ale dla Uwe to żaden problem. Dokładnie rzecz biorąc, taki orgazm to jego *wynalazek*. – Mówiąc to, pochyliła się tak nisko nad moim biurkiem, że jej wisiołek wpadł do mojej filiżanki z herbatą. – W zasadzie chodzi o to, by się w pełni skoncentrować na kobiecie, uwolnić od wszelkich strachów oraz traumy. A następnie zdobyć jej pełne i bezwarunkowe zaufanie.

I podobnie jak wówczas, Linda zaczęła zagmatwany wykład na temat meridiany, czakr i duchowych blokad w kobiecym jelicie grubym, rozplywających się w niepojętej dali jin i jang. Podczas jej wywodu spojrzenie Marlene zrobiło się nieco szkliste.

Uświadomiłam sobie, że powinnam coś zrobić. Pytanie tylko co? O ile sobie dobrze przypominałam, od oświadczenia Uwe Uryny, że jest żonaty i ma troje dzieci, które spadło na Lindę niczym grom z jasnego nieba, łamiąc jej serce, dzieliło nas raptem parę tygodni. Jej rozpacz była wówczas ogromna. Całymi tygodniami chodziła ponura, bez przerwy popłakując, co

sprawiło, że wyglądała niczym zażawiony królik angora. Ten łajdak postąpił z nią wyjątkowo podle, gdyż przysłał jej e-mailem zdjęcie całej rodziny z napisem pod spodem, że dziękuje za naprawdę piękny wspólnie spędzony czas. Dodał też, że wie, iż może liczyć na zrozumienie, że teraz w pełni chce się poświęcić wyłącznie własnej rodzinie. Nie zapomniał też wspomnieć, że wszystko, co wspólnie przeżyli, na zawsze złączy ich duchowo. Po odejściu drania z rozpromienionej, optymistycznie nastawionej do życia, gotowej wziąć cały świat w ramiona Lindy zrobiła się istna kupka nieszczęścia o opuszczonych ramionach i mrocznej aurze, co był w stanie spostrzec nawet kompletny laik.

Wiedzę zawsze poprzedza wcześniejsze
przypuszczenie.

Alexander von Humboldt

W żadnym wypadku nie mogłam dopuścić, by tak strasznie cierpiała. Z drugiej strony do czasu tego bolesnego zerwania Linda była naprawdę bardzo, bardzo szczęśliwa. Co zatem przeważało? I kim byłam, u diabła, by się mieszać w jej życie? *Future Woman*? Czy to aby nie za mało?

– Uwe mówi, że okoliczności życiowe zmuszają kobiety w większości przypadków do nadmiernego akcentowania jang, gdyż...

– Obawiam się, że Uwe za grosz nie zasłużył na twoje zaufanie – wypaliłam.

– Co takiego? – Linda spojrzała na mnie z konsternacją.

Wytrzymałam jej spojrzenie równie zaskoczona. Co ja najlepszego wyrabiam? Czy gdyby teraz poznała prawdę, nie byłaby równie rozczarowana i zrozpaczona jak w niedalekiej przyszłości? Któż może wiedzieć, czy gdybym teraz odkryła karty, to nie przyspieszyłabym jedynie biegu rzeczy, wcale nie zmniejszając jej cierpienia. Ale za to przynajmniej oszczędziłabym jej doświadczenia z orgazmem szyjki macicy, gdyż – o ile dobrze pamiętam – skończyło się nie orgazmem (choć to Uwe go wynalazł), lecz wielkim rozczarowaniem. I to pomimo całego jej oddania oraz pełnego i bezwarunkowego zaufania.

– Nie... nie wiem... Właśnie miałam coś... coś na kształt... swojego rodzaju natchnienia – wystękałam, płacząc się w wypowiedziach i próbując zignorować spojrzenie Marlene, które całkowicie już utraciło uprzednią

szklistość.

– Natchnienie, mówisz?

Przytaknęłam.

– To było tak, jakby ktoś do mnie mówił. Ale nie, że... żebyś słyszała czyjś głos... – kontynuowałam nerwowo. – To było coś takiego... no nie wiem... Naprawdę trudno mi to wyrazić.

Marlene zmarszczyła czoło. Linda zaś taksowała mnie uważnie wzrokiem.

– Coś takiego jak wczoraj, gdy mówiłaś o dziecku Toma Cruise'a? – zapytała z błyszczącymi oczami.

Nagle zrozumiałam, że nie musiałam karmić Lindy żadnymi bajkami o moich rzekomych nadprzyrodzonych zdolnościach. Była to zapewne jedyna osoba, której mogłam powiedzieć prawdę i która nie uzna mnie za wariatkę. Jedyne człowiek, który uwierzyłby w moją porąbaną historię. Uśmiechnęłam się krzywo.

– Co ty na to, gdybyśmy tak poszły coś zjeść w przerwie obiadowej? Tylko ty i ja?

Poznanie błędu jest początkiem wyzwolenia się
z niego.
Epikur

Czas w równoległym świecie upływał zdecydowanie szybciej niż w normalnym. Przynajmniej takie odnosiłam wrażenie. Mimo to pomiędzy przygotowaniem do kolejnych seminariów i telefonicznymi rozmowami służbowymi udawało mi się odhaczyć niektóre punkty z listy spraw do załatwienia. Dotyczyło to również punktu drugiego, pod którym figurował KOSZMARNY ŚLUB, i części związanych z nim podpunktów. Jednak aż do tej pory nie zdobyłam się na telefon do przyszłej teściowej Ewy. Dochodziło południe, gdy wreszcie się przemogłam i wybrałam jej numer.

W słuchawce rozległ się ton sygnalizujący wolną linię.

Nie patrząc, wiedziałam, że Marlene uważnie obserwuje mnie zza biurka. I do tego z wysoko uniesionymi brwiami. Nie mogłam brać jej tego za złe. Ostatecznie przez całe przedpołudnie przysłuchiwała się moim rozmowom telefonicznym. A ponieważ nie miała pojęcia, że ma przed sobą *Future Woman*, moje reakcje musiały wydać jej się wysoce osobliwe.

Przykładowo chociażby wcześniejsza rozmowa z panią Trybicki, referentką do spraw kadrowych w koncernie chemicznym, oczekującą ode mnie, że w następnym tygodniu wtłukę do głowy jej kursantom coś na temat pracy zespołowej. Ze swojej strony nalegałam, by jednego z nich, Dennisa Benkego albo Henkego (nie byłam pewna, gdyż w nadchodzących latach nazywałam go wyłącznie W-KUR, skrót od Wrednego KURsanta), wykreślić z udziału w seminarium w dobrze pojętym interesie innych jego uczestników. To była niezrównana historia, jeśli by na przyjęciu chcieć wyliczyć dziesięć najbardziej żenujących wydarzeń w życiu zawodowym. Mimo to nie chciałam przeżywać ponownie na własnej skórze onanizowania się podczas wykładu. Na marginesie, pani Trybicki natychmiast była skłonna spełnić moje życzenie, gdyż rzeczony W-KUR nazywał ją Trypicki, mając na myśli trypra.

W czasie tych negocjacji brwi Marlene po raz pierwszy tego dnia powędrowały do góry.

– Dennis Benke to nazwisko, które obowiązkowo powinnaś zapamiętać – wyjaśniłam jej, zanim wpadła na pomysł wypytania mnie, co to wszystko znaczy. – Gdyby kiedykolwiek pojawił się na liście uczestników któregoś z twoich seminariów, natychmiast powinnaś podjąć działania zapobiegawcze. Wszystkie, jakie tylko wpadną ci do głowy. Na jego usprawiedliwienie należy jednak dodać, że środki zaburzające stan jego świadomości, które zażywa, pochodzą z jego własnego podwórka. Chciałam powiedzieć, że są wytworem jego pracodawcy.

– Eeee... w porządku. – Marlene poprzestała na tych dwóch słowach, choć widać było gołym okiem, że w duchu zadaje sobie pytanie, czy przypadkiem nie idę w ślady Benkego i również nie zażywam środków zaburzających stan świadomości, pochodzących na odmianę z mojego podwórka.

O ile w sprawie W-KUR-a wykazała daleko idący sceptycyzm, o tyle w pełni poparła mój zamiar przekazania Lindzie podczas lunchu, w możliwie łagodnej formie, prawdy o Uwe i jego licznej rodzinie. Na szczęście nie wpadła na pomysł zapytania, skąd mam te informacje (z przyszłości, z której tylko co wróciłam!). Zapewne dlatego, że na rozmowę miałyśmy zaledwie trzy minuty (Linda poszła na moment do toalety). Niemniej sam pomysł uznała za dobry, gdyż Uwe Uryna i bez żony był wyjątkową gnidą.

Jednak już po krótkiej chwili przerwy podejrzenia Marlene dotyczące chwiejnego stanu mojego umysłu, spowodowanego zażywaniem przeze mnie narkotyków, wyraźnie się ugruntowały. Powodem była moja reakcja na wyliczanie zboląłym głosem wszystkich zajęć, które Gabi wpakowała jej na nadchodzący weekend. Swoją wyliczankę przerywała co rusz pełnym rezygnacji westchnieniem rozpacz.

– Masz szkolenie z programowania neurolingwistycznego? Czy to są te materiały? – Zerwałam się na równe nogi z entuzjastycznym okrzykiem i rzuciłam na nią niczym zgłodniały lew na strażnika w zoo wchodzącego do klatki z pełną michą najlepszego mięsa. Wyrwałam Marlene z ręki plik kartek, gdyż przypominałam sobie jej informację z dwa tysiące jedenastego, że znała Mathiasa z takich właśnie szkoleń.

Bingo! Miałam rację. Aż się zaczerwieniłam z radości, gdy znalazłam na liście uczestników nazwisko Mathiasa. Mało brakowało, a podniosłabym zaciśniętą pięść w geście triumfu. Wyglądało na to, że mój stary dobry

kumpel los znowu włączył się do gry. To była z całą pewnością jego sprawka! Poznanie Mathiasa na seminarium było daleko lepszym rozwiązaniem niż wpadnięcie na niego „przez przypadek”.

– Na pewno nic ci nie dolega? – zapytała Marlene. Zapewniłam ją trochę nerwowo, że czuję się znakomicie i że poczuję się jeszcze lepiej, jeśli tylko – proszęproszęproszę, bardzo proszę – będę mogła się zapisać na seminarium. Najlepiej od razu. Z wielkim trudem przyszło mi się powstrzymać od zapewnienia, że „to sprawa życia lub śmierci”.

– Ale to już druga część kursu. Jak organizowaliśmy pierwszą, byłaś zdania, że programowanie neurolingwistyczne to pseudonaukowa bzdura wykorzystywana do manipulowania rozmówcami, zwłaszcza podczas negocjacji i...

– Tymczasem jednak zmieniłam zdanie – wrzasnęłam ile sił w płucach, czym wystraszyłam Marlene nie na żarty (zapewne doszła do przekonania, że pod wpływem narkotyków własnej produkcji łatwo mogę wypaść z roli). – Przecież programowanie neurolingwistyczne zawsze może się przydać. A podstawy tak czy siak już znam. Dowiedz się, proszę, czy jest jeszcze jakieś wolne miejsce. I jeśli Gabi nie będzie skłonna pokryć mi kosztów, sama zapłacę – dodałam żarliwie.

Każde zachowanie ma sens. W określonym
kontekście.

Programowanie neurolingwistyczne

Marlene, unosząc ze zdziwienia brwi aż do nasady włosów i kręcąc z niedowierzaniem głową, poszła mi jak zwykle na rękę. Połączyła się z kierownikiem kursu, by zgłosić mnie na najbliższe zajęcia, co sprawiło, że uśmiechałam się od ucha do ucha niczym głupi do sera. No proszę! Udało się. Za niecałe dwa tygodnie ponownie zobaczę Mathiasa i tym razem nie będę biernie czekać, aż nadejdzie ów magiczny moment. Co to, to nie! Tym razem wezmę los w swoje ręce. I to systemowo. Zgodnie z zasadami programowania neurolingwistycznego. Wdrożę w życie swój niezawodny życiowy plan. Nowiusieńki, prosto spod igły, gwarantujący zapoczątkowanie wielkiego romansu. Długotrwały...

– Do kogo znowu wydzwaniasz? – usłyszałam szept Marlene, czekając, aż teściowa Ewy raczy odebrać telefon.

Wyobraźnia nasunęła mi kretyński pomysł rzucenia Marlene prosto z mostu prawdy o sobie, kobiecie powracającej z przyszłości. Ale zamiast odkryć karty, syknęłam jedynie, że nie mam czasu, wskazując wymownym gestem na słuchawkę, w której wreszcie rozległ się głos przyszłej teściowej Ewy. W tym momencie błogosławiłam życiowy przypadek, który uczynił ze mnie – między innymi – wykładowcę i trenera z zakresu technik negocjacji, których celem było doprowadzenie do osiągnięcia założonego celu, gdyż zgodnie z oczekiwaniami przyszła świekra wcale nie była zachwycona, słysząc moje stanowcze oświadczenie, że sama zajmę się zarówno cateringiem, jak i zaangażowaniem zespołu muzycznego.

– Ale przecież nie ma się czym zajmować, droga pani, ponieważ wszystko zostało już załatwione. Wszystko będzie z najwyższej półki i najlepszej jakości. Jesteśmy w doskonałych rękach! – odpowiedziała wojowniczo.

Przyszła teściowa miała na imię Friedlinde⁷. Z mojego punktu widzenia imię to pasowało do niej jak garbaty do ściany. Fakt, że piekła wyśmienitą struclę z wiśniami i nigdy – trzeba przyznać – nie działała Ewie na nerwy. Ale to zapewne należy przypisać wyłącznie łagodnemu, aż do przesady ugodowemu usposobieniu mojej siostry oraz jej anielskiej cierpliwości. Na jej miejscu dawno bym zwariowała, gdybym musiała trzydzieści razy w ciągu dnia odpowiadać wciąż na te same pytania Friedlinde: „Gdzie jest mały Henri? No gdzież on się podziewa?”. W tej sytuacji zniecierpliwiałabym nawet nieśmiertelną struclę z wiśniami serwowaną przy każdej okazji.

– Proszę mi wierzyć, że koniec końców będzie mi pani wdzięczna, bo nikt nie będzie obwiniać pani z powodu nieświeżego tuńczyka, niebezpiecznych ości w filecie z turbota ani wodnistego budyniu czekoladowego z torebki, mającego uchodzić za francuski *mousse au chocolat* – odpowiedziałam uprzejmie, ale stanowczo. Jeśli moje strategie komunikacyjne sprawdzały się regularnie w przypadku mojej szefowej, to dlaczego nie miałyby zadziałać wobec prowincjonalnej pani domu w wykrochmalonej na sztywno bluzce z falbankami. – Poza tym wiem z pewnego źródła, że zespół, który pani zamówiła, ma problemy natury prywatnej, co niestety od dłuższego czasu odbija się niekorzystnie na poziomie jego występów.

Do tego stopnia, że piosenkarka wcale się nie pojawia. Dlatego muzyk grający na instrumentach klawiszowych zmuszony jest występować również w roli wokalisty. Niestety, z opłakanym skutkiem, gdyż ma repertuar od Sasa

do Lasu. Podczas improwizowanych występów wyśpiewuje bardzo, ale to bardzo smutne piosenki na przemian z bardzo, ale to bardzo obrazoburczymi, ostro przy tym popijając. W efekcie w połowie wieczoru jest już pijany w sztok i ląduje nieprzytomny na podłodze. W naszym przypadku wylądował na posadzce garderoby w ramionach KOSZMARNEJ CIOTKI...

– Nie rozumiem, dlaczego nagle chce się pani wtrącać do spraw, które nie powinny pani interesować. – Ostry głos Friedlinde wyrwał mnie ze wspomnień z przyszłości. Kipiąc z oburzenia, wciągała powietrze po każdej spółgłosce, wypuszczając je przez szparę w przednich zębach po każdej sylabie.

– Ależ skądże znowu – zaprotestowałam. *Należy stworzyć wrażenie współdziałania, nie pozostawiając przy tym cienia wątpliwości w kwestii, kto decyduje.* – Wszystko pozostaje, naturalnie, w pani rękach. Z wyjątkiem cateringu i zespołu muzycznego. Pani doskonale da sobie radę z kompozycjami kwiatowymi, dekoracją sali, jak również ze wszystkimi sympatycznymi, bardzo istotnymi drobiazgami oraz przygotowaniem niespodzianek... Eeee, ale proponuję zrezygnować z gołębi. (Bo mogłoby się zdarzyć, że któryś z nich padnie martwy u stóp jednej z dziewczynek sypiących kwiaty, co sprawi, że mała przez cały dzień będzie głośno ryczeć, histerycznie szlochać oraz smarkać i w efekcie zepsuje wszystkie ślubne zdjęcia zasmarkanym wyglądem i nadąsanym wyrazem buzi). – Ewa ma fobię na punkcie ptaków, choć się do tego nie przyznaje.

– Skąd pani wie o gołębiach? Przecież to miała być niespodzianka...

– Tak mi tylko przyszło do głowy, moja droga. Zatem jak mówiłam, żadnych gołębi. Same baloniki zupełnie wystarczą. Na marginesie: drobne upominki w tiulowych woreczkach to naprawdę świetny pomysł. – *Wszystko, co tylko można, należy chwalić. Uznanie zawsze stwarza konstruktywną podstawę do osiągnięcia zamierzonego efektu.* – Również przepiękna dekoracja z owoców... – W tym momencie sięgnęłam po listę spraw do załatwienia. – Aha, jeszcze jedno. Co do pani Luchsenbichler... proponowałabym darować sobie zapraszanie jej – wymruczałam bardziej do siebie niż do Friedlinde.

– Cooo? Jak to, darować sobie? – W głosie Friedlinde słychać było przerażenie. – Przecież to nasza kochana sąsiadka.

Sąsiadka zdecydowanie tak, kochana zdecydowanie nie. Ta kobieta to

istna plaga. Co prawda Ewa z Robertem kupili od niej naprawdę korzystnie uroczo położoną działkę, na której wybudowali zachwycający domek, w którym wiedli cudowne życie jak z bajki. Problem jednak w tym, że jedynie ktoś cechujący się stoickim spokojem mojej siostry był w stanie – wzięty w kleszcze z dwóch stron: przez teściów z jednej, a panią Luchsenbichler z drugiej – zachować zimną krew, nie tracąc równocześnie zmysłów. Choć bowiem pani Luchsenbichler sprzedała działkę, to po pięciu latach ciągle jeszcze myślała, że ma do niej pełne prawo i w dalszym ciągu traktowała ją niczym swoją własność. Dlatego też co rusz zjawiała się jakby nigdy nic na tarasie Ewy i bez cienia skrępowania wtykała głowę do pokoju. A gdy Ewa z Robertem postawili płot, po którym przy swoich siedemdziesięciu latach nie była w stanie przeleźć ot tak sobie na drugą stronę, stała się potwornie zrzędliva. Niestety, ciągle jeszcze mogła ich podglądać przez sztachety i komentować swoje obserwacje. Gdy podczas ostatniego lata (z dzisiejszej perspektywy miało się to zdarzyć dopiero za lat cztery) malutki Henri bawił się z dwójką innych maluchów w nadmuchiwany baseniku, pani Luchsenbichler nie posiadała się z oburzenia. Zaczęła się wydzierać wniebogłoso, że na swojej działce nie będzie tolerowała żadnej nagości ani praktyk homoseksualnych. Nie mówiąc o roznoszeniu niebezpiecznych bakterii. W tym momencie Ewa i Robert ostatecznie stracili anielską cierpliwość i dodatkowo zamontowali panele, przez które nic nie można było zobaczyć.

– To nasza kochana sąsiadka, znająca mojego syna od czasu, gdy był małym dzieckiem – powtórzyła Friedlinde, tym razem zapominając wypuścić powietrze.

Najgorsze w złości jest to, że złoścąc się,
szkodzimy sobie, nie innym.

Kurt Tucholsky

Zgadza się. Pani Luchsenbichler nie omieszkała podkreślić kilkakrotnie tego faktu w trakcie swojej spontanicznej przemowy. Podczas gdy serwowano główne danie, niespodziewanie dorwała się mikrofonu i gadała tak długo, aż opowiedziała wszystkie szczegóły z dzieciństwa Roberta, niczego nie pomijając. Weselni goście dowiedzieli się między innymi, że mały Robert („Robertuś”) pewnego dnia, gdy zobaczył dogę spod

trzydziestkiątki, zsikał się w majtki, niszcząc przy tej okazji skórzane spodnie. Nic dziwnego, gdyż należałoby zabronić trzymania psów, które paskudzą gdzie popadnie. W tym także w jej ogrodzie przed domem. Lecz Robertuś, o czym pani Luchsenbichler przekonała się bardzo wcześniej, nigdy nie zdecyduje się na żadnego niehigienicznego psa, jak również nigdy nie wyrośnie na paskudnego chuligana eksperymentującego z narkotykami, głośną muzyką i szminką. Nigdy też nie skończy jako homoseksualny nicpoń albo polityk u Zielonych. Pomimo że gdzieś tak około roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego nosił długie włosy, które wcale się pani Luchsenbichler nie podobały. Podobała jej się natomiast Claudia o brązowych lokach i cały czas miała nadzieję, że to właśnie ona – brązowowłosa Claudia – zostanie żoną Robusia, gdyż to Claudia, co musi wyraźnie podkreślić, ze wszystkich dziewcząt, które w minionych latach przyprowadzał do domu, najlepiej do niego pasowała. Również ze względu na charakter. Na dodatek studiowała w akademii muzycznej i tak pięknie grała na flecie poprzecznym, że jej, Giseli Luchsenbichler, zawsze stawały łzy w oczach, gdy tylko słyszała ten ładny motyw z *Carmen*. Zaraz, jak to leciało? La la lalala lalala...

Wszyscy – a szczególnie biedny Robertuś – wlepiliśmy ogłupiałe spojrzenia w panią Luchsenbichler, nieruchomiejąc z przerażenia, niezdolni do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Co prawda ojciec zawsze później utrzymywał, że gdy tylko dorwała się do mikrofonu, chciał w nią rzucić trzymaną w dłoni brzoskwinią. Niestety, nie był w stanie tego udowodnić, gdyż trelów pani Luchsenbichler nie przerwała rzeczona brzoskwinia, tylko wuj Anton, który akurat zadławił się rybią ością. I do tego tak nieszczęśliwie, że mało brakowało, a byłby się udusił. W pierwszej chwili incydent ten został potraktowany przez wszystkich jako szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Nie mogę przecież cofnąć zaproszenia pani Luchsenbichler – stwierdziła niemal z płaczem Friedlinde, najwyraźniej zbита z tropu moim milczeniem.

– Jestem w stanie to zrozumieć – odpowiedziałam pojednawczo. – W pierwszym rzędzie należy zatem odwołać catering, zespół muzyczny i gołębie. A co do porządku przy stole, to jeszcze skontaktuję się z panią w tej sprawie. Aha, jeszcze jedno. Przygotuję dla pani męża listę tematów, których nie powinien włączać do swojej mowy.

– Chce pani... ocenzurować przemówienie Heriberta?

– Tylko po to, żeby mieć pewność, że nie palnie nierozważnie czegoś, czego będzie się później musiał wstydzić. Przecież obie chcemy, żeby ten ślub wszyscy wspominali jak najlepiej. Chyba się nie mylę?

Nasze wspólne pragnienie ogłupiło Friedlinde do tego stopnia, że zamilkła.

– Tak, naturalnie – wystękała po długiej chwili, gdy wreszcie odzyskała głos.

Odłożyłam słuchawkę niezmiernie z siebie zadowolona, bo udało mi się załatwić bardzo ważną sprawę. A co do pani Luchsenbichler, to z pewnością coś mi przyjdzie do głowy. Z tym nie będzie problemu.

Tymczasem Marlene zdecydowała się przejść do ofensywy. Spojrzała na mnie uważnie, mrużąc oczy.

– Od czasu powrotu ze szpitala jesteś jakaś inna.

Auć, masz babo placek.

– Być może jestem trochę bardziej zdecydowana – przyznałam. – Leżąc w szpitalu, zrozumiałam, że w życiu nie wolno marnować czasu.

– Tak, z pewnością coś w tym jest – przyznała Marlene. Wówczas stało się coś zadziwiającego. Jej wzrok stracił ostrość. – Straciłam go już tyle na zastanawianie się, co mam zrobić... Ciągle rozważam... i wciąż nie wiem, czy powinnam przyjąć ofertę Gabi.

– Jaką ofer...? – zaczęłam. Nagle przypomniałam sobie, że w roku dwa tysiące szóstym Gabi zaproponowała Marlene przejęcie części udziałów w agencji. Powodem propozycji wcale nie było, jak by się mogło wydawać, nagłe oświecenie Gabi, która w przyptywie niezmierzonej i zupełnie u niej nietypowej mądrości uświadomiła sobie, że to właśnie Marlene akwiruje największą liczbę klientów i jest jednym z najlepszych i najbardziej rozchwytywanych coachów w branży szkoleń kobiet menadżerów (to znaczy wkrótce nim zostanie). Nic z tych rzeczy! Krwiożercza hrabina dowiedziała się po prostu sobie tylko znanym sposobem, że Marlene otrzymała wyjątkowo atrakcyjną ofertę pracy od konkurencji. W tej sytuacji zamiast związać ją z firmą znaczną podwyżką pensji, zwyczajnie wykombinowała sobie, że taniej jej wyjdzie zaproponować Marlene udział w spółce.

Ojciec Marlene popierał ten pomysł. Zaproponował nawet, że na poczet przyszłego spadku wypłaci Marlene sporą sumę, która umożliwi jej założenie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Jednak wycofał się z tej

oferty – i to jeszcze w tym roku, dokładnie w święta Bożego Narodzenia – kiedy Marlene kategorycznie odmówiła rozstania się z Javierem. W końcu została na lodzie pod względem zawodowym, lądując z pustymi rękami. Z jednej strony nie została współniczką Gabi, bo wzięcie kredytu na zakup udziałów było dla niej zbyt ryzykowne. Z drugiej zaś nie dostała pracy u konkurencji, gdyż tymczasem znaleźli sobie kogoś innego. W efekcie pozostała jej jedynie śmiejąca się w kułak Gabi, kasująca większość wypracowanych przez Marlene zysków.

– Taak, największa trudność zawsze polega na rozważeniu wszystkich za i przeciw, a następnie oszacowaniu, czego jest więcej: wad czy zalet – przyznałam ostrożnie, dopisując w duchu kolejny punkt do listy spraw do załatwienia. Ostatecznie było się przecież *Future Woman*.

– W zasadzie to dokładnie to, co chciałabym robić – stwierdziła Marlene w odpowiedzi. – Z drugiej strony... Gotowa jestem pójść o zakład, że gdybyśmy zostały współniczkami, wówczas Gabi zmusiłaby mnie do harówki dzień i noc. A na to *nie mogę* sobie pozwolić ze względu na Amelię...

Dokładnie tym argumentem szermowała Gabi również w dwa tysiące jedenastym. Twierdziła, że jako samotna matka Marlene nie byłaby przecież w stanie podołać obowiązkowi kierowania agencją i powinna być zadowolona, że wówczas odrzuciła jej propozycję wejścia do spółki.

– Są przecież także inne możliwości prowadzenia agencji. Nie tylko kosztem całkowitej rezygnacji z życia prywatnego – zapewniłam ją. – Z pewnością świetnie byś sobie dała radę z zarządzaniem spółką. Bardzo bym się cieszyła, gdybyś była moją szefową.

– Miło, że tak mówisz. – Marlene się uśmiechnęła. – Nawiasem mówiąc, mój ojciec też jest zdania, że powinnam brać byka za rogi. Bardzo podoba mu się perspektywa, że córka będzie właścicielką firmy. Jeśli mam być szczerą, pierwszy raz w życiu mam wrażenie, że jest ze mnie naprawdę dumny. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby zaoferował mi pieniądze. A już z pewnością nie w takiej zawrotnej wysokości.

Musiałam się bardzo opanować, by nie zacząć zgrzytać zębami. Ojciec Marlene był odrażającym despota. Ona zaś od lat bezskutecznie zabiegała o jego uznanie. Od czasu listu, który dostała od niego na Gwiazdkę dwa tysiące szóstego (a raczej z aktualnej perspektywy dopiero miała dostać), nie utrzymywała z nim żadnych kontaktów, co po przeczytaniu tego ohydneho

paszkwilu doskonale rozumiałam. Tak długo, jak długo jego córka będzie z Javierem, a dokładnie rzecz ujmując „z tym uzależnionym od narkotyków azylantem i zagranicznym oszustem matrymonialnym”, jej noga nie ma prawa przekroczyć progu rodzinnego domu. Nie zobaczy też ani centa ze spadku. Nawet z zachowku. O to już szanowny tatuś zadba osobiście.

– Ekscytujące byłoby też móc samodzielnie podejmować decyzje. – Marlene spojrzała z rozmarzeniem w okno.

– Z drugiej strony pracować ramię w ramię z krwawą... – chrząknęłam zmieszana – eeee, chciałam powiedzieć, z Gabi. Prawdę powiedziawszy, trudno mi to sobie wyobrazić.

Mój mózg zaczął pracować na wyższych obrotach. Nieodwołalnie postanowiłam wziąć również i tę sprawę w swoje ręce. W końcu to też zadanie dla *Future Woman*. Nawet miałam już pewien pomysł. Wyjątkowo odważny...

– Tak, masz całkowitą rację. – Marlene ponownie westchnęła z rezygnacją. – Ponadto pani Liczydło-Rozwalska także nie byłaby zbyt skłonna do współpracy ze mną.

Co do pomysłu, to przecież tkwiłam w świecie równoległym. Tak czy nie? Można zatem podjąć ryzyko, na które nigdy bym się odważyła w prawdziwym życiu.

Czasami trzeba po prostu zaryzykować
naprawienie błędów popełnionych w drodze do
celu.

Lee Lacocca

– Jeśli chodzi o panią Liczydło-Rozwalską, to mam wrażenie, że jej dni w agencji są policzone – powiedziałam w zamyśleniu, sporządzając gorączkowo notatki. Nie dodałam przy tym, że Cymbalska jesienią przeprowadzi się z mężem do Stuttgartu i całkowicie popadnie w zapomnienie.

– Co tam znowu bazgrzesz? – zainteresowała się Marlene.

– Nic takiego. To tylko lista spraw do załatwienia. – Uśmiechając się, szybko złożyłam kartkę. – Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia!

Mądrości możemy się nauczyć na trzy sposoby: po pierwsze, dzięki refleksji, która jest najszlachetniejsza; po drugie, dzięki naśladowaniu, które jest najłatwiejsze; po trzecie, dzięki doświadczeniu, które jest najbardziej gorzkie.
Konfucjusz

W roku dwa tysiące szóstym wybór naturalnych produktów pozostawiał sporo do życzenia. Ale można już było dostać kurczaki z chowu wybiegowego, sporo odmian chrupiącego szczypioru i świeżuteńkie pieczarki do mojego ulubionego dania według przepisu Jamiego Olivera, co do którego nie byłam pewna, czy w danym momencie został już wynaleziony. Ale dla mnie nie miało to najmniejszego znaczenia, gdyż wszystkie składniki i sposób przyrządzania znałam na pamięć (jeśli sobie przypominać, potrawę tę gotowałam już w przyszłej przeszłości).

Po wrzuceniu do wyszukiwarki hasła „ponownie móc przeżyć swoje życie” wyskakuje zadziwiająco wiele wyników. Również w roku dwa tysiące szóstym. Wielu ludzi (przeważnie rzecz jasna starszych, względnie umierających) zastanawiało się nad tą kwestią i pozostawili sporo mądrości dla przyszłych pokoleń. Wszyscy twierdzili zgodnym chórem: Gdyby miało się możliwość przeżycia swego życia raz jeszcze, wówczas czerpałoby się więcej radości z dnia codziennego, bardziej by się kochało, a także miałoby się mniej obaw przed popełnieniem błędu. Podziwiałoby się więcej zachodów słońca i okazywało więcej czułości, rzadziej by się sprzątało mieszkanie i stosowało mniej diet odchudzających. Więcej byłoby „jeśli nie teraz, to kiedy?”, mniej „sprzątnij wreszcie te skarpetki”. Więcej „kocham cię”, za to mniej wciągania brzucha. No i więcej „świętowania, gdy nadarza się ku temu okazja”. Nagle pojęłam, że wszystko to stanowi sens życia!

Dlatego też w nadchodzący weekend spontanicznie zaprosiłam na kolację Lindę, Marlene, Amelię i Javię (chętnie zaprosiłabym więcej osób, ale w owym czasie mój krąg znajomych w Kolonii był raczej niewielki). A że szkoda było marnować życie na nudne kolacje, postanowiłam, że wspólnie będziemy kolorować wielkanocne jajka oraz grać w „Nikt nie jest doskonały”.

(Z zachodów słońca też nie miałam zamiaru rezygnować).

Codziennie zrób coś NIETYPOWEGO.

Rzuciłam spojrzenie w lustro nad stoiskiem z jarzynami i zatrzymałam się, by poprzyglądać się sobie życzliwie. Miałam ulubione dzinsy i opiętą koszulkę. W lustrzanym odbiciu nie zauważyłam nawet najmniejszego waleczka tłuszczu. Rozpięty nowy trencz rozchyłał się nonszalancko, podkreślając idealnie dopasowany sportowy ubiór. Mogłam powiedzieć bez cienia przesady, że wyglądałam SUPER! Doszłam do wniosku, że aby możliwie jak najdłużej utrzymać obecną sylwetkę, niezwłocznie powinnam się zapisać na kurs pilatesu.

Zadowolona z siebie popychałam wózek, nucąc pod nosem. Byłoby przesadą twierdzić, że im dłużej trwała ta przymusowa podróż w przeszłość, tym bardziej byłam zrelaksowana i odprężona (tak naprawdę to co wieczór przed zaśnięciem bardzo się bałam, że obudzę się ponownie w roku dwa tysiące jedenastym pod pociągiem metra, co trudno było nazwać relaksującą czy odprężającą myślą). Ale powoli zaczynałam się dostosowywać do starych-nowych warunków i wszystko sobie na nowo układać.

Perspektywa ponownego spotkania Mathiasa na kursie programowania neurolingwistycznego wyraźnie poprawiła mi nastrój, podobnie jak fakt, że dysponując wiedzą z przyszłości, zaliczyłam już drobne sukcesiki.

Nie czułam się też już tak bardzo samotna, co miałam do zawdzięczenia Lindzie. No, prawdę powiedziawszy, nie do końca. Ale z czystym sumieniem mogę stwierdzić, że znalazłam kogoś, z kim mogłam snuć rozważania na temat niektórych wydarzeń. Linda ani przez moment nie wątpiła, że pojawiłam się z przyszłości. Wręcz przeciwnie, wysłuchiwała całej mojej wariackiej historii z szeroko otwartymi oczami, a na wiadomość o mojej śmierci pod kołami pociągu metra zaczęła płakać.

– To przerażające, kochanie. Moje ty biedactwo! – szepnęła. Próbując objąć mnie na pocieszenie, przewróciła szklankę z lemoniadą. – Z pewnością czujesz się okropnie! Ale nie jesteś sama! Czytałam coś niecoś o wędrownce dusz... I wcale nie wierzę, żebyś umarła. Wręcz przeciwnie: życie dało ci drugą szansę.

Uspokojona pozwoliłam, by wzięła mnie w ramiona (ignorując lekki zapach moczu). Trochę się też popłakałam. Były to bardziej łzy wdzięczności

niż rozczulania się nad sobą.

– Jesteś zupełnie pewna, że w tym momencie nie tkwię w roku dwa tysiące jedenastym i nie leżę w jakiejś kostnicy?

– Ależ skąd. W przypadku śmierci wygląda to zupełnie inaczej – zapewniła mnie. – Wówczas nie cofnęłabyś się w czasie i nie znalazłabyś się w świecie równoległym, lecz musiałabyś przejść przez tunel, następnie przebyć morze łoż wylanych z powodu twojej śmierci i minąć wszystkie zwierzęta, które umarły z twojej winy. Mijane zwierzęta spoglądałyby na ciebie z ogromnym smutkiem. Następnie weszłabyś w krąg światła i ponownie przysła na świat jako wegetarianka.

– Jesteś kochana, że mi wierzysz i nie uważasz mnie za niespełna rozumu wariatkę! – Pociągnęłam nosem.

– Oczywiście, że ci wierzę, Katineczko – zapewniła mnie. W jej ramionach poczułam się przez sekundę pewnie i bezpiecznie. Przyszło mi na myśl, że być może Linda była o wiele mądrzejsza od nas wszystkich razem wziętych. Jednak szybko zmieniałam zdanie, gdy dodała: – Od razu zorientowałabym się, że kłamiesz, po twojej aurze.

Przyjaciół to ktoś, przy kim możemy głośno myśleć.

Ralph Waldo Emerson

To było to, na co czekałam! Natychmiast wyzwoliłam się z jej objęć, otarłam łzy i przystąpiłam do wyłuszczenia bolesnej historii z Uwe.

– A propos kłamstwa... – zaczęłam z ciężkim sercem.

Mogłam się spodziewać, że Linda natychmiast przestanie widzieć we mnie przybysza z przyszłości (nawet gdybym przygalopowała na jednorożcu, poda ten fakt w wątpliwość) i nie da wiary mojemu twierdzeniu, że Uwe od tygodni robi ją w konia. Nawet jeśli użyję wszystkich możliwych argumentów i wytoczę armaty najcięższego kalibru (oraz zastosuję metodę „skutecznego blefu”, lansowaną przez Marlene z ogromnym powodzeniem na seminariach prowadzonych w dwa tysiące dziewiątym, która stała się prawdziwym hitem). Mimo mizernych dowodów na poparcie moich twierdzeń osiągnęłam jednak pewien sukces, gdyż udało mi się przekonać Lindę do przerwania urynoterapii, co uznałam za dobry znak. Zawsze to coś.

– Przepraszam, czy mogę przejść?

Jakoś udało mi się przepchać obok zestresowanej matki popychającej

ogromny podwójny wózek dziecięcy, zanim wtoczyła się w przejście pomiędzy szafą chłodniczą z produktami mlecznymi i regałem z płatkami śniadaniowymi, by je skutecznie zablokować na całe godziny.

Szybko przeliczyłam w głowie, ile śmietany potrzebuję na danie dla sześciu osób, gdyż przepis zawierał składniki tylko na cztery porcje. Następnie załadowałam jeszcze do wózka sześć kubków *mousse au chocolat* na deser.

Marlene była nieco zakłopotana, gdy zaprosiłam ją razem z Javierem.

– Wiesz, właściwie to tak *naprawdę* nie jesteśmy ze sobą! – wymamrotała. – Poza tym jest dla mnie zdecydowanie za młody.

W odpowiedzi zapewniłam ją, że będę się cieszyć, jeśli przyjdą razem. Po czym dodałam, że Javier może też przyprowadzić jakiegoś kolegę jako towarzystwo dla Lindy. Byłoby znakomicie, gdyby Linda zakochała się w twórcy szlagierów z zespołu Javiera i zerwała z Uwe, zanim on to zrobi.

Przyjrzałam się uważnie zawartości wózka, sprawdzając, czy na pewno niczego nie zapomniałam, po czym szybko podążyłam w kierunku kasy. W drodze do domu miałam jeszcze wpaść do sklepu z alkoholami na rogu, gdyż potrzebowałam białego wina do sosu. I to całkiem sporo. A poza tym jak już świętować, to na całego.

Rummp!

Nagle zderzyłam się z wózkiem, który niespodziewanie wyjechał zza rogu. Zderzenie było tak silne, że odrzuciło drugi wózek, kierując go prosto na wieżę utworzoną z pudełek płatków kukurydzianych, która pod wpływem uderzenia zaczęła się gwałtownie chwiać, by po chwili runąć z hukiem. Scena zupełnie jak z filmu, z tą tylko różnicą, że do jej nakręcenia użyto by zapewne szklanych słoików z musem jabłkowym. Spadające słoiki z pewnością spowodowałyby większy hałas, przez co osiągnięto by lepszy efekt akustyczny, nadając całemu zdarzeniu odpowiednią dramaturgię. Do tego jeszcze doszłoby mnóstwo rozbitego szkła i śliskiej brei na posadzce. W odróżnieniu od kartonów z płatkami, które pozostały całe.

– Co, do jasnej cholery...?! – Facet kierujący wózkiem wyraźnie się zeźlił. Otworzyłam usta, by wyrazić ubolewanie i go przeprosić – pomimo że nie miałam pewności, czy w supermarkecie obowiązuje zasada ruchu prawoczy lewostronnego – gdy nagle zamarłam, widząc, na kogo wpadłam.

Felix!

Poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Psiakrew! Tylko tego brakowało. Skąd się tu wziął? Przecież ten supermarket wcale nie leżał w jego dzielnicy. Podstępny los znowu spletał mi figła, zwabiając w jakiś sposób Felixa do sklepu, w którym miałam zwyczaj robić zakupy. Na dodatek postawił go dokładniuszko na mojej drodze, bym mogła rąbnąć w jego wózek. Gdyby mnie zobaczył, prawdopodobnie zakochałby się w okamgnieniu, co było akurat w jego stylu. Zapewne taki scenariusz zaplanował perfidny los. I do tego właśnie dzisiaj, gdy nie miałam ani okropnej kwiecistej piżamy, ani tłustych włosów, i gdy wyglądałam naprawdę odłotowo. Wręcz cudownie! A nawet wyrafinowanie.

Ale nic z tego! Nie dam się w nic wrobić, w żaden romans z Felixem w roli głównej.

Szybko się schyliłam i zaczęłam zbierać rozsypane pudełka z płatkami kukurydzianymi. Felix momentalnie poszedł w moje ślady. Unikając spojrzenia mu w oczy, zastanawiałam się gorączkowo, jak go odstraszyć. Czego Felix nie znosił z całej duszy? Co go najbardziej drażniło u kobiet i najbardziej do nich zniechęcało? Na przykład wygolone brwi. Ale przecież nie byłam w stanie ogolić ich w okamgnieniu. Za wyjątkowo nieseksowne uważał też wszelkiego typu dialekty oraz gwarę. Co jeszcze? No jazda, Kati, rusz głową! Przecież znasz tego mężczyznę lepiej niż samą siebie. Czego nienawidził? Gryzących swetrów, ryżu na mleku, braku manier przy stole. Słowa „siusiak”. Xaviera Naidoo oraz duetu Rosenstolz. Ludzi mających bzika na punkcie sprzątanania. Cukierkowego różu w stylu lalki Barbie. Błyszczyku do ust. Błędów gramatycznych. Zwracania się do niego per „skarbeczku”. Skórki cytrynowej i pomarańczowej w cieście...

O mój Boże, odwrócił się i popatrzył na mnie. I do tego uśmiechnął się od ucha do ucha. Pod wpływem znajomego, budzącego zaufanie spojrzenia przypomniało mi się wszystko, co uwielbiał. Spacerzy nad brzegiem morza podczas deszczu. Marcepan. Czekoladę z nadzieniem kokosowym. Moje zimne stopy dotykające jego łydek – rzekomo... Muzykę Circlesquare, Arcade Fire i innych zespołów muzycznych nieznanych nikomu z wyjątkiem jego. Koty i psy... Stop! Tak nie można. Dość tego! Rozpaczliwie starałam się sprawiać wrażenie kogoś, kto nie ma pojęcia, jak należy się zachować przy stole, oraz osoby mającej bzika na punkcie porządków. Pomimo moich wysiłków Felix w dalszym ciągu się uśmiechał.

– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedział.

O nie! Teraz nie pozostaje już nic innego, jak wytoczyć ciężkie działa i strzelić z grubej rury.

– Wcale tam nie pomagam. Tysz coś! To pon narobił tego bajzlu. – Cholera, co ja wygaduję? Cóż to za kretyński bełkot. – Jok jaki wariot pieprznał pon we mnie! – dodałam. Bełkot nie bełkot, wszystko jedno, byle tylko brzmiało dostatecznie źle.

Moja przemowa chyba odniosła zamierzony skutek, gdyż Felix spojrzał na mnie zdziwiony. Prawdopodobnie zastanawiał się, z jakiego kraju pochodzę. Na szczęście pojawił się młodziutki pracownik supermarketu, wyglądający na praktykanta, najprawdopodobniej pomysłodawca i zarazem budowniczy zrujnowanej przez nas piramidy.

Mów zrozumiale i wolno, ale nie mów za wiele.

John Wayne

– Nic nie szkodzi. Zaraz to uprzątnę – zwrócił się do nas zadziwiająco uprzejmie.

– Dziękuję – odpowiedziałam. Stwierdziłam z ulgą, że mój głos brzmiał zupełnie normalnie. – Ale coby pon wiedzioł, to jego wina.

Wyjaśniwszy sprawę, złapałam wózek i uciekłam. Noo! Tym razem udało się przechytrzyć los.

Moja radość nie trwała jednak długo, gdyż Felix podążył za mną. Przyspieszyłam. W tym momencie w kieszeni mojego płaszcza odezwała się komórka. Jeszcze i to!

– Hej! Proszę poczekać! – Za plecami usłyszałam wołanie Felixa.

Niepojęte! Czyżby *mimo wszystko* chciał mnie poprosić o numer telefonu?

– Ta droga tędy nie dło pona – oznajmiłam, śpiewnie rozwlekając samogłoski, gdy znalazł się na mojej wysokości, próbując równocześnie wyłowić z kieszeni dzwoniący telefon.

– Pani... – zaczął.

– Ciii! Musza dzwonić. Pon nie widzi? – Przyłożyłam komórkę do ucha. – Jaua, Linda. Ni mom tyroz czasu. Musza do kosmetyczka, zrobić golenie brwi i potym szybko do doma gotować ryż na mleko mojemu skarbeczku... – Rzuciłam Felixowi przenikliwe spojrzenie, które miało wyrażać: *Nie widzisz, że ta dama zdecydowanie nie jest w twoim typie. I na dodatek ma kogoś. Kapujesz?*

Spadaj!

– Kati, brzmisz, jakby utknął ci w gardle gorący kartofel – zauważyła Linda. – Nie chcę ci przeszkadzać podczas gotowania. Chciałam jedynie powiedzieć, że miałaś rację.

– Cuu? Nie, wiesz przeca, że nie cierpie zwierza. Ino jako żarcie pieczone w sobota albo jako kapota! Takie ścierwo to nic ino brud i sakrament.

Ha, udało się! Felix wreszcie zaczął patrzeć na mnie z niesmakiem. Jednak w dalszym ciągu nie zamierzał zniknąć. W każdym razie nic na to nie wskazywało. Wręcz przeciwnie. Uparcie trzymał się mego boku. Na dodatek złapał mój wózek.

– A pon to co wyprawiać? – zapytałam z groźną miną, uderzając go po paluchach.

– Byłam dziś po południu w praktyce Uwe – kontynuowała tymczasem Linda. – Pomyślałam sobie, że mogłabym trochę pociągnąć za język jego asystentkę, która okazała się bardzo gadatliwa i... I wiesz, czego się dowiedziałam?

– Że cięgiem jeszcze jest wkurzony, bom se zrobiła piercing na ozorze i mię się porzundnie oberwało – odpowiedziałam ze swadą zupełnie nie na temat, mając nadzieję, że po takiej tyradzie Felix odwróci się na pięcie i popędzi gdzie pieprz rośnie. Ale on wciąż stał jak słup soli, wpatrując się we mnie niczym w jakiś ósmy cud świata. Cóż, nie pozostawił mi wyboru.

– Wyobraź sobie, że ten drań jest od jedenastu lat żonaty i ma troje dzieci!
– Linda pociągnęła nosem. – Wiedziałaś o tym. Ale czy wiesz, kto jest jego żoną? Jego asystentka we własnej osobie!

– Och, Lindeczko! To mi cie żal! Zara do ciebie zadzwonia znowu. Co, dobrze?

– Gdyby pani zechciała... – Felix ponownie spróbował wyrwać mi wózek. Cholera, coś było nie tak!

– Najmłodsze ma dopiero rok... – znów usłyszałam w słuchawce głos Lindy. Powoli sytuacja zaczęła mnie przerastać. – I na dodatek ma wyjątkowo paskudne atopowe zapalenie skóry, na które nic nie działa. Żadne środki homeopatyczne. Nic...

– Felix? Wszędzie cię szukam! – Nagle na ramieniu Felixa ujrzałam kobiecą dłoń. Gdy zorientowałam się, do kogo należała, zapiszczałam niczym rozdeptywana ŚWINKA MORSKA wydająca z siebie ostatni

przedśmiertny skowyt.

Lillian! PARSZYWA EKS! To znaczy w obecnej odsłonie już żadna tam eks, tylko jak najbardziej aktualna i na czasie. Najwidoczniej zakończyło się już „chwilowe zawieszenie związku”, co wyjaśniało pojawienie się Felixa w tym nietypowym dla niego supermarkecie. Tak się składało, że Lillian mieszkała nieopodal, tuż za rogiem. Phi. Człowiek robi co może, żeby takiemu nie zezłomować roweru, a ten w podzięce w te pędy wraca tryumfalnie do swojej eksprzyjaciółki. Co w tej sytuacji było naturalnie dobrym rozwiązaniem. A nawet bardzo dobrym z czysto praktycznego punktu widzenia. Nie mogło być lepiej. To znaczy, *wspaniale*, że Felix był szczęśliwy beze mnie. Ale... Do diabła! Czy to koniecznie musiała być Lillian?

Z uśmiechem obserwowałam, jak Felix odruchowo, dobrze znanym mi gestem, przygładził włosy.

– Idziesz wreszcie? – padło pytanie.

– Tak, tak. Tylko, że ten dziwo... ta pani porwała mi wózek! – wyjaśnił Felix.

– Eeechhhh... ooch! – Spojrzałam na wózek wypełniony zakupami Felixa. – Zgadza się, to nie mój. Przecież nigdy w życiu nie kupiłabym całej palety jogurtu orzechowego. Ani hiszpańskich truskawek... ani zajączka wielkanocnego.

Zwłaszcza złotego z dzwoneczkiem na szyi. Dokładnie takiego, jakiego Felix zawsze na Wielkanoc stawiał na uroczyste śniadanie obok mojego talerza z karteczką przypiętą do wstążeczki.

Poczułam, że Felix spogląda na mnie, i błyskawicznie wzięłam się w garść.

– Takiego zajunca mogem se zawsze kupić sama, jak tylko bedem chciała! Ale tera akurat wcale nie chcem – oznajmiłam, patrząc na niego ze złością i lekko odpychając od siebie zarekwirowany wózek. – Niech se on bierze ten głupi kram!

– Dziękuję! – W głosie Felixa zabrzmiała ulga.

– Chodź, kochanie. Musimy się pospieszyć, żeby nam nie zamknęli przed nosem kwiaciarni.

Lillian pociągnęła Felixa i odchodząc, położyła dłoń na jego pośladku. A raczej tuż nad nim. Prawdopodobnie chcieli kupić kwiaty dla mojej byłej teściowej, która na obiad w Niedzielę Wielkanocną zawsze robiła rolady.

Nagle rozzłościłam się na los. Już drugi raz ten przewrotny drań próbuje

wodzić mnie za nos. Na dodatek tym razem sprawił, że wyszłam na kolosalną idiotkę, która okropnie się zbłąźniła. I to zupełnie niepotrzebnie.

O Felixa zdecydowanie nie musiałam się martwić. Z drugiej strony, jakkolwiek było, udało mi się raz na zawsze wyeliminować możliwość, że między nami zaiskrzy. Na zawsze przekreśliłam ów magiczny moment pierwszego razu między nami. Aż poczerwieniałam ze wstydu, gdy pomyślałam, jakie zrobiłam z siebie przedstawienie. Ale Felix na szczęście nie zobaczył mojego rumieńca, gdyż razem z Lillian zniknął za rogiem.

– ...nic, co Uwe stosował. Obawiam się, że jest nie tylko nędzną kreaturą uprawiającą skoki w bok i potwornym kłamcą, ale jeszcze na dodatek beznadziejnym bioenergoterapeutą – ponownie dotarł do mnie głos Lindy. – Teraz mogę przyznać, że z tymi świeczkami w uszach to była totalna wpadka. Jesteś tam jeszcze, Kati?

– Tak, skarbeczku, jezdem – zapewniłam, wzdychając.

Prawdziwe podróże odkrywcze nie polegają na
poznawaniu nowych lądów, lecz na patrzeniu
w nowy sposób.
Marcel Proust

Ma się rozumieć, że Gabi nawet nie przemknęło przez myśl, by pokryć koszty mojego uczestnictwa w seminarium z programowania neurolingwistycznego. Poza tym była niezadowolona, że nie będzie mnie przez cały dzień w biurze. Podobnie jak ja była zdania, że to jakaś piramidalna bzdura. To znaczy nie moja nieobecność, lecz programowanie neurolingwistyczne, które bazowało między innymi na założeniu, że wszystkie ludzkie zachowania, w tym także Gabi i Cymbalskiej, wynikają zasadniczo z pozytywnych motywacji. Czyż można zatem taki absurd traktować poważnie?

– Zdecydowanie wystarczy, że jedna osoba z biura uczestniczy w tym nonsense – zauważyła Gabi, głucho na wszystkie argumenty niepasujące do jej poglądu. Ale trafiła kosa na kamień, gdyż w tym dziwacznym równoległym świecie byłam znacznie bardziej stanowcza i dużo twardsza niż w przeszłym, to znaczy przyszłym, życiu. W końcu ustaliłyśmy po wielu młaśnięciach i nieustającym wywracaniu oczami, że sama zapłacę za udział w seminarium, ale nie będę musiała brać na piątek urlopu.

Co prawda nie było to najlepsze rozwiązanie z punktu widzenia mojego mocno nadwyręzonego konta, gdyż szkolenie było organizowane w pięciogwiazdkowym hotelu w Düsseldorfie. I jeśli wierzyć zapewnieniom Marlene, wszyscy bez wyjątku nocowali właśnie tam, gdyż hotelowy bar dawał gwarancję cudownego spędzenia wieczoru, stanowiącego gwóźdź programu całej imprezy. Z punktu widzenia moich planów taki gwóźdź był mi bardzo na rękę. Cokolwiek by mówić, bar stwarza najlepszą możliwość nawiązania znajomości.

Marlene była na tyle miła, że zaproponowała mi przenocowanie w jej dwuosobowym pokoju, co oznaczało znaczną oszczędność. Mimo to, po podliczeniu wizyty u fryzjera i kosmetyczki oraz kwoty wydanej na śliczną nową bieliznę (na wszelki wypadek), okazało się, że do końca miesiąca nie

wystarczy mi nawet na chleb. Cóż, *Future Woman* żyła na znacznie wyższej stopie niż moje wcześniejsze wcielenie, pozwalając sobie na znacznie więcej, co sprawiło, że po niecałych trzech tygodniach mogłam ogłosić bankructwo. Mimo to byłam w wyśmienitym nastroju, czego powodem było również nadanie córeczce Toma Cruise'a i Katie Holmes faktycznie imienia Suri.

Spełnienie mojej przepowiedni wcale Lindy nie zdziwiło, natomiast mnie w znacznej mierze uspokoiło. Ostatecznie znajdowałam się w świecie równoległym, w którym wszystko mogło się zdarzyć. Nawet to, że nazwą malucha Calamity Jane. Albo zwyczajnie Susi. Mogło nawet dojść do tego, że dziewczynka okaże się chłopcem. Tak czy siak teraz mogłam być przynajmniej pewna, że świat równoległy funkcjonuje dokładnie jak ten faktyczny, z którego przybyłam.

W przeciwieństwie do mnie Lindzie jakoś trudno było się oswoić z teorią istnienia świata równoległego.

– Wyjaśniłyśmy już w sposób niebudzący żadnych wątpliwości, że wcale nie umarłaś. Ale też, moja droga, wcale nie leżysz w śpiączce – zapewniała mnie raz po raz. Fakt, że byłyśmy w biurze, i to nie same, w najmniejszym stopniu nie powstrzymał jej od trąbienia na cały głos o moim nowym statusie przybyszki z przyszłości.

Było czwartkowe popołudnie. Linda była w zadziwiająco dobrym nastroju, zważywszy na fakt, że tylko co zerwała z Uwe. Dokonało się to zaledwie przed kwadransem. Zakończyła romans drogą mailową.

– To Kati jeszcze nie kopnęła w kalendarz? Doprawdy znakomita wiadomość. Ma się dziewczyna z czego cieszyć – zauważyła sarkastycznie Marlene, podczas gdy Cymbalska przewróciła oczami, mamrocząc pod nosem: „Boże, zrzuć na ziemię choć trochę rozumu!”. Rzuciłam Lindzie ostrzegawcze spojrzenie, które miało oznaczać „Zamknij się wreszcie”, co wcale nie pomogło.

– To jeszcze nie powiedziałaś Marlene? – zapytała zdziwiona.

– Niby o czym? – zainteresowała się Marlene.

Zdenerwowałam się. Mój Boże, jak mogłam być aż taką idiotką i zwierzyć się Lindzie?

– Wygląda na to, że Kati pojawiła się u nas z innego wymiaru – oznajmiła triumfalnie Linda. – Dokładnie z przyszłości, z równoległego świata, rzecz można. Albo... No cóż, jak na razie nie wiemy jeszcze, co się *dokładnie*

wydarzyło, i musimy to dopiero zbadać. Ale wygląda na to, że Kati tu w zasadzie wcale nie ma i że to tylko projekcja... Muszę przyznać, że im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej mi się to podoba. Jeśli wszystko rozgrywa się w jej podświadomości, to zachodzi pytanie, co my tu właściwie robimy? Dzisiejszej nocy odniosłam nieprzyjemne wrażenie, że być może wcale nie jestem prawdziwą Lindą. W takim razie ty nie jesteś prawdziwą Marlene... Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Eeee. Tak. Jasne. Każde słowo. – Marlene cedziła słowa, spoglądając na mnie pytająco. W odpowiedzi jedynie potrząsnęłam głową i wymownie wzruszyłam ramionami.

– Wiesz co, Lindo, nie każdy posiada twoją zdolność rozumienia, eeee, zjawisk nadprzyrodzonych – wtrąciłam się z lekkim zażenowaniem.

Biedna Linda chciała przecież jak najlepiej. Wydane przeze mnie przedwielkanocne przyjęcie (na marginesie – bardzo udane) z malowaniem jajek i kurczakiem w potrawce obficie podlanej winem trochę złagodziło jej zawód miłosny, do czego w znacznej mierze przyczyniła się obecność kolegi z zespołu Javiera.

Dowodem było choćby zrobione przeze mnie zdjęcie ich obojga, na którym prezentowali, jak się robi wydmuszkę, wysysając jajko równocześnie z obu stron, co wyglądało niczym perfekcyjny pocałunek. Zdjęcie to posłałyśmy Uwe jako załącznik do pożegnalnego maila. Zrobiłyśmy to dla zasady. Niech wie, głupi urytniarz, z kim Linda w najbliższej przyszłości będzie spędzać wieczory. I chociaż cudownym zakończeniem maila byłoby: „Spadaj i wpadaj w pieluchy!”, Linda heroicznie zrezygnowała z tej złośliwości na rzecz podziękowania za wspólnie spędzony czas.

Women are like tea bags, they don't know how
strong they are until they get into hot water.

Eleanor Roosevelt

Gdy sprawa Uwe została definitywnie załatwiona, Linda ponownie skupiła się na fenomenie kobiety z przyszłości. Za bardzo, sądząc po spojrzeniach rzucanych spoje przez Marlene.

– Mam ochotę napić się kawy. Możesz pójść ze mną do kuchni? – zapytałam i powlokłam Lindę za sobą, nie czekając na odpowiedź. Gdy byłyśmy same, złapałam ją za ramiona i silnie potrząsnęłam.

– A teraz posłuchaj uważnie – powiedziałam ostro. – Fakt, że pojawiłam się z przyszłości, jest tajemnicą, z której ci się zwierzyłam. I jak wszystkie tajemnice ma nią pozostać! A więc przestań mleć ozorem! Czy wiesz, co by się stało z Supermanem albo ze Spidermanem, albo... eee – zająknęłam się – z Dzwoneczkiem z *Piotrusia Pana*, gdyby wszyscy poznali ich tajemnicę i paplali o niej na okrągło? Opowiadając takie rzeczy, tylko niepotrzebnie mieszasz im w głowach i gmatwasz sprawę. A zatem proszę cię, nie poruszaj już więcej tego tematu w obecności innych.

Wyglądało na to, że uderzyłam we właściwy ton, gdyż Linda przytaknęła ze zrozumieniem.

– Prawdopodobnie masz rację. Większość ludzi i tak nie jest w stanie zrozumieć tego zjawiska. A jeśli nawet, to wykorzystują je tylko po to, by zbić na nim kasę. Z pewnością chcieliby, żebyś im powiedziała, kto wygra najbliższe mistrzostwa świata w piłce nożnej albo czy opłaca się kupić akcje Volkswagena, albo...

O rany. Nagle mnie olśniło! Ile można zarobić na zakładach sportowych, typując, kto wygra? Kto, u diabła, został w tym roku mistrzem świata w futbolu? Francuzi? A może Portugalczycy? Hiszpanie? A może mistrzostwa były w roku dwa tysiące dziesiątym? Doprawdy stanowiłam beznadziejny przypadek. Ale ciągle jeszcze pamiętałam, że podczas mistrzostw w dwa tysiące szóstym pogoda była cudowna. Jednego byłam pewna: mistrzostwa nie zdobyła ani Holandia, ani Argentyna. Niemcy też nie. Byli na trzecim miejscu, bo przegrali z... no z... z kim, u diabła? Ze Szwedami?

Linda nałała mi kawy do filiżanki.

– Ciągle nie daje mi to spokoju. No wiesz... śmierć, zaświaty, świat równoległy... Chcę powiedzieć, że jeszcze raz dokładnie zbadałam twój przypadek i doszłam do wniosku, że w grę wchodzi całe mnóstwo możliwości, które mogą być powodem twojego, eee, że się tak wyrażę, stanu. Nie tobie pierwszej przytrafiło się coś takiego.

– Naprawdę?

Przez sekundę, albo coś koło tego, nabrałam nadziei, że jest więcej ludzi mojego pokroju, takich, co zabląkali się w czasie i spotykali w każdy wtorek w Towarzystwie Anonimowych Podróżników w Czasie, wymieniając cenne uwagi. Ale też na sekundę, albo coś koło tego, zapomniałam, z kim mam do czynienia.

– No pewnie, że naprawdę! Coś takiego zdarza się bez przerwy – zapewniła mnie Linda. – Przeważnie gdy w człowieka trafi piorun. Albo gdy ujrzy nietypową spadającą gwiazdę. Albo... – w tym momencie jej ton stał się uroczysty – gdy się jest jakimś magicznym szczęściarzem.

– Aha. I gdzie dokładnie to wszystko wyczytałaś?

– Nooo. W różnych źródłach...

– Jakich?

Linda rzuciła mi dobrodusze spojrzenie.

– Noooo... w książkach, ale też widziałam w filmach. No wiesz w jakich. Takich, w których ludzie nagle zamieniają się ciałami albo na powrót stają się młodzi. Albo nagle pięknieją. Albo... Widziałaś może film *Dziś 13, jutro 30*? Tam jest coś w rodzaju zaczarowanego połyskliwego proszku życzeń...

– Rozumiem – weszłam jej w słowo. – Sądzę jednak, że możemy wykluczyć wszystkie te warianty. Żaden piorun. Żadna spadająca gwiazda. Żaden zaczarowany proszek ży...

– Czekaj, nie tak szybko! Najpierw posłuchaj, co mam do powiedzenia. Istnieje przecież możliwość, że za tę... za twoją transformację w inny wymiar czasu odpowiada osoba posiadająca dar czarowania albo nawet istota boska. I zrobiła to, byś się mogła czegoś nauczyć. Albo wykonała jakieś zadanie lub spełniła jakąś misję.

A jednak! Coś takiego chodziło mi po głowie setki razy. Jak również to, że zupełnie nie nadawałam się do ratowania świata. Moja misja – o ile takową w ogóle mi powierzono – polegała na szczęśliwym życiu z Mathiasem i sprawieniu, by ślub mojej siostry nie okazał się koszmarem, lecz najpiękniejszym dniem jej życia. I żebym ogólnie stała się lepszym człowiekiem... Na przykład żebym nie myślała źle o Felixie i LILLIAN. Wręcz przeciwnie: moje nowe, poprawione Ja powinno z całego serca życzyć im obojgu największego szczęścia, jakie istnieje na tej ziemi... A już co najmniej Felixowi.

Tak na marginesie: w ramach przemiany na lepsze odwiedziłam przedwczoraj panią Baronski w szpitalu, czego nie zrobiłam w moim pierwszym życiu. Ba, wówczas taka wizyta nawet mi przez myśl nie przeszła. Nie do wiary, jak się ucieszyła! A jeśli tak się złoży, że wygram w zakładach piłkarskich, to przeznaczę pieniądze na jakiś zbożny cel. W każdym razie większość.

– Pytanie, czy w dniach poprzedzających twój... eee... wypadek miałaś jakieś osobliwe spotkanie z kimś o magicznych, nadprzyrodzonych zdolnościach albo z istotą boską?

– Lindeńko, to naprawdę wspaniałe, że tak się...

– Pomyśl. Przypomnij sobie! Może spotkałaś jakiegoś tajemniczego starszego mężczyznę. Albo mądrą kobietę. Albo dziewczynę w błyszczącym kapeluszu? Czy wiesz, że duchy, jak również demony – miejmy nadzieję, że w twoim przypadku nic takiego nie wchodzi w grę – mogą przybierać dowolną postać w celu przekazania jakiegoś przesłania.

– Och... – udawałam, że się zastanawiam nad jej słowami. – Nie!

– A może była to jakaś kamienna statua, która do ciebie przemówiła? – Głos Lindy stał się bardziej natarczywy. – Albo bańka mydlana? A może głos dochodzący znikąd? Albo sam Jezus...?

Skierowałam się do wyjścia z filiżanką kawy w ręce, lecz ona zastąpiła mi drogę.

– Czasami przesłanie przynosi chichoczący Azjata – powiedziała nerwowo.

Potrząsnęłam głową, odsuwając ją na bok.

– Nie było nikogo takiego – powiedziałam stanowczo. A może... Nie, lepiej nie wspominać o dworcowym oberwańcu. W przeciwnym razie Linda mogłaby wpaść na pomysł, że ukazał mi się sam Jezus albo jakiś zły czarownik i że wykrzykiwane przez niego „Świat skazany jest na zagładę” należy potraktować jako poważną przestrożę.

– A może zobaczyłaś skradającego się kota?

Gdy za moimi plecami rozległ się piskliwy głos Lindy, doznałam nagłego olśnienia. Włochy! W dwa tysiące szóstym Włosi zostali mistrzami świata w piłce nożnej. Kawalkady trąbiących samochodów do rozwożenia pizzy dosłownie zalały miasto i na każdym rogu wymachiwano czerwono-biało-zielonymi flagami. Nasz Włoch zaś, właściciel pobliskiej knajpki i grubego zezowatego kota, serwował wszystkim piwo za darmo. Ha! Jeszcze dziś wieczorem zapoznam się w spokoju z zasadami obstawiania zakładów w futbolu. Przecież bez wątpienia przyda się trochę więcej grosza. Choćby na śliczną sukienkę, którą widziałam w oknie wystawowym... Sądzę, że organizacja dobroczynna zbierająca na pomoc dla Afryki też bardzo się ucieszy z datku na jej rzecz.

Natura rzeczy lubi się ukrywać.

Heraklit

Wróciłam do biurka. Marlene i Cymbalska znowu się o coś kłóciły, ale się nie przysłuchiwałam, w pełni skoncentrowana na wizji bogactwa i tego, co sprawią moje pieniądze (uśmiechnięte oczy dzieci spoglądające na mnie z wdzięcznością na samotnej plaży na Bali...).

Nagle zrobiło się głośno.

– Doprawdy nie mam pojęcia, co pani do tego! – mówiła ostro Marlene podniesionym głosem.

– Chętnie pani wyjaśnię: nic! – Głos Cymbalskiej brzmiał oleście. – Ale jak świat długi i szeroki ludzie odwracają wzrok, twierdząc, że nic ich to nie obchodzi. Jedynie nieliczni mają cywilną odwagę wstawiać się za dziećmi i bronić ich interesów. Poruszając ten temat, doskonale zdawałam sobie sprawę, że zareaguje pani agresywnie. Ale robię to dlatego, że zwyczajnie żal mi pani malutkiej córeczki. Nic ponadto.

Ku mojemu zdziwieniu Marlene nie odezwała się ani słowem. Zazwyczaj tylko ona jedna potrafiła się odszczeknąć Cymbalskiej, pokazując, gdzie jej miejsce.

– Żal pani *Amelii*? – podążająca za mną Linda osłupiała.

Fakt, że komuś mogło być żal tej wścieklej diablicy z piekła rodem, również dla mnie był szokującą niespodzianką. Nie znałam dziecka równie nieustępliwego, upartego, bezczelnego i pewnego siebie jak *Amelia*. Żadne też nie było bardziej niż ona kochane.

Marlene, uporczywie wbijająca wzrok w ekran komputera, sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała eksplodować.

– U progu dojrzewania dzieci są szczególnie wrażliwe. Potrzebują też szczególnego wsparcia – kontynuowała swój wywód Cymbalska. – A burzliwe życie erotyczne matek nie tylko odbija się na córkach, ale jeszcze na dodatek wpływa na ich dalszy rozwój. I to w sposób zdecydowanie negatywny. I proszę mi wierzyć: kochanek, który mógłby być jej starszym bratem, i do tego z zupełnie obcego kręgu kulturowego...

– Co za piramidalna bzdura – przerwałam. – Facet jest raptem o dziesięć lat młodszy od Marlene. Ponadto jest znacznie dojrzały od większości trzydziestopięciolatek w naszym kraju. Do tego...

Mężczyźni z gitarami mają druzgocącą przewagę nad mężczyznami, którym słoń nadepnął na ucho.

– ...wspaniale śpiewa – weszła mi w słowo Linda. Co prawda, to prawda. W sobotni wieczór Javier wraz z kolegą Emilem złapali za gitary i urządzili w mojej kuchni wspaniały koncert. Od tego momentu przestałam się dziwić, że Linda nie uroniła ani jednej łzy z powodu rozstania z Uwe Uryną. – Oczywiście i Marlene znakomicie z sobą harmonizują, wytwarzając idealną aurę i...

– ...i ten facet jest najlepszym, co mogło spotkać Marlene i Amelię... – uzupełniłam.

– Przestańcie obie. – Marlene gwałtownie wstała z krzesła. Jej dolna warga drżała. – Ta dyskusja jest całkowicie zbędna, ponieważ... – W tym miejscu głos jej się nieco załamał. – Javier i ja już nie jesteśmy ze sobą.

– Co takiego? – Ośupiałe gapiliśmy się z Lindą na Marlene.

Usilnie próbowałam sobie przypomnieć, czy już raz przeżyłam tę sytuację. Ale nie! Zdecydowanie nie! Przecież czegoś takiego bym nie zapomniała. Z drugiej strony wiedziałam, że upłyną jeszcze miesiące, zanim Javier i Marlene zdecydują się na serio zamieszkać razem i oficjalnie występować jako para. Wówczas nie śledziłam dokładnie całej tej historii, gdyż nie byliśmy jeszcze tak blisko zaprzyjaźnione. Jak również na przykład dlatego, że w pierwszej wersji swego życia nie zorganizowałam kuchennego przyjęcia z malowaniem jajek.

– Tak. To prawda. Muszę... zachowywać się jak... jak... osoba dorosła i... i... odpowiedzialna... – W oczach Marlene pojawiły się łzy. – Przepraszam, muszę pójść do toalety.

Skierowała się do wyjścia odprowadzana naszymi zaskoczonymi spojrzeniami. Pierwszych pięć kroków przeszła spokojnie, ale potem puściła się pędem, zatraskując za sobą z hukiem drzwi.

Pani Liczydło-Rozwalska zrobiła zadowoloną minę.

– Musi przecież mieć też na względzie naszą agencję. Tym bardziej że zamierza zostać jej udziałowcem. Renoma G&G może przecież ucierpieć z powodu tej a...

– Niech się pani wreszcie zamknie! – huknęłam. Ta kobieta naprawdę wystawiała na ciężką próbę każdego, kto zamierzał się stać lepszym człowiekiem. – Nie ma pani nawet pojęcia, jak bardzo wszyscy będą się cieszyć, gdy wreszcie wyniesie się pani do Stuttgartu. Czy przypadkiem nie

mogłaby pani przyspieszyć tej przeprowadzki?

– Skąd pani wie, że...? – Cymbalska gapiała się na mnie ze zdumieniem.

– No cóż – wtrąciła się do rozmowy stojąca obok mnie Linda. – Kati jest czymś w rodzaju wyroczni z Delhi – wyjaśniła, odrzucając głowę do tyłu. – Taką nowoczesną Kasjopeją. To tak dla wyjaśnienia, gdyby pani nie znała mitów greckich.

Jeśli dobrze pomyśleć, to okazuje się, że wszyscy
tkwimy nadzy w swoich ubraniach.
Heinrich Heine

– Jak sądzę, Kati to zdrobnienie od Katharina?

– Niestety, nie. – Uśmiechnęłam się krzywo. – Ale nie jestem pewna, czy znamy się już na tyle, by ci wyjawić moje prawdziwe imię, które tak czy siak jest tajemnicą. Dziś nawet matka czuje się zażenowana, że tak mnie nazwała, i jest jej bardzo głupio z tego powodu. Ojcu też. Zresztą od samego początku nie zgadzał się z wyborem matki.

Mathias roześmiał się, ja natomiast z trudem opanowałam tęskne westchnienie. Znowu siedzieliśmy koło siebie w barze i było niemal tak jak ostatnio... eeee... na przyjęciu u Gereona: przytłumione światła, moje przyspieszone bicie serca, neodparta potrzeba powiedzenia czegoś kiczowatego o barwie jego oczu. I ta cudowna, niewymuszona poufalskość między nami... Z tą tylko różnicą, że tym razem nie przeszkadzała nam żadna piosenkarka jazzowa i że sączyłam pierwszy kieliszek białego wina z dużym umiarem. O ile mnie pamięć nie myliła, ostatnim razem w takim czasie miałam już za sobą co najmniej cztery daiquiri.

Ale tym razem nie miałam przecież żadnego powodu, by się upić, bo w tym świecie nie byłam mężatką. Nie było też nikogo, komu mogłabym złamać serce, co całkowicie załatwiało sprawę puszki Pandory. Wkurzający był jedynie fakt, że mimo wszystko miałam wyrzuty sumienia, które ucichły dopiero wówczas, gdy uświadomiłam sobie, że Felix: po pierwsze – uważał mnie za kopniętą wariatkę niepotrafiącą się nawet porządnie wysławić, i po drugie – w chwili obecnej przypuszczalnie trzymał za rączkę Lillian.

– Myślę, że będziesz mnie miała na sumieniu, jeśli się nie dowiem, jak masz na imię. Po prostu umrę z ciekawości – usłyszałam. – W rewanżu opowiem ci, jak to było, gdy się zorientowałam, że jestem uczulony na orzeszki ziemne. To, nawiasem mówiąc, też tajemnica.

Którą, prawdę powiedziawszy, już znałam, do czego rzecz jasna nie mogłam się przyznać.

– Hmm, to mi wygląda na uczciwą transakcję – zauważyłam. – No

dobrze. Imię, które otrzymałam na chrzcie, brzmi *Katokwe*.

– Katokwe? – powtórzył z niedowierzaniem. – I urząd stanu cywilnego pozwolił na coś takiego?

Przytaknęłam.

– Do czasu aż poszłam do podstawówki, wszędzie byłam znana jako mała Kartofel Wedekind.

Mathias się roześmiał.

– Jak twoi rodzice wpadli na coś takiego?

– W jakimś afrykańskim narzeczu oznacza to ponoć „szczęście jest razem ze mną”. W latach siedemdziesiątych moja matka była zafascynowana Afryką. Miała na tym punkcie takiego bzika, że cały dom obwiesiła koszmarnymi afrykańskimi maskami, a nawet posunęła się do tego, że zaczęła chodzić w turbanie. To ostatnie sąsiedzi i krewni uważali za uroczo ekstrawaganckie i egzotyczne. Lecz mina im zrzędała, kiedy się dowiedzieli, jak mnie nazwała. W którymś momencie samej matce zaczęło być głupio, gdy za każdym razem i w każdej sytuacji musiała ludziom literować moje imię. Zatem skrócono Katokwe do Kati i tak już pozostało.

Zawsze możesz się zorientować, co sądzą o tobie
mężczyzna, po tym, jakie daje ci kolczyki.

Audrey Hepburn

Mathias się uśmiechnął.

– Szczęście jest razem ze mną – powtórzył, dotykając niby przypadkiem mojej dłoni. – To imię doskonale pasuje do dzisiejszego wieczoru. Wspaniale, żeśmy się poznali.

O Boże mój jedyny! Inwestycja w seminarium opłaciła się z nawiązką i warta była głodowania. Nawet przez dwa miesiące. Momentalnie puściłam w niepamięć wszystkie pozostałe ofiary i wyrzeczenia, które musiałam ponieść, by się tu znaleźć.

To znaczy *prawie* puściłam w niepamięć.

Już po kwadransie spędzonym na sali wykładowej okazało się, że moje zdanie na temat programowania neurolingwistycznego było w pełni uzasadnione.

Po pierwsze: wykładowca wyglądał tak, jakby poza programowaniem neurolingwistycznym prowadził jeszcze co najmniej warsztaty tantry oraz

kursy „wyzwólcie się i uwolnijcie”. I to do wyboru – albo na miejscu w Niemczech, albo na Gomerze. Białą koszulę miał rozpiętą aż do połowy owłosionej klatki piersiowej. Uśmiechał się łagodnie. A nazywał się – nomen omen – Jürgen Knot.

Po drugie: pomimo braku uczestnictwa w kursie podstawowym wcale nie odstawałam od reszty słuchaczy, jeśli pominąć szermowanie niezrozumiałymi dla mnie pojęciami typu „pacing”, „leading”, „efekt ankerowania”, „reframing” czy „raportowanie”. Ale nie musiałam mieć żadnych kompleksów, gdyż wszystko to mogłam sobie wygooglować lub wyszukać w Wikipedii.

Po trzecie: w części praktycznej, w czasie której mieliśmy ćwiczyć wyostrzenie naszych pięciu zmysłów, musieliśmy utworzyć koło, zamknąć oczy i oddychać we wspólnym rytmie. Doskonała okazja, by móc wreszcie w spokoju popatrzeć sobie na Mathiasa, na co do tej pory się nie odważyłam. Ze strachu, że mógłby zauważyć mój pełen zachwyty cielecy uśmiech i się przestraszyć.

Przebywanie z Mathiasem w tym samym pomieszczeniu sprawiło, że mój puls przyspieszył do niemal olimpijskiego tempa (a przekłete motyle, o których nie chciałam już wspominać, wyprawiały w moim brzuchu nieprawdopodobne akrobacje). Dodatkowym powodem był fakt, że jego o pięć lat młodsza wersja była niewiarygodnie, nieprawdopodobnie, niesamowicie i niewyobrażalnie atrakcyjna. Był bezdyskusyjnie najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkałam w całym swoim życiu. I to nawet wówczas, gdy wykonywał z zamkniętymi oczami kretyńskie ćwiczenia oddechowe, jakbyśmy się znajdowali na zajęciach prowadzonych przez akuszerkę w szkole rodzenia.

– Następnie utworzymy małe grupki, z których każda usiądzie przy osobnym stole, i rozpoczniemy ćwiczenia z autorefleksji. Po czym dobierzemy się w pary, żeby przedyskutować możliwości rozwiązania codziennych problemów w oparciu o poznane metody – oznajmił Jürgen Knot głosem równie łagodnym jak jego uśmiech.

Małe grupki! Dobranie się w pary! Ha! To była moja wyczekiwana szansa.

– I jeszcze raz wykonać głęboki wdech, tak by powietrze dotarło aż do przepony. I wypuścić powietrze ustami. Powtarzamy...

Możliwie jak najciszej opuściłam swoje miejsce i wcisnęłam się w lukę

pomiędzy Mathiasem a jakąś kobietą w turkusowej bluzce, na której widniała tabliczka z wydrukowanym imieniem „Sonja”. Prawdę powiedziawszy, nie była to wcale żadna luka, lecz zaledwie szpara. Gdy Sonja po otwarciu oczu zobaczyła mnie w odległości zaledwie centymetra od siebie, przestraszyła się i odruchowo zrobiła krok w tył. I *voilà* – nagle zrobiło się dość dużo miejsca dla mnie. Stojąca po przeciwnej stronie Marlene rzuciła mi zaskoczone spojrzenie. Lecz poza nią nikt się nie zdziwił tą nieoczekiwaną zmianą. Zresztą i tak było mi wszystko jedno, co sobie pomyślą. Liczył się wyłącznie fakt, że znajdę się z Mathiasem w tej samej grupce.

I co dalej? Dalej usiedliśmy przy tym samym stoliku, przy którym oprócz nas znaleźli się jeszcze Sonja wraz z Jürgenem Knotem we własnej osobie. Przy czym było oczywiste, że Jürgen dołączył do nas wyłącznie z powodu Sonji, którą był wyraźnie zainteresowany, co uwidoczniło się już wcześniej sprawdzaniem, czy rzeczona kursantka oddycha prawidłowo, poprzez położenie dłoni na jej – umówmy się – przeponie.

Mathias rzucił przelotne spojrzenie na plakietkę z moim imieniem, obdarzając mnie zdawkowym uśmiechem. Bardzo się starałam, by odpowiedzieć mu równie wstrzemięźliwie, bez promieniowania zachwytem niczym choinka bożonarodzeniowa obwieszona milionem elektrycznych lampek, nad którymi stracono kontrolę. Nie byłam pewna, czy mi się to w stu procentach udało.

Tymczasem Jürgen Knot polecił nam, żebyśmy stosując metodę autorefleksji, zwierzyli się sobie nawzajem ze swoich strachów (nic nie rozumiałam z uzasadnienia, czemu ma to służyć, a już zupełnie nie miałam pojęcia, co w tym kontekście ma do roboty słowo „olfaktoryczny” ani co znaczy). Natychmiast postanowiłam opowiedzieć historię o PARSZYWEJ WIEWIÓRCE, którą tak bardzo rozbawiłam Mathiasa w roku dwa tysiące jedenastym. Czekaając na swoją kolej, pilnie powtarzałam w myślach zdania, które zamierzałam wygłosić.

Pierwszy zabrał głos Knot. Wyznał, że bał się... dźwięku werbli! ...nooo, w zasadzie tylko tego. Natomiast wcześniej, gdy nie miał jeszcze tak dużego doświadczenia i był mniej więcej na takim etapie jak my obecnie (nie powiedział tego tak dosłownie, niemniej jego intencję można było odczytać między wierszami), obawiał się śmierci. I to nie śmierci jako takiej, lecz

samego procesu umierania.

Uffff...

Pochwyciłam spojrzenie Mathiasa, z którego można było wyczytać, że podobnie jak ja uważał Jürgena Knota za skończonego kretyna. W tej sytuacji tym bardziej spodoba mu się moja historia o PARSZYWEJ WIEWIÓRCE.

Przede mną była jeszcze Sonja, obawiająca się przede wszystkim, że zostanie źle zrozumiana przez innych. Dlatego też zdecydowała się na udział w seminarium (co Knot uznał za godne podziwu do tego stopnia, że aż dotknął jej dłoni).

Teraz przyszła kolej na Mathiasa. Byłam święcie przekonana, że opowie o swojej klaustrofobii oraz o tym, jak siostra zamknęła go w szafie, gdy był małym chłopcem. Ale zamiast tego oznajmił:

– Świętych Mikołajów z przyklejonymi sztucznymi brodami i wypchanymi brzuszyskami.

Co takiego?

– Jako mały chłopiec przeżyłem traumę, której powodem był Święty Mikołaj w domu towarowym. Od tego czasu na jego widok zawsze ściska mnie nieprzyjemnie w dołku – kontynuował Mathias z poważną miną. – Natychmiast czuję przyspieszone bicie serca. Nie potrafię nic na to poradzić.

Sonja i Jürgen pokiwali głowami skonsternowani, podczas gdy kąćki ust Mathiasa zaczęły podejrzenie drżeć. Moje również.

– A właściwie co takiego zrobił tamten Święty Mikołaj w domu towarowym? – zapytałam mimochodem.

– Nie musisz odpowiadać, jeśli to pytanie jest dla ciebie zbyt intymne. – Reakcja Jürgena była błyskawiczna. Co on, u diabła, sobie myślał?

– Powiedzmy oględnie, że wypadł z roli – wyjaśnił Mathias, posyłając mi czarujący uśmiech. Pierwszy w tym dziwnym, równoległym świecie.

Odpowiedziałam uśmiechem.

– Czy ktoś coś zauważył? – zapytał zachwycony Knot. – Mamy dokładnie do czynienia z programowaniem neurolingwistycznym. Zwierając się sobie nawzajem z intymnych spraw, wyzwalamy w pewnym stopniu mechanizm introspektywnego postrzegania każdego z osobna, co powoduje automatyczne uwalnianie naszych wewnętrznych zahamowań.

Boże mój, co za straszliwe brednie. Knot z każdym wypowiedzanym

zdaniem coraz bardziej tracił w moich oczach. W końcu gotowa byłam założyć się o każdą sumę, że w szkole nazywano go Knotem-Bełkotem.

Wreszcie przyszła moja kolej. Bełkot skinął na mnie, zachęcając do zwierzeń. W tym momencie zmieniłam plan.

– Zawsze wpadam w panikę w windzie – zaczęłam. – Od czasu gdy siostra w dzieciństwie zamknęła mnie w szafie, w ogóle nie jestem w stanie przebywać w żadnym ciasnym pomieszczeniu.

Zgodnie z oczekiwaniem na twarzy Mathiasa odmalowało się zaskoczenie, co – trzeba przyznać – przyjął z ulgą, gdyż przez chwilę obawiałam się, że w przeszłości, to znaczy w przyszłości, zwyczajnie wymyślił tę szafę, podobnie jak historię o Świętym Mikołaju. Pomyślałam sobie, jak bym się czuła, gdyby ktoś ot tak sobie zwędził mi historyjkę o PARSZYWEJ WIEWIÓRCE i opowiedział ją jako swoją. Z drugiej strony moja wiewiórka była czymś wyjątkowym, w odróżnieniu od szafy, w której każdy kiedyś tam został zamknięty. A przynajmniej co drugi.

– Siostra zwyczajnie zapomniała o mnie i poszła się bawić. Ja tymczasem tkwiłam w szafie, nie mogąc się z niej wydostać. – W duchu poprosiłam Ewę o wybaczenie. – Rodzice myśleli, że jestem u sąsiadów – kontynuowałam – więc przesiedziałam w ciemnościach pół dnia, zanim mnie znaleziono i wypuszczono.

No, stało się. Niech teraz robi z tym, co chce. W najlepszym wypadku pomyśli, że spotkał pokrewną duszę, a raczej odnalazł braterstwo duchowe w szafie bądź też szafę w duchowym braterstwie.

Reszta dnia przeszła jak z bicza strzelił. Żeby nie przesadzić i nie wylać dziecka z kąpielą, starałam się tak rozgrywać sprawę, by tylko niektóre ćwiczenia odbywać wspólnie z Mathiasem. Zresztą i tak jedyną osobą, która mogła wcielić się z powodzeniem w rolę szefa, gdy ćwiczyliśmy taktykę i sposoby negocjacji, była Marlene, gdyż nikt nie był w stanie – nawet w przybliżeniu – wyobrazić sobie, jaka wredna potrafiła być krwiożercza hrabina. Poza tym wcielanie się na przemian w Gabi i wypróbowywanie na własnej skórze wszystkich stosowanych przez nią metod manipulacji okazało się znakomitą zabawą („W programowaniu neurolingwistycznym wcale nie chodzi o manipulowanie innymi, lecz o nawiązanie emocjonalnego kontaktu!” – Pomimo że Knot-Bełkot powtarzał tę kwestię niczym tybetański młynek modlitewny, pozostałam nieprzekonana).

Podobnie jak w życiu wygrywała zawsze grająca rolę Gabi. Szło nam tak dobrze i byliśmy takie przekonujące, że w końcu sam Jürgen Knot musiał przyznać, że istnieją ludzie, w stosunku do których metody programowania neurolingwistycznego zwyczajnie nie zdają egzaminu.

Obejmując wroga, czynisz go niezdolnym do ruchu.

Napoleon

Zauważyłam, że Mathias przygląda mi się ukradkiem. Czasami nasze spojrzenia się spotykały. Wówczas pozwalałam sobie posłać mu niemal niezauważalny uśmiech, na który niezmiennie reagował uśmiechem.

Miałam powód sądzić, że mój plan się powiódł.

Moje przypuszczenie potwierdziło się wieczorem, gdy sam z siebie, bez jakiegokolwiek zachęty z mojej strony, przysiadł się do mnie w barze (co prawda sąsiedni stółek przypadkowo był wolny, gdyż celowo położyłam na nim zakiet, tak by nikt nie mógł na nim usiąść). I to właśnie on już w chwili zajęcia miejsca u mego boku dyskretnie i zarazem sprytnie, a przy tym z żelazną konsekwencją (czyżby programowanie neurolingwistyczne?) zaczął ustalać kluczowe dane dotyczące mojej osoby – wiek, status, adres zamieszkania, miejsce pracy... Odniosłam wrażenie, że wszystkie moje wypowiedzi bardzo mu przypadły do gustu (przy czym pytanie dotyczące mojego ostatniego związku wytrąciło mnie nieco z równowagi, gdyż... zdążyłam już zapomnieć, z kim byłam, zanim poznałam Felixa).

Pomiędzy kolejnymi pytaniami mogłam otwarcie spoglądać mu w oczy, odwzajemniając jego spojrzenie wbite we mnie niczym wzrok sroki w gnat (chcę przez to powiedzieć, że przez cały czas spoglądał mi w oczy, podobnie jak ja jemu).

I wszystko było dokładnie tak, jak być powinno. Jak to sobie wymarzyłam.

Wspaniale się z nim plotkowało i żartowało (zaśmiewaliśmy się do rozpuku, wyobrażając sobie Jürgena Knota medytującego podczas pełni księżyca do wtóru bębnów). Równocześnie był też cudownym słuchaczem obdarzonym naturalnym instynktem milczenia we właściwych momentach. W takich chwilach uśmiechał się do mnie tak, jakbym była najcudowniejsza na świecie.

Chłonełam ten wieczór wszystkimi zmysłami, mając zarazem świadomość, że leżę gdzieś tam w śpiączce i że to jedynie piękny sen. Sen

nie sen – nieważne. Liczyło się wyłącznie tu i teraz, ten właściwy moment, który trwał i w którym byliśmy tylko my dwoje: Mathias i ja. Magiczne chwile! I to bez skrzypiec, które nagle okazały się zupełnie niepotrzebne. Tego wieczoru mój kapryśny przyjaciel los ponownie mi sprzyjał. Ostatecznie chciał przecież dobrze...

– Hops! – Usłyszałam Marlene wskakującą na sąsiedni stół barowy. Do tej pory siedziała na kanapie przy jednym ze stolików z paroma innymi uczestnikami kursu, skąd co jakiś czas dochodziły do moich uszu nic niemówiące pojęcia w stylu „submodalność” czy „sakkadowe ruchy gałek ocznych”.

– Mogę wam polecić znakomity koktajl, który właśnie odkryłam. Pięć powtórek w ciągu trzydziestu minut i człowiek czuje się jak nowo narodzony.

No tak, tylko tego brakowało. I to by było na tyle, jeśli chodzi o cudowny magiczny moment. Rzuciłam Mathiasowi pełne żalności spojrzenie, odruchowo cofając dłoń (którą właśnie niby mimochodem pogłaskał). Równocześnie chwyciłam Marlene za rękę.

– Nooo, naprawdę powinniście spróbować. To znakomity drink. Już po pierwszym odczułam potrzebę uduszenia kogoś gołymi rękami i ulotnienia się bez śladu. – Marlene czknęła. – Po drugim chciało mi się śmiać na całe gardło, choć Bóg mi świadkiem, nie było z czego. Po trzecim... eeeee, życie okazało się do bani. Ale za to miałam wrażenie, że mam głowę wypełnioną watą, co pod kreską wcale nie jest takie złe. Szkoda tylko, że tak mi niedobrze. Może rzeczywiście powinnam była wpierw coś przekąsić. Jakiegoś śledzika czy coś w tym stylu. – Zabrzęczała jej komórka, sygnalizując nadejście SMS-a. Marlene sięgnęła do torebki i wlepiła wzrok w ekranik wyświetlacza. – A teraz czekam, aż mój mózg wreszcie wyłączy myślenie i to cholerne serce przestanie tak bardzo boleć.

Nagle się rozplakała. Położyła ramiona na kontuarze, oparła na nich głowę i zanosła się rozpaczliwym szlochem. Aż żal było na nią patrzeć. W tym momencie obleciał mnie strach. Co się stanie, jeśli w tym równoległym świecie Marlene i Javier zerwą ze sobą i ich drogi się rozejdą? A co by było, gdybym to ja osobiście uruchomiła łańcuch fatalnych w skutkach zdarzeń i unieszczęśliwiła ich oboje? Ostatecznie naoglądałam się dość dużo filmów w rodzaju *Wspomnienia z przyszłości*. Przeczytałam też przerażające

opowiadanie Raya Bradbury'ego *Podróżnik w czasie*, w którym śmierć jednego jedynego motyla gruntownie zmieniła świat... Ale zaraz też powiedziałam sobie, że przecież ostatnim razem było dokładnie tak samo jak teraz. Z tą tylko różnicą, że wówczas cały ten dramat i kłopoty sercowe Marlene znacznie mniej mnie obeszły.

– Kłopoty sercowe? – usłyszałam szept Mathiasa, chwytając równocześnie jego pytające spojrzenie.

Przytaknęłam w milczeniu. Na jego twarzy pojawiło się współczucie.

– Wiem, że teraz niewiele ci to pomoże, ale... ale najpóźniej za trzy miesiące uświadomisz sobie, że ten typ wcale na ciebie nie zasługiwał – powiedział, pochylając się w stronę Marlene. – W każdym razie tak zawsze jest z moją siostrą – dodał szeptem.

Marlene uniosła głowę i spojrzała na Mathiasa zaczerwienionymi oczami.

– Nigdy w życiu – zaszlochała. – Jest dokładnie na odwrót. To ja nie zasługuję na niego, a nie on na mnie. Javier jest najbardziej wspaniałomyślnym i najżyczliwszym człowiekiem na świecie. Jest taki przystojny, czuły, mądry i utalentowany... No i pisze cudowne SMS-y, chociaż mu powiedziałam, że ich wcale nie czytam... O, tutaj! Posyłał mi nawet swoje wiersze. – Mówiąc, wymachiwała komórką na wszystkie strony. – Posłuchajcie. „Moje serce przychodzi do ciebie, nie mogąc wytrzymać już dłużej ze mną. Kładzie się na twojej piersi niczym kamień, zapadając się w nią, by móc się połączyć z twoim...” Prawda, że to całkiem niezły tekst jak na kogoś, kto dopiero od dwóch lat uczy się niemieckiego?

– To przecież Christian Morgenstern. W każdym razie prawie jak on... – Mathias przerwał w pół zdania, poczuwszy pod żebrem moje szturchnięcie.

– Przepiękne. Aż serce pęka – powiedziałam. – Dlaczego więc zerwałaś z tym przystojnym, czułym, mądrym i utalentowanym facetem?

– Ponieważ przynajmniej jedno z nas musi być rozsądne. – Marlene pociągnęła nosem. – Ponieważ jestem dla niego o wiele za stara. Ponieważ mam dziecko. Ponieważ... Wydaje mi się, że zaraz pojedę do Rygi. – Rzeczywiście, jej twarz pozieleniała. Najwidoczniej w roku dwa tysiące szóstym Marlene nie doszła jeszcze do takiej wprawy w konsumowaniu alkoholu, jak to miało miejsce pięć lat później, kiedy upijała wszystkich do tego stopnia, że lądowali pod stołem. I gdy już leżeli pokotem, włąziła na niego i zaczynała tańczyć jakby nigdy nic. – Czy możecie coś zrobić, żeby

przestało mi się kręcić w głowie?

Zachwiała się. Złapałam ją energicznie, chroniąc przed upadkiem z barowego stołka. Mathias chwycił ją w milczeniu z drugiej strony. Wspólnymi siłami wyprowadziliśmy ją z baru, przeprowadzili przez hotelowy hall i doprowadzili do damskiej toalety. Marlene nie udało się jednak dotrzeć do kabiny. Zwymiotowała do eleganckiej marmurowej umywalki, przy wtórze okropnych dźwięków. Niestety muszę przyznać, że nie znoszę takich widoków. W takich sytuacjach momentalnie robi mi się niedobrze. Wystarczy, że usłyszę sam odgłos wymiotowania, i już mam dość. Że nie wspomnę o zapachu.

W tym przypadku Mathias okazał się prawdziwą deską ratunku. I to nie tylko dla mnie, gdyż odgarnął rude loki z twarzy Marlene i podtrzymywał ją przez cały czas, podczas gdy ja skoncentrowałam się na tym, by oddychać jak najpłycej przez usta. W przerwach głaskałam od czasu do czasu jej plecy.

– Czy często masz z czymś takim do czynienia? – zapytałam, z trudem opanowując mdłości.

– Permanentnie – odpowiedział, posyłając mi uśmiech nad głową Marlene. – W zasadzie chciałem cię zapytać, czy przekąsiłabyś ze mną coś małego. Ale wyglądasz tak, jakbyś wcale nie miała ochoty na jedzenie i nie była w stanie przełknąć ani kęsa.

Odpowiedziałam słabym uśmiechem, starannie omijając wzrokiem umywalkę. Dobry Boże, to ci dopiero romantyczny wieczór. Gorzej już być nie mogło!

– Najchętniej chciałabym umrzeć w ciszy i spokoju. Pomóżcie mi, proszę – jęknęła Marlene, gdy nic już nie pozostało w jej żołądku i gdy spłukała twarz litrami zimnej wody.

– Zaprowadzę ją na górę i wsadzę do łóżka. – Spojrzałam na Mathiasa. – Być może... – Zamilkłam, by dokończyć w myślach rozpoczęte zdanie: *Być może będziesz tak miły i zaczekasz, aż wrócę. To nie potrwa długo. Szybko się przebiorę, wyczyszczę zęby i trochę poprawię makijaż...*

Marlene nadal trzymała się kurczowo umywalki.

– Może lepiej będzie, jeśli pójdę z tobą na górę i ci pomogę. – Uśmiech Mathiasa był tak czarujący, że gdybym go nie kochała, to z całą pewnością w tym momencie zakochałabym się w nim na zabój.

Wspólnymi siłami doholowaliśmy Marlene do windy, ignorując jej

blągania, by pozwolić jej umrzeć w toalecie.

– Przypuszczam, że boisz się jeździć windą – zauważył Mathias.

– Zgadza się – przytaknęłam, przypominając sobie, że przecież cierpię na klaustrofobię. – Ale ostatecznie nie można dać się zwariować i dopuścić, by rządził nami strach... – *A już zwłaszcza nie wtedy, gdy pokój znajduje się na przeklętym piątym piętrze* – dodałam w myślach.

– Zostawcie mnie po prostu byle gdzie – mruknęła Marlene.

Zamknęła oczy. Wisiała między nami niczym mokry worek, ciężąc coraz bardziej z każdą upływającą minutą. Z największym trudem udało nam się utrzymać ją na nogach opartą o ścianę w rogu kabiny windy, do której tuż przed zamknięciem drzwi wcisnęła się starsza para. Nagle zrobiło się bardzo ciasno. Stałam przy kobiecie, wdychając woń jej perfum. Dokładnie tych samych, których zawsze używała KOSZMARNY CIOTKA. Ponownie poczułam przyływ mdłości. Jeśli coś w życiu napawało mnie strachem – oprócz wiewiórek i innych gryzoni – to „Opium” Yves’a Saint Laurenta.

Zatrzymałam powietrze w płucach, starając się nie oddychać.

– Czy mogę ci coś wyznać? – usłyszałam szept Mathiasa w chwili, gdy winda ruszyła. – Też trochę się boję ciasnych pomieszczeń.

– Och – szepnęłam, nie wiedząc, co powiedzieć.

Marlene najwidoczniej zasnęła na stojąco, gdyż z jej ust wydobyło się ciche chrapnięcie.

– Ponieważ (założę się, że z pewnością mi nie uwierzysz) moja siostra też zamknęła mnie w szafie, kiedy byłam mały. Dlatego unikam wind jak ognia i zawsze chodzę po schodach...

Dokładnie w tym momencie poczuliśmy szarpnięcie i winda stanęła. Nie pozostało mi nic innego, jak znowu zacząć oddychać.

– Cóż to się znowu stało? – zaniepokoiła się opiumowa dama, podczas gdy Marlene ocknęła się z krótkiego snu i otworzyła oczy.

– Gdzie jestem? – zapytała nieprzytomnie.

– Pomiędzy trzecim i czwartym piętrem – pospieszył z wyjaśnieniem mąż opiumowej damy, naciskając jak szalony wszystkie guziki jeden po drugim.

– Niedobrze mi – oznajmiła Marlene, ponownie zamykając oczy.

– Koniecznie powinniśmy... Proszę nacisnąć guzik alarmu. – Głos Mathiasa brzmiał niepewnie. Gdy spojrzałam na niego, zauważyłam, że ma nienaturalnie rozszerzone źrenice. Biedaczek! Raz w życiu odważył się

wsiąść do windy, po to tylko, by utknąć między piętrami.

W innych warunkach – to znaczy bez klaustrofobii Mathiasa, współpasażerów, ostrego, wszechobecnego zapachu „Opium” i ledwo trzymającej się na nogach Marlene, która w każdej chwili ponownie mogła zwymiotować – mogło być całkiem romantycznie: tkwić tak razem z Mathiasem w unieruchomionej między piętrami windzie o złocistych lustrach i dyskretnym, przytłumionym oświetleniu.

Tymczasem był to totalny koszmar, niemający nic wspólnego z romantyzmem.

– Nie bój się! – Szept Mathiasa brzmiał nieco ochryple. – Mamy wystarczający dopływ tlenu... Poza tym nic się nam nie może stać... Ale jeśli chcesz, mogę cię wziąć za rękę.

– O tak, proszę! – odpowiedziałam, umieszczając swoją dłoń w jego dłoni.

Odniosłam wrażenie, że jego ręka lekko drżała. Wkrótce z pewnością pojawią mu się na czole krople potu, po czym nastąpi hiperwentylacja. Wówczas Marlene się ocknie, by ponownie zwymiotować. Na co opiumowa dama zacznie histerycznie krzyczeć i wyciągnie z torebki perfumy, by bezskutecznie przytłumić zapach wymiocin. Wszystko to do kupy sprawi, że stracę panowanie nad sobą, rzucę się na jej męża, wyrwę mu z ręki laskę, którą zacznę okładać wszystkich na prawo i lewo...

I wtedy stało się, gdyż w tym świecie równoległym miałam znacznie więcej odwagi niż w prawdziwym życiu. Położyłam wolną rękę na karku Mathiasa, przyciągnęłam go ostrożnie do siebie i pocałowałam w usta. Początkowo bardzo delikatnie. A ponieważ się nie bronił, nieco bardziej zdecydowanie. Po paru sekundach zaskoczenia Mathias oddał mi pocałunek. Całował mnie tak, jakbyśmy byli sami w tej przeklętej windzie. Nastrój znów zrobił się równie magiczny jak w moich wyobrażeniach. Mimo że wiedziałam już, jak Mathias przecudownie całuje, poczułam, jak nogi się pode mną uginają.

– Ruszyła! – Do rzeczywistości przywołało mnie szarpnięcie, któremu towarzyszył okrzyk opiumowej damy. – Bogu niech będą dzięki!

Bogu niech będą dzięki? Za co, u diabła?! Nie i jeszcze raz nie. To z pewnością znowu sprawka tego parszywego losu, który zdecydował popsuć mi całą zabawę. Skończony drań!

Po chwili winda stanęła, rozległo się ciche „ping” i drzwi zaczęły się

otwierać. Niechętnie oderwałam się od Mathiasa.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiłam, chwytając ramię Marlene, siedzącej w kącie niczym porzucona monstrualna blada lalka Käthe Kruse.

– Co? – Mathias spojrział na mnie zaskoczony, zupełnie jak ktoś wyrwany z głębokiego snu. Zmusiłam go, by objął Marlene z drugiej strony, po czym poczłapaliśmy w kierunku zajmowanego przez nas pokoju, gdzie wspólnymi siłami położyliśmy Marlene do łóżka.

– Tak bardzo mi wstyd – zwróciła się Marlene do Mathiasa. – Co prawda zapomniałam, jak się nazywasz, ale mimo to jutro nie będę mogła spojrzeć ci w oczy. Niech to szlag trafi. Czy możesz sobie pójść, zanim narzygam ci do butów?

– Nie przejmuj się. Do jutra z pewnością o wszystkim zapomnę – zapewniał ją Mathias z uśmiechem, podczas gdy ja nerwowo rozglądałam się po pokoju, który sprawiał wrażenie, jakby przeszedł przez niego lekki... tajfun. Miałyśmy w nim spędzić tylko jedną noc, a wyglądało, jakbyśmy się zakwaterowały na cały miesiąc.

– Wynoś się! – Głos Marlene brzmiał tak opryskliwie i do tego stopnia wrogo, że Mathiasowi nie pozostawało nic innego, jak się ulotnić. Bez słowa ruszył w stronę drzwi, a ja podążyłam za nim.

– Dzięki serdecznie. Bardzo mi pomogłeś – powiedziałam, gdy znaleźliśmy się na korytarzu. – Nawet nie wiesz, jak chętnie spędziłabym z tobą resztę wieczoru, ale... Obawiam się, że nie mogę zostawić jej samej.

– Nie, w żadnym wypadku nie możesz. – Mathias westchnął głęboko. – Gdybyś czegoś potrzebowała, to jestem w 412... – Spojrział na mnie niezdecydowanie. Nagłym gestem wyciągnął rękę w moją stronę i delikatnie pogładził mnie po policzku. – Słuchaj... Wiem, że być może zabrzmiało to idiotycznie, gdyż... eeeee... dopiero co się spotkaliśmy. Głupio się składa, bo... no widzisz... No więc, jutro po południu prosto stąd jadę na lotnisko i nie będzie mnie przez cztery tygodnie. Mam wrażenie, że to bardzo, bardzo długo.

Też tak sądzę, drogi przeklęty losie. Od razu wiedziałam, że trzymasz coś ekstra w zanadrzu na nasz pierwszy romantyczny wieczór i że to drobne zatrucie alkoholowe to zaledwie przygrywka. Jakkolwiek by patrzeć, perfekcyjne zgranie w czasie! Szkoda tylko, że katastrofalne, a nie tryumfalne, bo w ciągu tych czterech tygodni z pewnością zdąży o mnie

zapomnieć i wówczas trzeba będzie zaczynać wszystko od nowa... Chyba że pójdę z nim teraz do jego pokoju i sprawię, że przeżyje coś naprawdę niesamowicie cudownego. Coś, czego nie będzie w stanie zapomnieć... Gdy zastanawiałam się, co powinnam zrobić i jak miałyby wyglądać to coś niesamowicie cudownego, rozległ się żaloszny szloch Marlene.

– Dokąd lecis? – zapytałam, dzielnie się uśmiechając. Całe cztery tygodnie! Który pracownik na kierowniczym stanowisku może sobie w dzisiejszych czasach pozwolić na tak długi urlop?

– Do Chile, do przyjaciół. – Jego głos brzmiał ponuro. – Ale wcześniej muszę pomóc siostrze przy przeprowadzce do Nowego Jorku. Pracuje w Instytucie Goethego i wysyłają ją na świetną placówkę.

Fajnie, że tak jej się udało. Fajnie też mieć przyjaciół i krewnych w takich egzotycznych miejscach na kuli ziemskiej, a nie tylko – jak w przypadku co poniektórych – w Münster-Gremmendorf. Prawdopodobnie spotka tam tuziny ślicznych, inteligentnych, interesujących Amerykanek i Chilijek. A pomięty karteluszek z moim numerem telefonu zapewne wylądaje w jakimś koszu na śmieci lub w kratce ściekowej ulicznej kanalizacji. Wyrzuci go najpóźniej w drodze powrotnej do Europy, gdy przypadkowo sięgnie do kieszeni marynarki, zastanawiając się przez moment „Kati? Kto to taki?”. Mając taką wizję przed oczami duszy, nie potrafiłam się zdobyć na uśmiech.

Ponownie pogłaskał mnie po policzku.

– Powiedz, proszę. Wcześniej, w windzie...

– A, tak... to taka sztuczka, której nauczył mnie mój terapeuta – zaczęłam improwizować na oczekaniu. – Przy napadach lęku należy jak najszybciej skupić się na czymś, co pozwoli odwrócić myśli.

Mathias uniósł brwi.

– To naprawdę działa. Dziękuję.

– Bardzo proszę. – Uśmiechnęłam się. – I jak myślisz, co bym najpierw zrobiła, gdyby w tej przeklętej windzie znalazł się również Święty Mikołaj...?

Jego źrenice ponownie się rozszerzyły, podobnie jak wcześniej w windzie. Zapewne znowu by mnie pocałował, gdyby akurat w tym momencie Marlene znowu nie zaczęła wymiotować.

Porównywanie oznacza koniec szczęścia i początek
niezadowolenia.
Søren Kierkegaard

Nowy Jork i Chile były bardzo daleko, a cztery tygodnie to kupa czasu. Ta prawda obowiązywała również w świecie równoległym. Ale przypuszczalnie powinnam być wdzięczna memu przyjacielowi losowi, że Mathias pamiętał o mnie jeszcze podczas lotu za ocean i że po wylądowaniu na drugiej półkuli nie wyrzucił mojego numeru telefonu do pierwszego lepszego kosza.

Ku mojemu zaskoczeniu i – co tu ukrywać – radości, co dwa, trzy dni otrzymywałam od niego jakiś znak życia. Prawda, że jego wiadomości nie były ani romantyczne, ani wypełnione uczuciem, jak bym sobie tego życzyła. Ale zdecydowanie było to lepsze niż nic. Starłam się pisać równie krótko i lapidarnie, choć tak naprawdę miałam ochotę na długasne, pełne tęsknoty maile z wierszami i ozdobnikami w kształcie serduszek. Jednak na coś takiego trzeba było jeszcze poczekać.

Tym sposobem wymienialiśmy korespondencję, w której zdecydowanie dominowały kartofle.

Hej, Kati, właśnie objadam się pieczonym w folii kartoflem z kremowym twarożkiem i naturalnie myślę o Tobie. Pozdrawiam czule z Nowego Jorku. Mathias

Kochany Mathiasie, cieszę się, że myślisz o mnie, delektując się kartoflem z kremowym twarożkiem. Mam nadzieję, że podczas podróży jeszcze bardzo wiele razy będziesz miał do czynienia z kartoflami. Serdeczności, Kati.

Albo z windami.

Kochana Kati! Widok ze szczytu Empire State Building zapiera dech. Ale nawet nie wiesz, jak bardzo mi Cię brakowało w windzie.

Cześć, Mathias! Nie wiedziałeś, że na górę można też wejść po schodach? To tylko 1576 stopni, a rekord wynosi 9 minut i 33 sekundy. Wszystkiego najmilejzego, Kati.

Czas pomiędzy dwoma SMS-ami lub mailami upływał mi na czekaniu na kolejnego SMS-a, względnie maila, przygotowaniach do WESELA (cały czas miałam wrażenie, że o czymś zapomniałam...) oraz próbach stania się lepszym człowiekiem, co wcale nie było takie proste. Zwłaszcza to ostatnie.

Ale przynajmniej wyglądało na to, że podejmowane przeze mnie próby

doprowadzenia do ponownego zejścia się Marlene z Javierem zaczynają przynosić zaplanowany skutek. Naturalnie nie byłam pewna, czy przyczyniły się do tego moje rozsądne i psychologicznie wyjątkowo mądre wywody, czy też siła przyciągania pomiędzy obojgiem na tyle mocna, że mogło się obejść bez mojego udziału. W poprzednim roku dwa tysiące szóstym efekt był przecież dokładnie taki sam, pomimo że wówczas trzymałam się z daleka od całej tej historii. Tak czy siak ważne było to, że znowu byli razem i Marlene promieniowała szczęściem. Przynajmniej ona.

Również Linda po rozstaniu z Uwe Uryną zdążyła się jakoś pozbierać, do czego z pewnością przyczyniły się maile Emila, kolegi Javiera z zespołu muzycznego. Jednak Linda wyraźnie nie kwapiła się do kolejnego związku, choć Emilowi wcale nie przeszkadzała rola plastra na ranę czy też zapychacza dziur.

– Wiesz, naprawdę martwi mnie to, co opowiadałaś mi o Lindzie z roku dwa tysiące jedenastego – wyznała mi pewnego razu. – To, że za pięć lat ciągle jeszcze będę szukać właściwego mężczyzny i że za każdym razem znajdę kogoś niewłaściwego! Czy naprawdę życie niczego mnie nie nauczy?

– Hmmmm – próbowałam zyskać na czasie. – Prawdopodobnie tak. Ale na świecie tyle jest rodzajów niewłaściwych mężczyzn, że naprawdę trudno się w tym połapać.

– Bzdura – zaprzeczyła energicznie. – To zapewne wyłącznie moja wina, że za każdym razem pakuję się w głupi związek, z którego nic dobrego nie wychodzi. Ale na szczęście pojawiłaś się z przyszłości, by otworzyć mi oczy na pewne sprawy. – Posłała mi promienny uśmiech. – Ponownie muszę sporo przemyśleć i zmienić swój system wartości, jak również skupić się bardziej na uzupełnianiu kwalifikacji zawodowych, zamiast marnować czas na uganianie się za facetami, którzy nie są mnie warci. Przecież mam dopiero trzydzieści trzy lata i wcale mi się nie uśmiecha być asystentką Gabi, a raczej jej popychadłem, aż do emerytury.

Brzmiało to całkiem sensownie aż do momentu, w którym dodała:

– Dlatego też wzięłam w banku kredyt, który zamierzam przeznaczyć na kurs szamańskich metod leczenia.

– Jezu, Linda! – westchnęłam załamana.

Teraz jeszcze na dodatek ponosiłam odpowiedzialność za doprowadzenie Lindy do bankructwa, jak również, prawdopodobnie, za jej rychłe związanie

się z jakimś kopniętym szamanem i zamieszkanie wspólnie z nim w nędznej jurcie. Jako *Future Woman* zupełnie się nie spisałam, gdyż zawałam sprawę na całej linii.

Na domiar wszystkiego cztery dni po seminarium z programowania neurolingwistycznego wpadłam na Felixa i Lillian. Albo oni na mnie, jak kto woli. Gdy spostrzegłam ich idących pod rękę ulicą, zareagowałam nadzwyczaj przytomnie – wskoczyłam do pobliskiej bramy, żeby nie mogli mnie zobaczyć. Udawałam, że czytam nazwiska na domofonie. Nagle, jak za naciśnięciem guzika, odwróciłam głowę powodowana *nieodpartą* potrzebą spojrzenia na nich. Na szczęście nie zauważyli mnie, choć wbiłam w nich wzrok niczym bazyli szek. Dotarły do mnie słowa Lillian mówiącej coś o pracy.

– ...i wtedy powiedziałam: Niech pan sobie wyobrazi, panie doktorze, że też studiowałam medycynę...

Jej słowa rozbawiły Felixa. Nowe, lepsze wydanie Kati próbowało sobie wmówić, że stanowią piękną parę. Jednak moje stare Ja nie dopuściło lepszemu wydaniu do głosu, mamrocząc:

– No nie, Felixie! Czy to naprawdę koniecznie musi być ta straszna Lillian?

– Najważniejsze, że jest szczęśliwy. – Lepsze wydanie Kati próbowało zagłuszyć stare Ja. – I popatrz, jak dobrze wygląda. Naprawdę świetnie.

To prawda. Felix wyglądał rewelacyjnie, choć jakoś inaczej. W ułamku sekundy uświadomiłam sobie, co było tego powodem. Brwi! Nie sterczały już na wszystkie możliwe strony i wcale nie były potargane, lecz starannie ułożone i dokładnie wydepilowane. Zupełnie jak u Floriana. Prawdopodobnie korzystali z usług tego samego wizażysty. Z ogromnym trudem przyszło mi opanować kwik, jak wydaje miazdżona NIESZCZĘSNA ŚWINKA MORSKA⁸. W tym momencie rozległ się głupkowaty, świdrujący, dziecięcy głos w mojej komórce: „Masz nową wiadomość! Masz nową wiadomość!”, który wgrała mi ostatnio Amelia. Wczoraj w trakcie seminarium *Sposoby prowadzenia rozmów kwalifikacyjnych przy ubieganiu się o pracę przez absolwentów szkoły wyższej* rozległo się: „Moja małpa wie, jak naprawdę jest mi źle”. I to dokładnie podczas omawiania przeze mnie zasady numer dwadzieścia pięć brzmiącej: *Podczas rozmowy kwalifikacyjnej o pracę zawsze obowiązkowo należy wyłączyć telefon komórkowy.*

Felix i Lillian, którzy tylko co mnie minęli, zatrzymali się na dźwięk

świdrującego głosu i spojrzeli w moją stronę. Zanim udało mi się rzucić: „I co się, cholera, tak gapita?“, odwrócili wzrok i pomaszerowali dalej ramię w ramię. Najwidoczniej nie rozpoznali walniętej idiotki z supermarketu o dziwacznej wymowie i koszarnej gramatyce.

– Życzę szczęścia. Przynajmniej jednemu z was – wymamrotałam, odprowadzając ich wzrokiem.

Jak już wspomniałam, niełatwo było stać się lepszym człowiekiem. Również w przypadku pani Baronski najwyraźniej nie wystarczało wpaść do niej od czasu do czasu z bukietem kwiatów. Starsza pani prosto ze szpitala miała pójść do domu starców. I w zasadzie nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby nie kocur Muschi, którego w żadnym wypadku nie mogła zabrać ze sobą. Pozostawienie kota u sąsiadki, która dotychczas codziennie przychodziła go nakarmić, również nie wchodziło w grę.

– Jak tylko sobie pomyślę, że muszę go oddać do schroniska dla bezdomnych zwierząt, kraje mi się serce i momentalnie zaczynam płakać – zwierzyła się, patrząc na mnie błagalnie. – Na coś takiego Muschi naprawdę sobie nie zasłużył.

Za nic na świecie nie chciałam, żeby się martwiła i zapłakiwała na śmierć. Dlatego też obiecałam jej, że znajdę kotu nowy dom, co mi się udało. Po części przy użyciu technik manipulacji poznanych na seminarium z programowania neurolingwistycznego. Nie do wiary, ilu ludzi aż się rwie do zrobienia czegoś dobrego. Problem tylko w tym, żeby im ten fakt odpowiednio uzmysłowić.

Kto sądzi, że jest zbyt wielki do małych zadań, ten
jest zazwyczaj zbyt mały do tych wielkich.

Jacques Tati

Dwa dni później przywiozłam kota rodzicom, którzy przyjęli go z otwartymi ramionami i natychmiast przechrzcili na „Baba Nbanene”. Matka twierdziła, że to po afrykańsku i oznacza „Dziadunio Odważniaczek”. Muschi przyjął zmianę imienia ze stoickim spokojem. Mruczając, wskoczył na ulubiony fotel ojca, gdzie zwinął się w kłębek. Zrobiłam zdjęcie kotu i dumnym rodzicom, żeby unaocznic pani Baronski, że jej ulubieniec dobrze trafił (na temat zmiany imienia nie powiedziałam ani słowa).

W Münster zostałam przez cały weekend. Z dwóch powodów. Po

pierwsze: w dalszym ciągu byłam bez grosza przy duszy i koniecznie musiałam wreszcie zjeść coś porządnego. A po drugie: nie mogłam załatwić weselnego menu na odległość. Wyglądało na to, że w ten sam weekend w okolicy ślub będzie brało ze dwa miliony par, w związku z czym nie wszystkie restauracje zareagowały pozytywnie na moje życzenie spróbowania ich *mousse au chocolat* (oraz na wszelki wypadek tiramisu). Gdy już byłam niemal bliska poddania się i złożenia broni, znalazłam uroczego Włocha, który otworzył restaurację zaledwie trzy tygodnie wcześniej, co zapewne sprawiło, że w weekend, na który był zaplanowany ślub, nie miał przewidzianej żadnej imprezy. Próbki potraw, które dał mi do degustacji, smakowały niebiańsko. Najadłam się tak, że starczyło na cały tydzień.

Umówiłam się także z Friedlinde, by ustalić z nią rozsądzenie gości. Przy okazji obejrzałam świeżo wylany sufit parteru w nowo budowanym domu Ewy i Roberta. Ewa pokazała mi też, jakie meble zamierza postawić i gdzie. Nagle w przyszłym pokoju dziennym zrobiło się ciemniej.

– Byłam, niestety, zmuszona zwolnić jednego z robotników z powodu rozwiązłego zachowania – rozległ się skrzeczący głos dochodzący od strony drzwi.

W tym momencie natychmiast przypomniałam sobie, co mi umknęło i co cały czas nie dawało mi spokoju: pani Luchsenbichler.

Ewa westchnęła.

– Ale on... przecież zamówiliśmy przenośną toaletę.

– Nie, nie. Tym razem zupełnie nie o to chodzi. – pośpieszyła z wyjaśnieniem pani Luchsenbichler. Jej głos przypominał skrzypienie twardej kredy po tablicy.

Pojawienie się namolnej sąsiadki sprawiło, że nowa, lepsza wersja Kati momentalnie weszła w zaciekły spór z moim starym Ja. Lepsza wersja próbowała mnie przekonać, że pani Luchsenbichler jest przecież samotną starą kobietą, której zapewne serce pęknie z żalu, jeśli nie zostanie zaproszona na ślub. Natomiast stara Kati namawiała gorliwie, by w dniu ślubu zabić gwoździami wszystkie drzwi i okna dla ochrony przed tą starą wiedźmą.

– Ten człowiek... silny turecki dzikus, który zawsze dyryguje wszystkimi wkoło, ten goryl... drapał się bezwstydnie po swoim *przyrodzeniu!* – Pani Luchsenbichler zrobiła dramatyczną pauzę, podczas której nowa, lepsza

wersja Kati, zgrzytając zębami, przyznała rację mojemu staremu Ja.

Być może była to samotna kobieta, ale bez wątpienia była też starym rasistowskim babsztylem bez cienia tolerancji.

– Teraz nie ma prawa wstępu na budowę. Uważam, że jesteśmy za bardzo tolerancyjni w stosunku do cudzoziemców.

– Nasz majster ma zakaz wstępu na naszą budowę? – Ewa otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

Pani Luchsenbichler przytaknęła tryumfalnie.

– Zgadza się. Powiedziałam temu leniwemu darmożjadowi, że jeśli jeszcze raz odważy się przekroczyć granicę tej działki, zgłoszę na policję, że zakłóca spokój. Moja zasada brzmi: Żyj sam i daj żyć innym, ale co za dużo, to niezdrowo. Ostatecznie to przecież porządna niemiecka ulica, na której należy przestrzegać porządku i dyscypliny. Nie wolno też zapominać o przechodzących dzieciach.

Pomyślałam sobie, że gdyby tak teraz przez przypadek runęła do wykopu, wówczas ślub z konieczności musiałby się odbyć bez niej...

– Ale proszę pani. Przecież nie może pani... – zaczęła Ewa, lecz pani Luchsenbichler weszła jej w słowo:

– Nie, nie, pani Wedekind, proszę mi nie dziękować. Wiem przecież, że biedny Robertuś nie ma czasu zawracać sobie głowy takimi sprawami, gdyż pracuje od rana do wieczora. I do tego wszystkiego jeszcze ten ślub, z którym tyle jest zamieszania, że aż Claudia, która...

Tego jednak było już za wiele.

– À propos ślubu – przerwałam bez zastanowienia całą tę tyradę. – Niestety muszę przyznać, że nastąpiła okropna pomyłka. Proszę sobie wyobrazić, że zaprosiliśmy o czterdzieści jeden osób za dużo.

Zbaraniała Ewa spojrzała na mnie. Podobnie jak pani Luchsenbichler.

– Doszło do tego, ponieważ Friedlinde przekazała nam pomyłkowo listę gości na siedemdziesiąte urodziny ojca Robertusia. Na jej liście znajdowały się osoby, których nie przewidzieliśmy na ślubie. Na przykład członkowie stowarzyszenia śpiewaków chórów męskich. Oraz pani.

– Ja? – Pani Luchsenbichler zarzęziła, jakby zaraz miała wydać ostatnie tchnienie.

– Na szczęście zorientowaliśmy się w porę – ciągnęłam jakby nigdy nic. – Problem w tym, że sala nie pomieści aż tylu gości! Tyle ludzi to byłaby

prawdziwa katastrofa. Z pewnością zdziwiło panią to zaproszenie. Prawdopodobnie pomyślała pani sobie nawet, że zapraszają całą okolicę.

– Ale...

W mojej torebce rozległo się głośne: „Masz nową wiadomość! Masz nową wiadomość!”. Tymczasem zdążyłam polubić ten działający na nerwy dziecięcy głosik. Reagowałam na niego niczym pies Pawłowa. Z tą tylko różnicą, że się nie śliniłam, lecz uśmiechałam. W Nowym Jorku było zapewne rano.

– Jak mówiłam, nastąpiła zwyczajna pomyłka. Proszę zatem podrzeć to zaproszenie na strzępy i cieszyć się z pięknej wolnej soboty! – doradziłam uprzejmie i zadowolona z siebie złapałam siostrę za rękę. – Ewa, chodź już. Musimy iść do twojej teściowej, która pewnie już na nas czeka. Do widzenia pani. I proszę uważać, żeby przypadkiem nie wpaść do dołu.

– Czyś ty oszalała? – Na ulicy siostra naskoczyła na mnie, gdy grzebałam w torebce, próbując wyłowić telefon. – Teraz dopiero rozpęta się istne piekło.

Witaj, Kati Kartofelku! Właśnie znowu pomyślałem o Tobie. Na pewno by Ci się spodobały wiewiórki w Central Parku. Serdeczności, Mathias.

– Wierz mi, że piekło rozpętałoby się tak czy siak. – Uśmiechnęłam się do Ewy od ucha do ucha. – Ale teraz będziesz przynajmniej miała ją z głowy na ślubie. Aha, Ewo... Właściwie to chciałam ci coś powiedzieć. Ta krótka sukienka bez ramion jest co prawda odlotowa, uważam jednak, że powinnaś raczej wybrać tę pod szyję z koronkowymi rękawami. Sądysz, że to jeszcze możliwe? Tak się składa, że mam znajomego meteorologa, który twierdzi, że w dniu twojego ślubu ma być piekielnie zimno i do tego łać jak z cebra. Ma dostęp do pewnych ściśle poufnych danych, które... eeee... są rejestrowane za pomocą jakichś bardzo wymyślnych, supernowoczesnych tajnych urządzeń. No i... no wiesz, boję się, że mogłabyś na własnym ślubie trząść się z zimna jak galareta. I że będziesz miała taką gęsią skórkę, że będzie ją widać na zdjęciach nawet z kosmosu.

– Och! Okej! – Ewa jak zwykle ze spokojem przyjęła informację do wiadomości, nie marnując czasu na drażnienie sprawy i zadawanie nieufnych pytań. – Nie, jeszcze nie jest za późno. Zresztą i tak cały czas chodzi mi po głowie ta pod szyję. Nie sądzisz, że ma w sobie coś z sukni ślubnej Grace Kelly? – Siostra posłała mi uśmiech, obserwując mnie dyskretnie. – Meteorolog, mówisz? Czy przyjdiesz z nim na ślub?

– Nie, będę sama. – Potrząsnęłam z żalem głową.

Oznacza to, że będę musiała przenocować w pokoju pełnym przerażających afrykańskich masek i spreparowanych ludzkich głów, w którym matka ma rozłożony cały swój kram do szycia (uprzednio mój pokój dziecienny). Do tego wuj Eberhard oraz wszyscy pozostali krewni będą ze współczuciem poklepywać mnie po plecach, mówiąc do mnie „dorosła dziewczynka” i sypiąc przy tym jak z rękawa oklepanymi powiedzonkami, z których zrezygnują dopiero wówczas, gdy na jakimś pogrzebie usłyszą pod swoim adresem dokładnie to samo, co powtarzali wszystkim dookoła: „Teraz to właściwie twoja kolej, gdy nie ma już Adama Riese”.

Nie mów wszystkiego, co wiesz, ale wiedz zawsze,
co mówisz.

Matthias Claudius

Serwus, Kati! Nie ma zasięgu na pustyni Atacama. Ani kartofli. Mimo to myślę o Tobie. Serdeczności, Mathias.

Zdaje się, że Chile leżało dalej niż Nowy Jork. W każdym razie SMS-y stamtąd docierały rzadziej. W przerwach pomiędzy dwiema kolejnymi wiadomościami od Mathiasa dopadała mnie lekka depresja. Mimo znaczących sukcesów, które mogłam zanotować na swoim koncie, podły nastrój jakoś mnie nie opuszczał. Sukcesem było przykładowo zaangażowanie zespołu Javiera na ślub Ewy. Prawdę powiedziawszy, czułam się dość niezręcznie, widząc dziką radość chłopaków. Ich ceny mieściły się w zaplanowanej na ten cel kwocie, mimo że musieliśmy doliczyć jeszcze koszty podróży z Kolonii. A ponadto nie mieli też nic przeciwko przenocowaniu u wuja Eberharda i ciotki Eriki, którzy udostępnili im pokój zabaw w piwnicy. (Po weselu powiedziano im, że w przyszłości powinni się bardziej cenić i dyktować wyższe ceny!).

Pomogłam też pani Baronski w przeprowadzce do domu starców, jak również powiesiłam jej nad łóżkiem oprawione zdjęcia Baba Nbanene, oficjalnie znanego pod imieniem Muschi. Ten dobry uczynek też niespecjalnie poprawił mi nastrój. Szkoda, że starsza pani nie mogła podzielić się ze mną swoim podejściem do świata, odstępując mi choć trochę

swojego hartu i pogody ducha. Staruszka rozstała się z większością tego, co posiadała, z nonszalancją i bez jakichkolwiek sentymentów, zabierając jedynie ulubiony fotel.

– Chciałabym w nim umrzeć – zwierzyła mi się.

Podczas gdy pani Baronski dzielnie, a nawet pogodnie spędzała przy kieliszku czerwonego wina (mnie potrzebne były dwa) swój pierwszy wieczór w nowym miejscu zamieszkania, mnie było smutno. Na pożegnanie rozkleiłam się do tego stopnia, że aż się popłakałam. Niedobrze zostać na starość zupełnie samemu. Powinna mieć wokół siebie kochające dzieci, wnuki i Muschiego, a także własny dom. Lecz w jej życiu nie było nikogo, nawet pana Baronskiego. Mężczyzna, którego zapewne by poślubiła, poległ na wojnie. To wszystko było bardzo, bardzo smutne. Tak bardzo, że wymagało zdecydowanie większej ilości wina.

Tego wieczoru po powrocie do domu sporządziłam nową listę rzeczy koniecznych do zrobienia, którą następnego ranka czytałam z niedowierzaniem.

1. Urodzić Mathiasowi wspianiałe niebieskookie dzieci:
 - 1.1. Lottę (na drugie Erika po ciotce z aksamitnymi kotarami),
 - 1.2. Lilli (na drugie Astoria, gdyż zostanie poczęta w hotelu Waldorff Astoria, względnie alternatywnie Verbania, gdyby nam przyszło do głowy spłodzić ją nad jeziorem Lago Maggiore),
 - 1.3. Louisa (na drugie Felix, gdyby miał krzaczaste, potargane brwi i gdyby był roztrzepany).
2. Zaadoptować dodatkowe dzieci:
 - 2.1. co najmniej troje,
 - 2.2. najlepiej z Afryki ze względu na mamę.
3. Wykupić odpowiednie ubezpieczenie zabezpieczające na starość.

Przypuszczam, że chyba nie muszę nadmieniać, że podarłam tę listę na strzępy.

Chociaż pierwszego przelano mi miesięczną pensję, stan mojego konta nadal był zerowy, pomimo że niczego sobie nie kupiłam. Nawet sukienki na ślub Ewy. W końcu zdecydowałam się włożyć tę pudrową, zakupioną w sklepie z używanymi rzeczami. Tak się jednak złożyło, że wpadła mi w oko idealnie pasująca para butów, co zmusiło mnie do zwrócenia się do banku

o zwiększenie limitu kredytu odnawialnego. Niestety, odmówiono mi, co uważam za wielce małosłowne, skoro miałam przecież zarobić mnóstwo pieniędzy na zakładach futbolowych. Doradca bankowy, któremu wręczyłam stosowny wniosek, przyszczyty chłopak, prawdopodobnie jeszcze do tego nieletni, przez dobrych pięć minut gapił się w ekran komputera, po czym pokręcił głową.

– Przykro mi, ale wygląda na to, że pani obecne wydatki przewyższają przychody.

Jeśli potrafisz o czymś marzyć, to możesz także
tego dokonać.

Walt Disney

No proszę, jaki spostrzegawczy, i do tego jeszcze bystry. A może właśnie wydatki przewyższające dochody są powodem mojego wniosku o zwiększenie limitu zadłużenia???? I czy nie jest to trochę niesprawiedliwe: odmówić mi zgody na ciut większy debet na koncie, podczas gdy Lindzie dano, nie mrugnawszy nawet okiem, kredyt na jakiś bezsensowny kurs leczenia metodami szamańskimi? Ale wywlekanie tej kwestii nie pomoże mi kupić nowych butów na wesele jedynej siostry. Zresztą i tak nikt nie będzie patrzył na moje stopy. Ta odmowa zdecydowanie nie przyczyniła się do poprawy mojego nastroju. Do tego pogoda była pod psem, co jeszcze bardziej mnie zdołowało.

W poniedziałek, na tydzień przed ślubem Ewy, wpadłam w taki dołek psychiczny, że mało brakowało, a zaczęłabym się zachowywać jak kiedyś. Niemal wzięłyśmy się za łby z panią Liczydło-Rozwalską, której nerwy również znajdowały się w opłakanym stanie (dolegliwości wieku przekwitania? zmienna wiosenna aura?). Cymbalska przez cały dzień co rusz czegoś się czepiała. Przy czym nie odważyła się zaatakować wprost nikogo konkretnego. Kierowała swoje zarzuty do wszystkich, przez co każdy czuł się urażony, uważając, że mówi pod jego adresem.

– Gdyby ktoś poukładał seminaria alfabetycznie, a nie datami, to nie musiałabym ich teraz mozolnie rozczłonkować – burknęła, co doprowadziło mnie do szewskiej pasji (przypuszczalnie dlatego, że to ja posortowałam wszystko według dat, co było daleko bardziej przejryste).

„W tym kontekście słowo »rozczłonkować« ma się tak jak pięść do

nosa” – zamierzałam właśnie powiedzieć, ale doszłam jedynie do połowy zdania, gdy odezwała się moja komórka. „Masz nową wiadomość! Masz nową wiadomość!” – rozległ się świdrujący głosik (zdążyłam już uznać, że jest to najśłodszy dźwięk na świecie, jaki kiedykolwiek słyszałam!).

W tej sytuacji rzuciłam Cymbalskiej jedynie rozszerzone spojrzenie i pognałam w kierunku biurka. Mathias!

Chtnie bym cię znozu zobaczył jesteś taka słodzitka i fantastycznie ca7ujesz jestem.

O Boże! A to co znowu? Od kiedy on ma problemy z ortografią? Dlaczego urwał w połowie zdania? Nie mógł być przecież zalany, gdyż w Chile był dopiero wczesny poranek. A może – w głowie zaświtała mi okropna myśl – spostrzegł, że pisze do niewłaściwej osoby i te słowa wcale nie były przeznaczone dla mnie? Przez parę minut wpatrywałam się w ekran wyświetlacza w nadziei na drugiego SMS-a, ale niestety nie przyszła żadna wiadomość.

Po półgodzinie nie wytrzymałam i napisałam: *Hej, Mathias! Wszystko w porządku?*

Odpowiedź otrzymałam już po paru minutach.

Było trzęsienie ziemi i sądziłem, że wybiła moja ostatnia godzina. Ze strachu omal nie narobiłem w portki. Inni śmiali się ze mnie. Widocznie trzęsienia ziemi na wybrzeżu to chleb powszedni.

Ach! Och, jakie to *urocze!* Mój nastrój zmienił się w okamgnieniu. Mathias napisał do mnie w swojej, jak mu się wydawało, ostatniej godzinie życia. Do mnie! Uświadomiłam sobie, że jednak coś dla niego znaczę. W przeciwnym razie napisałby do matki. Albo zwyczajnie zaczął się modlić.

Nagle obleciał mnie strach. Kiedy właściwie miało miejsce to straszne trzęsienie ziemi w Chile? Czy przypadkiem nie w dwa tysiące szóstym?

Też uważam, że jesteś słodzitki – napisałam w odpowiedzi. Wracaj do domu. W Chile jest zbyt niebezpiecznie.

W odpowiedzi dostałam smileya.

Przez kolejne cztery dni nie miałam od niego żadnego znaku życia.

Piątego dnia – w piątek przed ślubem – mój nastrój znowu osiągnął dobrze mi znane samo dno. W Internecie nie znalazłam nic na temat gwałtownego trzęsienia ziemi w Chile, co było niewielką, ale zawsze jakąś pociechą. Ostatnią wiadomością otrzymaną od Mathiasa był smiley. Ale co to za wiadomość?! Właściwie żadna. Przecież nie można kogoś tak torturować,

i to aż przez cztery ciągnące się w nieskończoność dni. Właściwie pięć łącznie z dzisiejszym.

Za oknem znowu lało, podobnie jak w ostatnich tygodniach. Gabi zmusiła Marlene i mnie do opracowania ankiet z całego miesiąca, wypełnionych przez uczestników seminariów. Idiotyczna robota. Podzieliłyśmy cały stos równo między siebie. Grzebiąc w stercie papierów, postanowiłam, że po opracowaniu statystyki z danego kursu wykonam prywatny telefon (naturalnie jeśli tylko Gabi akurat nie będzie w pobliżu).

Już na pierwszej liście uczestników kursu wpadło mi w oko znajome nazwisko: Gereon *skończony drań* Westermann, najlepszy przyjaciel Felixa.

– Marlene, czy wiedziałaś, że twój były mąż był na seminarium *Ekonomiczne podstawy zarządzania praktyką lekarską*?

– Tak – odpowiedziała. – I nie wyobrażasz sobie, jak mi ulżyło, że to nie ja musiałam je prowadzić. Z pewnością wykończyłby mnie nerwowo, przeklęty przemądrzalec. Już słyszę to jego: Akurat masz pojęcie o działalności na własny rachunek! Przecież nawet nie potrafisz wypełnić jak należy zeznania podatkowego.

– Gabi też nie ocenił za dobrze – stwierdziłam ze złośliwą satysfakcją. – Pomimo że tak opracowała ankietę, by móc zidentyfikować jej autora, przekonana, że ludzie odważą się na krytykę jedynie wówczas, gdy będą uważali, że pozostaną anonimowi.

W roku dwa tysiące szóstym krwiożercza hrabina odkryła nagle, że lekarze mogą być, jako grupa zawodowa, istną kopalnią złota. W związku z czym w wielkim stylu weszła w tematy związane z marketingiem ochrony zdrowia oraz metodami zarządzania praktykami lekarskimi. Perspektywa pozyskania takich klientów jak zrzeszenia właścicieli aptek czy towarzystwa lekarskie oraz znane koncerny farmaceutyczne i organizowania imprez w pięciogwiazdkowych hotelach z kompleksem odnowy biologicznej oraz polem golfowym sprawiała, że całkowicie zamykała oczy na fakt, że nikt z nas nie miał pojęcia o specyfice tej branży. A już w najmniejszym stopniu ona. Pozostawała głucha na wszystkie rozsądne argumenty w tej kwestii. Ale i w tym wypadku udowodniła kolejny raz, że sukces można osiągnąć pewnością siebie oraz bezczelnością.

– Wszystko jedno, czy chodzi o praktykę lekarską, czy o kiosk z kwiatami, tabele kalkulacyjne zawsze i wszędzie są takie same, podobnie jak marketing

– powtarzała bez przerwy niczym młynek tybetański, zmuszając nas do tworzenia z niczego programów szkolenia z zarządzania jakością dla lekarzy, względnie do opracowania materiałów do cyklu kursów na temat *Układ i prezentacja prelekcji medycznych w PowerPoint*. Najlepsze imprezy – to znaczy te w najlepszych i najpiękniej położonych hotelach – prowadziła zazwyczaj osobiście, co wcale nie oznaczało, że również osobiście opracowywała wszystkie materiały szkoleniowe. Bądź co bądź udało nam się jakimś cudem przekonać ją, żeby trzymać się z daleka od kursów doskonalenia zawodowego typu *Endokrynologia kliniczna* czy *Szczepienia prewencyjne*, choć twierdziła, że i z tym dałaby sobie radę przy odpowiednim połączeniu dobrego przygotowania i blefu.

W następnej ankiecie ponownie natknęłam się na znajome nazwisko. Lillian Berghaus. Czego LILLIAN szukała na seminarium z ekonomicznych podstaw zarządzania praktyką lekarską? Jako anestezjolog nie miała przecież żadnych szans na otwarcie samodzielnej prywatnej praktyki. (Chociaż mogła to być jakaś nisza rynkowa: *Czy chciałby się pan całkowicie zresetować? W takim razie oferujemy panu poddanie się kilkugodzinnej narkozie – bez jakiegokolwiek interwencji chirurgicznej, co gwarantujemy...*). A może miała zwyczajnie ochotę wyrwać się na trzy dni do luksusowego hotelu i dyrekcja szpitala zgodziła się na sfinansowanie jej tego seminarium, nie przyglądając się, czego konkretnie dotyczy... Zaintrygowana udałam się do Lindy, by poprosić ją o wydrukowanie mi wszystkich danych dotyczących tego kursu. Moje przypuszczenia w pełni się potwierdziły: seminarium zostało zorganizowane w bardzo eleganckim hotelu w Spreewaldzie z pełnym wyżywieniem i pakietem rekreacyjnym, który można było zamówić dodatkowo za jedyne sto dwadzieścia euro. Na życzenie można było nawet zarezerwować sobie pokój z sauną... i... No proszę, Lillian nocowała w takim właśnie pokoju...

– W następnym wcieleniu będę lekarzem – oznajmiła Linda.

I to nie sama, lecz z niejakim doktorem Gereonem Westermannem. Przeklęty drań.

– Aua! – wrzasnęła Linda z bólu, gdyż bezwiednie wbiłam jej paznokcie w ramię i dotkliwie ją podrapałam.

To było przecież... Seminarium odbyło się dokładnie w kwietniu i do tego *zanim* natknęłam się na ulicy na Lillian i Felixa trzymających się za rączki.

To ci dopiero zdzira! Jak ta parszywa, podła, kłamliwa wywłoka mogła... jak mogła zrobić Felixowi coś takiego? A Gereon? Co za bydlak. Ten drań był o wiele gorszy, niż sądziłam! Oszukiwać najlepszego przyjaciela, sypiając z jego dziewczyną. O rany... to było naprawdę...

– Kati? Wszystko w porządku? Zbladłaś jak ściana – zauważyła Linda. Niemal nie rozumiałam, co do mnie mówi.

– Zdychaj wolno i w piekielnych męczarniach – syknęłam. Z jakiegoś powodu tętno mi podskoczyło. Prawdopodobnie ze złości. Biedny kochany Felix. Nie zasługiwał na coś takiego. W żadnym wypadku nie mogłam dopuścić, by Lillian i Gereon tak deptali jego uczucia. Zrobię coś, co...

„Masz nową wiadomość! Masz nową wiadomość!” – rozległo się z komórki, co sprawiło, że na moment zapomniałam o Felixie i jego wrednych przyjaciółach.

Tym razem była to tylko Friedlinde, która przysłała mi następującą wiadomość: *Zespół musi być najpóźniej o 15, żeby sprawdzić brzmienie. Proszę przekazać.*

Ach, niezawodna Friedlinde, z którą niemal się zaprzyjaźniłam. W końcu zaczęłyśmy stanowić znakomity duet... Co za wierutna bzdura! Nie chcę nikomu mydlić oczu, ale prawda wyglądała tak, że ta kobieta nienawidziła mnie z całego serca. Choćby tylko za okłamanie pani Luchsenbichler. Wszystko jedno! Jako współorganizatorka przyjęcia weselnego okazała się bardzo przydatna, a tylko o to chodziło. Nasz nowy plan usadzenia gości przy stole był wręcz perfekcyjny. Kuzyn Bertram tym razem nie siedział dokładnie naprzeciw przystojnego kolegi z pracy Roberta i nie był już narażony na wysłuchiwanie prowokujących wypowiedzi pani Luchsenbichler na temat gejów. Miałam nadzieję, że nowe okoliczności sprawią, że jego wyautowanie albo przesunie się w czasie, albo będzie nam darowane. Mimo wszystko będę jednak miała go na oku i na wszelki wypadek postaram się też o brzaskwinę.

Właśnie miałam wysłać odpowiedź do Friedlinde, gdy w mojej komórce rozległo się: „Moja małpa wie, jak naprawdę jest mi źle” (do tej pory nie udało mi się zmienić dźwięku dzwonka) i na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Mathiasa. O mój Boże! Jak dotąd nigdy jeszcze do mnie nie dzwonił! Zaraz usłyszę jego głos.

– Haarrrgooo! – Ogarnął mnie taki zamęt, że nie byłam w stanie

powiedzieć zwyczajnie „Halo!”.

– To ty, Kati? – W słuchawce rozległ się głos Mathiasa. Niemal zapomniałam, jak seksownie brzmiał. – Cieszę się, że cię słyszę!

Chrząknęłam nerwowo.

– A ja ciebie. Brzmisz, jakbyś był gdzieś w pobliżu.

– Bo jestem. Właśnie przyleciałem do Kolonii.

– Ojej! Jak... – supercudownie! Ale czy nie mówił, że wyjeżdża na cztery tygodnie? – ...jak cudownie. Kiedy dokładnie wróciłeś?

– Dziesięć minut temu. – Zaczęłam drzeć ze szczęścia. – Czy moglibyśmy się spotkać? – zapytał.

– Dzisiaj?

Całe szczęście, że nie mógł mnie teraz zobaczyć, gdyż uśmiechałam się niczym naćpany konik z piernika.

– Tak, jeszcze dzisiaj. I jutro też, jeśli to tylko możliwe. I pojutrze.

W tle słychać było komunikaty rozlegające się z głośników. Najwidoczniej wciąż jeszcze był na lotnisku.

– Wiesz... nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć – zaczęłam. – Ale tak się składa, że moja siostra właśnie wychodzi za mąż. W Münster.

– Och – rozległo się w słuchawce – i znowu te przekłete problemy z brakiem synchronizacji. Specjalnie biorę wcześniejszy lot, a tu...

– A może chciałbyś się wybrać ze mną? – przerwałam mu. – Ale ostrzegam, jesteśmy dość specyficzną rodziną i nie wiem, jak odwieść KOSZMARNĄ CIOTKĘ od zaśpiewania w kościele *Ave Maria*, i na dodatek może się zdarzyć, że zaprezentuję się z nie najlepszej strony, bo w pewnym sensie jestem odpowiedzialna za to, żeby wszystko się udało, a jeśli kuzyn Bertram złapie w decydującym momencie za mikrofon, czego można się po nim spodziewać, to nie trafię w niego brzoskwinią, bo w grze w piłkę już w szkole byłam okropną ciamajdą, i prawdę powiedziawszy, niemam żadnycheleganckichbutów...

– Tak – przerwał mi. – Chcę. – Doszedł do mnie jego śmiech. – Bardzo chętnie pojedę z tobą na ślub siostry.

Nad grobem większości ludzi najbardziej rozpacza
ich szczerze zawołane nieprzeżyte życie.
Georg Jellinek

Tej nocy przysnił mi się koszmar. Ewa i Robert stali przed ołtarzem, podczas gdy KOSZMARNĄ CIOTKĄ, śpiewając a cappella *Ave Maria*, wprawiała w drżenie kościelne okna. W desperacji obrzuciłam ją brzoskwiniami. A że nie trafiłam ani razu, zaczęłam ciskać śpiewnikami. Jednak i te lądowały nie na głowie ciotki, lecz w zupełnie przypadkowych miejscach. W końcu zaczęłam rzucać wszystkim, co było pod ręką. W pewnej chwili uświadomiłam sobie, że jej śpiew jest cudowny i że wszyscy patrzą na mnie z osłupieniem pomieszany z niedowierzaniem. Mathias, moi rodzice, Ewa, Robert i Friedlinde. Do tego kościół pełen był ludzi niemających tu nic do szukania. Wśród nich zauważyłam na przykład mojego dawnego nauczyciela niemieckiego, Gabi, Lindę, Bengta, Marlene, Amelię, Felixa, Lillian, Florianą, Gereona, moich teściów, a nawet panią Baronski i siostrę Sabinę. Felix i Lillian trzymali się za ręce. Oboje mieli wygolone brwi, co wyglądało okropnie. Lillian, mimo komicznego wyglądu, lustrowała mnie z góry na dół z wyraźnym lekceważeniem.

Zauważyłam też, że nie mam na sobie sukienki w pudrowym kolorze, lecz biały całun, w jaki zazwyczaj zawija się zmarłych. Przed ołtarzem nie było już Ewy ani Roberta, a w miejscu, w którym wcześniej stali, znajdowała się trumna.

Nikt nie patrzył na mnie i miałam wrażenie, jakbym nagle stała się niewidoczna. Ciotka wciąż śpiewała *Ave Maria* (zdążyła już dotrzeć do słów „in hora mortis nostrae”, idealnie pasującą do scenerii, zmieniła jednak tonację na zupełnie nieodpowiednią). Niestety nie miałam już czym w nią rzucić. Mało tego, nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Nie byłam w stanie nawet mrugnąć. Całkowicie sparaliżowana uniosłam się w powietrzu i powoli poszybowałam w kierunku sklepienia kościoła, omijając chór z organami, na którym nagle pojawił się oberwaniec z metra. Pomachał do mnie i wtem ogarnęła mnie ciemność. Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że leżę w trumnie przed ołtarzem...

Ciężko dysząc, odrzuciłam kołdrę i usiadłam gwałtownie, zлана potem. Z pewnością ten sen coś oznaczał i miał stanowić jakieś przesłanie, jak wszystkie moje sny. Tym razem znaczenie mojego koszmaru nie pozostawiało żadnych wątpliwości: byłam martwa.

Gapiałam się w okno, za którym wstawał świt, i próbowałam uspokoić rozszalały puls. Ale jak mogłam być martwa, skoro czułam się tak bardzo żywa? I jak to możliwe, że moje prawdziwe życie zakończyło się na jakimś peronie pod kołami pociągu metra, kiedy tu i teraz moje odczucia były takie prawdziwe, że aż wręcz namacalne? (czasami nawet o wiele bardziej intensywne i realne niż w rzeczywistym życiu).

Przypuszczalnie ten sen oznaczał, że mój czas już dobiegł końca, że podarowane mi przez los drugie życie wkrótce się skończy, w momencie, w którym wreszcie dostałam to, co chciałam – a raczej bardziej odpowiednie było – kogo chciałam. A właściwie, dokładnie rzecz ujmując, kogo tak naprawdę nie miałam.

Nasze wczorajsze wieczorne spotkanie w małej przytulnej restauracyjce w południowej części miasta całkowicie zdominował zespół nagłej zmiany strefy czasowej. Pomimo osiemnastu godzin lotu Mathias wyglądał wspaniale (ciemne cienie pod oczami jeszcze podkreślały ich błękit). Namiętnie zamknął mnie w ramionach, przez cały czas czarując się uśmiechając. Jednak już przy przystawce zaczęły mu opadać powieki.

– No super – powiedział, klepiąc się po policzkach, by oprzytomnieć. – Tak się cieszyłem na nasze spotkanie. A teraz siedzę tu z tobą niczym zombi. Język mam zupełnie jak kołek.

– Niczym niezwykle uroczy zombi – zauważyłam.

Nie do końca bezinteresownie zdecydowałam przerwać naszą kolację zaraz po przystawce i posłać Mathiasa do domu do łóżka. W przeciwnym razie mogło się zdarzyć, że podczas wesela w którymś momencie wylądowałby z głową w talerzu z zupą, czego – Bóg mi świadkiem – wołałam uniknąć.

Poza tym byłoby cudownie, gdyby po zakończonym przyjęciu pozostało mu jeszcze choć trochę sił, gdyż zarezerwowałam dwuosobowy pokój w hotelu (za który postanowiłam zapłacić kartą Master, żeby się od razu nie zorientowali, że jestem niewypłacalna). Jeśli wierzyć recepcjoniście, był to ostatni wolny pokój hotelowy w całym Münster. Co prawda w pokoju

gościnnym rodziców łóżko było dostatecznie szerokie dla nas obojga, jednak nie chciałam spędzać naszej pierwszej wspólnej nocy w otoczeniu spreparowanych ludzkich głów. Poza tym wcale mi się nie uśmiechała romantyczna noc przy wtórze donośnego chrapania rodziców, przypominającego do złudzenia wycinkę drzew w lesie piłą tarczową.

Po powrocie z restauracji położyłam się odpowiednio wcześnie, być może za wcześnie, gdyż sen nie przychodził. Za to momentalnie opadły mnie mroczne myśli. Rozmyślałam głównie o Felixie, Lillian i Gereonie, co zapewne było powodem koszmaru, który mi się przyśnił.

Byłam pewna, że zgolone brwi coś oznaczają, ale nie znałam się dość dobrze na symbolice snów, by móc zinterpretować, o co może chodzić.

Wieczorem zadzwoniłam jeszcze do Ewy, próbując bezskutecznie wyciągnąć z niej, czy się denerwuje („Troszenieczkę” – przyznała). Naprawdę jednak powód mojego telefonu był inny – chciałam ją zapytać o coś bardzo ważnego.

– Co byś zrobiła, gdybyś się dowiedziała, że kogoś, kogo znasz, zdradza partnerka z jego najlepszym przyjacielem? Czy powiedziałałabyś mu o tym?

– Czy ten ktoś to twój przyjaciel? Albo krewny? – odpowiedziała pytaniem Ewa.

– Hmmmm... w pewnym sensie i jedno, i drugie. – *A raczej, prawdę mówiąc, ani jedno, ani drugie* – dodałam w duchu.

– W takim razie koniecznie musisz mu powiedzieć! Zanim sam się dowie.

– Ale... być może nigdy się nie dowie i... będzie sobie żył w nieświadomości długo i szczęśliwie.

– Podczas gdy jego partnerka dalej będzie go zdradzać z tym najlepszym przyjacielem?

– A może to był tylko jednorazowy skok w bok?

– Dlaczego na końcu każdej twojej wypowiedzi wyraźnie słyszę znak zapytania? Szczerze mówiąc, czegoś takiego nie wolno przemilczać ani ukrywać. Zwłaszcza jeśli chodzi o przyjaciela. Nawet jeżeli chce się go chronić i oszczędzić mu bólu.

Jasne, że miała całkowitą rację. Jak zawsze. Z drugiej strony... Felix wcale nie był moim przyjacielem. W każdym razie nie w obecnym życiu. Poza tym nienawidziłam ludzi, którzy nieproszeni wtrącaли się w cudze sprawy. Uważałam ich za wścibskich i koszmarnych. Ponadto nie miałam zielonego

pojęcia, jak mu o tym powiedzieć. (*Chulera z tom pana babom, to dobre zielisko, z tej tam!*).

Ale też mogło się okazać, że cała sprawa miała również swoje dobre strony. Na zasadzie: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Czyż zgodnie z zasadą daru poznania wyznawaną przez Lindę nie jest przypadkiem tak, że wszystko w życiu ma jakiś wyższy sens i służy jakiemuś głębokiemu celowi, i... Ach, dobre sobie, jedna wielka bzdura. Przeklęta płątanina myśli! Nic dziwnego, że rozboleła mnie głowa. Jeszcze tylko tego mi brakowało. Powinnam wyglądać świeżo, ślicznie i pociągająco (w końcu to przecież moja pierwsza prawdziwa randka z Mathiasem), a do tego muszę przecież być przytomna i w pełni skoncentrowana. A zatem koniec z bzdurnymi rozmyślaniami i roztrząsaniem znaczenia snów.

Zażyłam proszek od bólu głowy, położyłam kompres na oczy, policzyłam od dwudziestu do jednego i rzeczywiście zasnęłam.

Osiem godzin później siedziałam obok Mathiasa w kościelnej ławce, płacząc ze wzruszenia jak bóbr. Stojący przed ołtarzem Ewa i Robert wyglądali pięknie i młodo. Pastor wygłosił poruszające, pełne mądrości kazanie. Nie byłam w stanie sobie przypomnieć, czy mówił to samo co wówczas, za pierwszym razem, to znaczy w przyszłości. Zapewne dlatego, że moją pamięć zdominowały wszystkie katastrofy, które się wówczas wydarzyły. Ból głowy całkowicie minął, podobnie jak ponure myśli.

Na zewnątrz lało jak z cebra, ale rodzina, ostrzeżona przeze mnie, była na to przygotowana. Pochmurna pogoda uwydatniała atmosferę panującą w monumentalnym kościele – półmrok rozpraszany wyłącznie mnóstwem palących się świec i bogate dekoracje z niezliczonych kwiatów stworzyły niepowtarzalny, romantyczny nastrój. Wrażenie było naprawdę fantastyczne.

Gdy siostra cichym głosem wypowiedziała sakramentalne „Tak, chcę” i Robert wsunął jej na palec obrączkę, zaczęłam szlochać. Jakież to było piękne! Dlaczego właściwie nie wzięliśmy z Felixem ślubu w kościele? Przecież taka ceremonia była o wiele bardziej romantyczna niż w urzędzie stanu cywilnego z urzędnikiem bełkoczącym coś pod nosem w lokalnej gwarze i opowiadającym żalosne dowcipy o rabinie. Z pewnością ładnie by mi było w białej sukni. Felix też wyglądałby wspaniale w eleganckim garniturze.

Czy teraz ożeni się z Lillian? Mogłam sobie wyobrazić, jak będzie parła do ślubu. Przypuszczalnie do przygotowania wesela wynajmie jedną z tych koszmarnych agencji specjalizujących się w planowaniu takich uroczystości i zaprosi tysiąc ważnych ludzi (z których połowa będzie miała tytuł szlachecki, kupiony względnie odziedziczony, a druga połowa doktorski), wynajmie zamek i orkiestrę smyczkową względnie zespół Take That. Podczas przyjęcia weselnego Felix będzie umierał z nudów ze skutkiem śmiertelnym, co tej sytuacji byłoby dla niego najlepsze, gdyż świeżo poślubiona żona zapewne zdradziłaby go z Gereonem jeszcze w noc poślubną...

Zaszlochałam trochę głośniej, na co Mathias wziął mnie za rękę. Uśmiechnęłam się do niego przez łzy. Co ja właściwie wyprawiałam? Byłam na cudownym ślubie, a obok mnie siedział Mathias, najcudowniejszy mężczyzna! U boku miałam mężczyznę swoich marzeń, a ja tymczasem, głupie krówsko, rujnowałam w najlepsze ten cud rozmyślaniami o Lillian i Felixie. Postanowiłam, że od tej chwili nastawię się pozytywnie, absurdalne zaś wizje usunę przy okazji wycierania łez z twarzy. Przecież miałam przed sobą najpiękniejszy i najbardziej romantyczny weekend w swoim życiu. W obu wersjach życia.

Już sama jazda z Kolonii do Münster spełniła moje oczekiwania. Mathias najwyraźniej odespał i w pełni odreagował zespół nagłej zmiany strefy czasowej. Podczas drogi ani razu nie ziewnął. Przez cały czas był wesoły i uważny. Nawet nie mrugnął, gdy niby mimochodem zapytałam go, czy zna się na symbolice snów i czy wie, co mogą oznaczać wygolone brwi (nie wiedział). Było nam dobrze ze sobą i świetnie nam się rozmawiało.

W miarę zbliżania się do Münster mój niepokój rósł, co nie uszło uwagi Mathiasa, który w pewnym momencie zaproponował, że weźmie mnie za rękę. Niestety, zmuszona byłam odmówić. Wydawało mi się, że tak będzie lepiej w sytuacji, gdy w pełni wykorzystywał wszystkie konie mechaniczne swojego samochodu, których było co najmniej o sto więcej niż w moim (a przy tym w jego aucie nie słyszało się żadnych dziwnych odgłosów, które pojawiają się zazwyczaj po przekroczeniu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę).

Ponownie zagrały organy, co sprawiło, że siedząca po mojej drugiej stronie KOSZMARNY CIOTKA głośno pociągnęła nosem. Podałam jej

chusteczkę. Zdawałam sobie sprawę, że płacze nie ze wzruszenia, lecz z mojego powodu. Naprawdę nie było mi łatwo wziąć ją na stronę i powiedzieć parę słów prawdy. Ale koniec końców było to lepsze od zniszczenia sobie torebki w kształcie mandaryńskiej kaczki brzoskwiniami, względnie zgniłymi jajkami.

– Ale przecież chciałam im zrobić niespodziankę – broniła się KOSZMARNĄ CIOTKĄ w czerwonej chustce zawiązanej na ufarbowanych na czarno lokach, ubrana – specjalnie na tę okazję – na czarno i czerwono, w stylu Carmen. W zasadzie brakowało jej tylko kastanietów. No cóż, może z tą jeszcze różnicą, że prawdziwa Carmen nie nosiła siatkowych pończoch i nie malowała ust wściekle czerwoną pomadką. To, co z siebie zrobiła, bardziej przypominało tancerkę go-go niż słynną Cyganekę. – A konkretnie miał to być mój prezent ślubny dla obojga. Nie mam nic więcej.

Przecież doskonale o tym wiemy, stare skąpiradło.

– Zasadniczo to sympatyczny pomysł – zapewniłam ją. *Ale jedynie w przypadku, gdybyś naprawdę umiała śpiewać.* – Tylko że Friedlinde zaangażowała flecistkę i gitarzystkę ze szkoły muzycznej.

– Ale to mi w niczym nie przeszkadza – oznajmiła ciotka. Jej czerwono-czarna poliestrowa bluzka tak się naelektryzowała, że zauważyłam przeskakujące drobne iskierki. – To potrwa tylko pięć minut.

Uwierz mi, że to i tak o całe pięć minut za długo, gdy człowiek jest zmuszony słuchać czegoś, co przypomina beczenie zarzynanego barana.

– Wiem, że masz dobre intencje – westchnęłam. – Uważam jednak, że muzykowanie trzeba pozostawić tym, którzy coś z tego rozumieją.

– W takim razie jesteś naprawdę ostatnią osobą, która wie, co mówi! – zauważyła złośliwie. – Przez rok brałam lekcje śpiewu. A ty co, panno Wazniaczko? Kto ci dał prawo, żeby się tu szarogęścić?

Mów prawdę, ale rób to w miły sposób.

Emily Dickinson

W porządku. W takim razie koniec z uprzejmością. Przywołałam wspomnienia tego wszystkiego, co koszmarna ciotka narobiła i co jeszcze narobi², jak również tego, że gdy byłam mała, zawsze nazywała mnie „mopsią mordą”, co pomogło mi się odpowiednio nakręcić. Głosem, który mnie samą przyprowadził o ciarki, powiedziałam:

– Oświadczam ci: nie będziesz śpiewać! Jeśli mimo to spróbujesz, wówczas zrobię takie piekło, że popamiętasz je do końca życia. Nie zapominaj, że wiem, ile naprawdę masz lat. A także kto podmienił ciotce Eryce krem do rąk na krem do depilacji. Czy zrozumialiśmy się?

I proszę – poskutkowało. Ciotka sprawiała wrażenie, jakby obleciał ją strach. Mimo to dla pewności usiadłam obok niej. Udało mi się postawić na swoim! Podczas mszy nie rozbrzmiał z jej ust ani jeden najcichszy nawet ton *Ave Maria*. Udało się!

Po wyjściu z kościoła znowu zaczęłam płakać. Tym razem były to łzy ulgi. Co prawda ciotka będzie pałać do mnie nienawiścią do końca życia, ale miałam to gdzieś.

Deszcz zachował się na tyle miło, że ustał na pół godziny (co wyjątkowo nie było moją zasługą), dokładnie na czas potrzebny do zrobienia ślubnych zdjęć na schodach kościoła. W tej sytuacji można było mieć uzasadnioną nadzieję, że wyjdziemy lepiej na zdjęciach niż poprzednim razem. Przynajmniej Ewa nie zmarznie na kość w sukience pod szyję i z długim rękawem (czy wspominałam już, jak bardzo młodo i na jakich szczęśliwych wyglądali razem z Robertem?). Należy nadmienić, że tym razem żaden gołąb nie zafajdał nikomu garnituru i żadna dziewczynka sypiąca kwiatki nie dostała ataku hysterii przypominającego scenę z *Ptaków* Hitchcocka. Jedyne Friedlinde miała nieco skwaszoną minę. Za to ja wręcz promieniałam z radości, tym bardziej że Mathias przez cały czas trzymał mnie za rękę.

W czasie jazdy przygotowałam Mathiasa na spotkanie z moimi krewnymi na tyle, na ile to było możliwe. Przy okazji dowiedziałam się, że jego rodzina nie jest ani trochę lepsza (w co nie mogłam uwierzyć i czego mu nie życzyłam; zresztą takiej rodziny jak moja nie życzyłabym nawet najgorszemu wrogowi). Rzecz jasna każdy przyglądał mu się z ciekawością i zasypywał niekończącymi się pytaniami („Czy mógłby się zająć również małą Kati?” – zapytała babcia).

Na parkingu nadzialiśmy się na wuja Eberharda, który złapał mnie za ramię.

– Dobra robota, staruszko! – ryknął. – Twój łup jeździ naprawdę kosztowną bryką!

Mathias zareagował na ten okrzyk całkowitą obojętnością. Nawet nie drgnęła mu powieka, gdy wuj dodał:

– A już się zaczynałem martwić, że nikogo nie złapiesz! Teraz, po Adamie Riese, jesteś następna w kolejce do ołtarza!

Nawet KOSZMARNY CIOTKA nie była w stanie popsuć mi nastroju, gdy przechodząc obok, położyła dłoń na pośladku Mathiasa i odrzucając włosy do tyłu, puściła mu oko (do mnie zaś syknęła: „Przekonasz się sama, co z tego będziesz miała, mopsia mordko!”).

Dopiero gdy mama przywitała go słowami „Ach, to pan jest tym meteorologiem!”, obejmując go serdecznie i szepcząc do ucha: „Bardzo, bardzo dziękuję za tajne informacje o pogodzie, które oczywiście zachowamy w tajemnicy!”, na twarzy Mathiasa pojawiło się zdziwienie. Chętnie bym mu wyjaśniła to nieporozumienie, ale nagle przypomniałam sobie, że zapomniałam o...

– Psiakrew! – wyrwało mi się, skutkiem czego wszyscy spojrzeli na mnie zaskoczeni.

...o kałuży tuż przed nami, w którą Anton, wuj Roberta, z rozmachem skierował swojego mercedesa, podobnie jak wtedy obryzgując brudną wodą z błotem sukienkę mamy i garnitur wuja Eberharda, który wyglądał niczym ciasto posypane obficie kruszonką. Mój treniczek również ucierpiał i nie nadawał się do włożenia. Na czole miałam ogromną brązową plamę. A KOSZMARNY CIOTKA?

Ta wybuchnęła perlistym śmiechem, zupełnie niepasującym do sytuacji.

Szczęście to w gruncie rzeczy nic innego jak
odwaga, żeby żyć w warunkach, na które nie mamy
wpływu.
Maurice Barrès

– Ratunku! Pomocy, on się dusi! – krzyczał ktoś przeraźliwie.

Na moment ogarnęło mnie takie przerażenie, że nie byłam w stanie wykonać żadnego ruchu.

Twarz Antona, wuja Roberta, najpierw poczerwieniała, po czym przybrała kolor dojrzałej śliwki węgierki.

O mój Boże. Znowu coś spaprałam. Mój przyjaciel los ponownie dał mi łupnia. A byłam taka pewna, że udało mi się go przechytryć, gdy z menu weselnego przezornie wyeliminowałam ryby.

Fakt, że wszystko idzie jak po maśle, powinien mi dać do myślenia. A nawet zaniepokoić. No dobrze, pomijam tę wpadkę z kałużą. Ale przecież nie było aż tak źle, gdyż zarówno matka, jak i wuj Eberhard mieszkali na tyle blisko, że mogli pojechać się przebrać. Natomiast mojej sukience nic się nie stało, gdyż całe błoto zatrzymało się na płaszczu.

Nastrój był doskonały. Rozsądzenie gości przy stole perfekcyjne. Jedzenie cudowne. Muzyka wspaniała. Dekoracja znakomita, prawdziwa uczta dla oczu... A Mathias siedzący obok mnie był ukoronowaniem wszystkiego. Rozmawiał uprzejmie i miło z innymi gośćmi, a w przerwach patrzyliśmy sobie w oczy zakochanym wzrokiem.

Teraz jednak musiałam się skupić na kuzynie Bertramie (jak dotąd wszystko było w najlepszym porządku). Nie powinnam także spuszczać oczu z KOSZMARNEJ CIOTKI (popijającej jedno piwo za drugim w takim tempie, że pomyślałam, że z pewnością upiłaby się w trupa, gdybym jej nie podsunęła bezalkoholowego pilsa, o czym nie wiedziała! Prawda, że genialne?!). Ewa i Robert promienieli szczęściem i ilekroć na nich patrzyłam, rosło moje zadowolenie z siebie. Było dokładnie tak, jak być powinno.

Mowa wygłoszona wspólnie przez oboje świadków – najlepszą przyjaciółkę Ewy Anke i starego przyjaciela Roberta Ercana – była jak poprzednio dowcipna i zarazem wzruszająca, z tą tylko różnicą, że tym

razem pani Luchsenbichler nie była w stanie przerywać jej wtrąceniami typu „Nie do wiary, jak urósł ten turecki bękart!”, co zaoszczędziło wszystkim zażenowania i wstydu.

Tort weselny był prawdziwą poezją. A za pół godziny, gdy niebo się trochę wypogodzi, miały zostać puszczone balony. Fotograf zaś miał okazję do zrobienia całego mnóstwa udanych zdjęć.

Gdy teść Ewy podniósł się z miejsca, by wygłosić mowę ilustrowaną prezentacją w PowerPoint, wygodnie rozparłam się na krześle. Moje wskazówki dotyczące jego wystąpienia były tak proste, że zrozumiałby je nawet idiota: nie dłużej niż dziesięć minut (ostatnim razem mój ojciec wymknął się cichaczem po czterdziestu pięciu minutach i wyłączył główny bezpiecznik), ani słowa na temat polowań (patrz na zdjęcie pokazujące Roberta patroszącego ojca sarenki Bambi – „Pierwszy kozioł Roberta, czysty strzał w łopatkę, gdy chłopak miał zaledwie czternaście lat! Byłem z niego taki dumny!” – większość gości poczuła, jak żołądek z całą zawartością podnosi im się do gardła i jak ich ogarniają mdłości, Ewa zaś zaczęła się poważnie zastanawiać, czy Robert był naprawdę taki, za jakiego miała go do tej pory), jak również na temat alpinizmu (chińska tortura wodna należy do przeszłości, dziś po niespełna kwadransie ludzie pozwolą na wszystko, byle tylko przestać ich maltretować zdjęciami, na których widać było głównie Roberta w skórzanych spodniach na tle krzyża na szczycie góry), wędkowania (patrz polowania, z tym że jeszcze gorzej, gdyż rybie wnętrzności są znacznie obrzydliwsze od sarnich) oraz lokalnej polityki (teść kandydował do rady miejskiej i jego ówczesne wystąpienie przybrało charakter swojego rodzaju agitacji na rzecz budowy nowej obwodnicy).

Jeśli chodzi o Friedlinde, nie byłam tak obcesowa i dosadna jak w przypadku KOSZMARNEJ CIOTKI, mimo to jej małżonek trzymał się ustalonych przeze mnie reguł. Jasne, że jego mowa nie była fajerwerkiem intelektu i dowcipu, ale pod kreską dało się wytrzymać. Momentami był nawet wzruszający. Przynajmniej dla mnie. Gdy patrzyłam na zdjęcie malutkiego nagiego Roberta na niedźwiedziej skórze, napłynęły mi łzy do oczu, gdyż wyglądał dokładnie jak mały Henri.

I wówczas się stało: wuj Anton tak się zadławił, że groziło mu uduszenie. Ostatnim razem powodem była ość, która stanęła mu w poprzek w gardle podczas wystąpienia pani Luchsenbichler. Wówczas jedynie Felix zachował

zimną krew i uratował go przed uduszeniem (połowa filetu z turbota wylądowała na łonie mojej babci. I choć już wówczas Felix nie był mi całkiem obojętny, tamtego wieczoru definitywnie się w nim zakochałam. I to jak!).

Ale tym razem Felixa nie było. I to wyłącznie przeze mnie. Gdyby wuj Anton w dniu dzisiejszym wyzionął ducha, miałabym go na sumieniu. Do tego przerwano by wesele. Zanim ta myśl do końca uformowała się w mojej głowie, zerwałam się z miejsca. Błyskawicznie znalazłam się u boku wuja Antona, który stał pochylony nad swoim talerzem, kurczowo trzymając się obiema rękami krawędzi stołu. Jego twarz przybrała tymczasem siny odcień. Jego żona stała obok, bezradnie poklepując nieszczęśnika po plecach i powtarzając bezużyteczne zdanie: „Anton! No, zacznij wreszcie oddychać!”. Zdecydowanym ruchem odsunęłam ją na bok i obiema rękami objęłam jego brzuch, ściskając tak mocno, jak tylko potrafiłam. Nagle rozległ się dziwny odgłos i po chwili coś przeleciało przez stół w kierunku mojej babci, wpadając prosto do jej dekoltu. Jak się później okazało, był to kandyzowany orzech włoski. Najwidoczniej los nie był zbyt pedantyczny, jeśli chodzi o wybór rzeczy, którymi można się zadławić.

Tymczasem wuj Anton, chwytając powietrze niczym ryba wyciągnięta z wody, na wpół omdlały opadł z ulgą na krzesło swojej małżonki.

No, mało brakowało.

Wszyscy zaczęli bić brawo. Stałam się główną bohaterką wieczoru. W duchu dziękowałam Bogu, że tak dokładnie przestudiowałam w Internecie chwyt Heimlicha (na wszelki wypadek).

Mathias uśmiechnął się, gdy do niego podeszłam.

– Uuuuuu! Nigdy nie sądziłem, że możesz być jeszcze cudowniejsza. To było naprawdę imponujące... – Pochylił się i mnie pocałował. – Dziękuję ci, że mogę tu być. To naprawdę fantastyczna pierwsza randka.

Miał całkowitą rację! To była fantastyczna pierwsza randka i fantastyczne wesele. Wszystko, co było nie tak, nagle się rozmyło, odchodząc w niepamięć. Można powiedzieć, że zostało umorzone.

A będzie jeszcze lepiej.

Za piętnaście dziesiąta kuzyn Bertram nagle zniknął, pomimo że miałam go cały czas na oku. Po krótkich poszukiwaniach znalazłam go na tarasie. Zatopiony w myślach międlął srebrną paczuszkę z folii aluminiowej, głęboko wzdychając. W tym momencie zrobiło mi się go żal. W zasadzie wcale nie

chodziło mi o to, by uniemożliwić mu odlot. Chciałam jedynie, by nie popsuł tej uroczystości i po naćpaniu się nie zaczął wykrzykiwać: „Okropna rodzinko! Kołtuny jedne! Hipokryci! Posłuchajcie, co mam wam do powiedzenia, wy heteroseksualne dupki!”.

Myśli nie mają granic. Można myśleć, co się chce
i gdzie się chce.

Ernst Jandl

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

– Tak – potwierdził, ponownie wzdychając. – Nie, w zasadzie nie. Wiesz, coś na dziś zaplanowałem, ale obawiam się, że nie będę w stanie tego zrobić. Nie dam rady. To znaczy, nie chcę im zrujnować tego wieczoru.

Ostrożnie położyłam dłoń na jego ramieniu.

– Och, Bertramie! Masz trzydzieści jeden lat. Jak długo masz jeszcze zamiar czekać, żeby powiedzieć swoim rodzicom coś, o czym od dawna wiedzą?

– Cooo? – Bertram spojrzał na mnie zaskoczony.

– No cóż. Od lat przypuszczają, że jesteś gejem, ale nie mają odwagi poruszyć tego tematu... Jeśli zrobisz pierwszy krok, bardzo im pomożesz. Naprawdę. Zobaczysz, że przyjmą to znacznie lepiej, niż sądzisz. – Uśmiechnęłam się do niego, by dodać mu otuchy. – Wiesz co? Zakładam się o tysiąc euro, że kiedy za rok czy dwa lata poznasz Pete... eeee... mężczyznę swego życia, z pewnością go polubią i zaakceptują. – *I nie tylko. Pokochają Petera nawet bardziej niż ciebie. Podobnie jak my. Ty zaś będziesz zazdrosny. Będziesz się o to wściekał, rozwydrzony mały Bertramie* – dodałam w myślach.

Zdziwiony Bertram wciąż gapił się na mnie.

– To że... Od kiedy o mnie wiesz?

Od czasu, jak oznajmiłeś to wszem wobec na poprzednim – to znaczy na tym – ślubie Ewy. Ale tak naprawdę domyślałam się tego, gdy ćwiczyłeś ze mną pocałunki.

– Od jakichś pięciu lat – powiedziałam szczerze.

– Naprawdę? – Bertram potrząsnął głową. – A ja sądziłem, że wszyscy zdębieją z wrażenia, gdy się dowiedzą. – Pokazał mi paczuszkę, którą trzymał w dłoni. – I żeby im o tym powiedzieć, zaopatrzyłem się w odpowiednie wsparcie.

– W folię aluminiową?

– Bzdura. To czysty haszysz z kawiarni w Amsterdamie. Chciałem sobie dodać odwagi.

Wyjęłam mu paczuszkę z ręki.

– To ci zupełnie niepotrzebne, Bertramie. Wejźdź zwyczajnie do środka i poszukaj jakiegoś spokojnego kąta, w którym mógłbyś porozmawiać z rodzicami.

I trzymaj się z daleka od mikrofonu.

I co mam powiedzieć? Dziesięć minut później zobaczyłam go w objęciach rodziców. A gdy się do mnie uśmiechnął, zrobiło mi się ciepło wokół serca. Byłam z siebie dumna. *I znowu Future Woman zrobiła co trzeba, by uszczęśliwić rodzinę i zapobiec skandalowi...* Orkiestra grała właśnie *Somewhere Over the Rainbow*, co doskonale pasowało do mojego nastroju i chwili.

Obok mnie przemknęli Ewa z Robertem, spleceni w ciasnym uścisku. Ojciec tańczył z Friedlinde. Mama z wujem Antonem. KOSZMARNY CIOTKA płażała samotnie po parkiecie. Cygańska bluzka w stylu Carmen zsunęła jej się z ramion. Poruszała się kusząco, próbując zwrócić na siebie uwagę Emila (lub Javiera, zresztą było jej wszystko jedno, którego z nich). Chwała Bogu (i mnie), że przez cały czas była zbyt trzeźwa, by zachowywać się nieodpowiednio.

– *Javier i jego zespół grają fantastycznie – napisałam gdzieś koło północy do Marlene. – Wszystkie panie są nimi zachwycone. Podobnie jak kuzyn Bertram. Wszyscy tańczą tango argentyńskie. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!*

To była szczerza prawda. W każdym razie byłaby, gdyby wreszcie udało mi się jakoś załatwić tę wkurzającą sprawę Felixa, Lillian i Gereona. Ta historia cały czas nie dawała mi spokoju, pomimo że będąc w kościele, postanowiłam skupić się wyłącznie na Mathiasie. Ale nawet tu, na parkiecie, w jego ramionach, nie potrafiłam przestać o tym myśleć. Nawet wówczas, gdy wirował ze mną w tańcu i mnie całował. Prawdę mówiąc, zwłaszcza gdy mnie całował. Być może dokładnie w tym momencie Felix całował zdradzieckie usta Lillian? Podczas gdy ona myślała o Gereonie i w duchu porównywała ich obu. Biedny, biedny Felix, na dobre i złe zdany na pastwę tych obojga drani bezwstydnie wykorzystujących jego łatwowierność i...

Czas wszystko zmienia.

– Wszystko w porządku? – Z zamyślenia wyrwał mnie głos Mathiasa.

– Tak, tak. W jak najlepszym. Jestem tylko trochę zmęczona – zapewniłam, przekazując go siostrze na następny taniec, podczas gdy sama skierowałam się w stronę zajmowanego przez nas stolika. Co się ze mną działo? Wreszcie byłam z najcudowniejszym mężczyzną pod słońcem – niesamowicie przystojnym, seksownym, dowcipnym, szarmanckim – i zamiast rozkoszować się tym faktem, zwracałam sobie głowę problemami innych! Przypuszczalnie wszystkiemu winien był głód. Potrzebowałam czegoś na ząb. Jednak wszystko już zostało zjedzone aż do ostatniego kęsa. Ostatni kawałek weselnego tortu, ozdobiony małą biedronką, zniknął właśnie w ustach wuja Eberharda.

Okazało się, że nie ja jedna szukałam czegoś, co nadawałoby się do zjedzenia. Gdy wróciłam na swoje miejsce, znalazłam małą dziewczynkę, która sypała kwiaty – córkę Frederike, drugiej najlepszej przyjaciółki Ewy – zajętą odwijaniem aluminiowej folii z paczuski skonfiskowanej Bertramowi.

Momentalnie ożyłam.

– Stopppppp! – krzyknęłam. W samą porę, gdyż mała zamierzała właśnie wpakować sobie zawartość paczuski do ust. W sekundzie znalazłam się przy niej, złapałam za nadgarstek i strząsnęłam kusząco pachnącą czekoladą ciasteczko na blat stołu. Ufff, w samą porę.

Dziewczynka spojrzała na mnie, szeroko otwierając oczy. Jej dolna warga drżała.

– To moje! – stwierdziłam stanowczo.

– Ale... – ponownie sięgnęła po paczuszkę – jeszcze nie jadłam deseru. A najbardziej lubię czekoladowe ciastka.

Nagłym ruchem ponownie zamierzała wepchnąć sobie rzekome ciasteczko do ust.

– Niiieee! – Tym razem trzepnęłam ją po palcach, na co naturalnie wybuchnęła płaczem. Przypuszczalnie też bym się rozbeczała, będąc na jej miejscu. Doskonale pamiętam przerażenie na poprzednim ślubie, którego powodem był gołąb. – W kieszeni płaszcza mam cukierki od kaszlu – desperacko próbowałam odwrócić jej uwagę – które smakują dużo lepiej od tego głupiego ciasteczka.

Nie pomogło. Mała tego, zaczęła ryczeć jeszcze głośniej, co zwróciło uwagę jej matki. Również Friedlinde wstała od stołu i pośpieszyła w naszą stronę. Odniosłam wrażenie, że nagle wszyscy zaczęli się nami interesować. W tym momencie zrobiłam coś wyjątkowo głupiego: złapałam haszyszowe ciasteczko i błyskawicznie wepchnęłam je sobie do ust, aluminiową zaś folię zgmiotłam w kulkę. Gdy matka dziecka i Friedlinde dotarły do nas, po *corpus delicti* nic już nie pozostało. Żując, a następnie łykając to paskudztwo (piekielnie dobre, jak się okazało, o wyraźnym smaku czekolady; a może wcale nie było w nim żadnego haszyszu?), starłam okruchy z ust, srebrną zaś kulkę rzuciłam dyskretnie pod stół.

– Ta pani nie chce mi dać! – wrzeszczała dziewczynka, pokazując na mnie palcem. – I mnie zbiła!

Mała skarżypyta. Może powinnam była dać jej po prostu to przekłete „ciasteczko”... W każdym razie wyglądało na to, że Friedlinde uwierzyła małej.

Przybrałam najbardziej niewinną minę, na jaką mnie było stać.

– Och, och, jest taka zmęczona, że aż ma przywidzenia. Wydaje mi się, że mała myszka wzięła moją tabletkę od bólu głowy za cukierka.

– To wcale nie były cukierki, tylko ciastko czekoladowe. Było moje, bo *sama* je znalazłam – darł się mały wyjec. – A *ona* wsadziła je sobie do buzi i zjadła!

Rzeczywiście! Ale tylko po to, żeby ochronić cię przed szkodliwym działaniem substancji zaburzającej stan świadomości, ty mała wściekła bestio!

O mój Boże! Nagle dotarło do mnie, co najlepszego narobiłam! Czy do reszty zwariowałam? Ogarnęła mnie panika, którą próbowałam ukryć, siłąc się na wyrozumiały uśmiech.

Moje doświadczenie z narkotykami było zerowe. Tylko raz w życiu zapaliłam skręta. Już po pierwszym zaciągnięciu się dostałam potwornego ataku kaszlu i na tym się skończyło. Nerwowo zaczęłam się rozglądać za kuzynem Bertramem. Po jakim czasie to cholerstwo zacznie działać? A może przedawkowałam? A może teraz dla odmiany ja złapię mikrofon i zacznę się wydzierać wniebogłosy: „Okropna rodzinko! Kołtuny jedne! Hipokryci! Posłuchajcie, co ma wam do powiedzenia *Future Woman*, wy heteroseksualne dupki!”? Boże, co Mathias sobie o mnie pomyśli?

– Przepraszam, ale muszę szybko pójść do toalety.

Z wyrozumiałym uśmiechem na ustach minęłam Friedlinde, a następnie

w pośpiechu opuściłam salę. Wyglądało na to, że najfajniejsza część wieczoru już się skończyła. Przynajmniej dla mnie.

Najdroższy, kochany Felixie!

Gdybyś miał być kolorem, byłbyś z pewnością brązem. Ciepłym, czekoladowym, solidnym, przytulnym brązem. A czasami żółcią. Promienną, słoneczną i radosną. Wówczas gdy na plaży rzucasz obcym psom patyki. Ja sama jestem jaskrawym pomarańczem, co mnie, szczerze powiedziawszy, zdziwiło, gdyż uważam się raczej za przytłumioną szarość z domieszką niebieskiego. Albo butelkową zieleń.

Niewiarygodna sprawa z tymi kolorami! Chciałabym, żebyś mógł je zobaczyć. Są wszędzie! Takie piękne. Wszystko jest piękne. Wokół mnie wyrastają kolorowe myśli, które gdy tylko przyjdzie mi ochota, mogę zbierać niczym kwiaty.

– Czy ma pani może znaczki pocztowe, młoda, pryszczata, ale też bardzo ładna panienko? – zapytałam młodą, pryszczatą, ale też bardzo ładną dziewczynę z recepcji, która gdyby miała być kolorem, byłaby z pewnością turkusem...

– Na kartkę czy na list? – Wlepiała we mnie zdziwiony wzrok.

– Na list – odpowiedziałam, pochylając się konfidencjonalnie w jej stronę.

– Wie pani, właśnie cudownie się kochałam. To było najcudowniejsze w całym moim życiu. Teraz już poznałam cały sekret i wiem, w czym rzecz. To jest takie... proste! Każdy powinien go znać. Jeśli pani chce, mogę go pani zdradzić, gdy wrócę. – Mówiąc to, radośnie wykręciłam piruet. – Ale najpierw muszę wysłać list do męża. Mojego męża. Czy byłaby pani uprzejma doliczyć znaczek do rachunku? I butelkę wody mineralnej. Wypiłam wszystko z minibaru, gdyż czułam suchość w ustach. Bardzo dziękuję! Do rychłego zobaczenia! Bardzo panią lu-lu-bię!

Nigdy nie zachęcałbym nikogo do seksu,
narkotyków czy niedorzeczności, choć w moim
przypadku wszystko to zawsze zdawało egzamin.

Hunter S. Thompson

Lubiłam wszystko i wszystkich bez wyjątku. Lubiłam cały świat. Błyszczące marmurowe płyty w hotelowym hallu. Zabawne drzwi obrotowe. Wspaniałe, orzeźwiające powietrze. Czarodziejskie światło świtu. Mokry asfalt pod bosymi stopami. Mżawkę osiadającą mi na twarzy. I uroczą żółtą skrzynkę pocztową! Ją też lubiłam. Skrzynkę, która z cichym stuknięciem połknęła mój list do Felixa. Widok żółtej klapki kołyszącej się w przód i w tył

tak mnie rozbawił, że roześmiałam się w głos.

Wróciłam do hotelu, podskakując na chodniku niczym mała dziewczynka, podśpiewując i chichocząc jak szalona. Dokładnie rzecz biorąc, to nie ja nuciłam i chichotałam, lecz coś w środku mnie, zupełnie bez mojego udziału. To było wspaniałe. A więc musiałam się zestarzeć, by poczuć się lekko, zwiewnie i swobodnie. I to zaledwie po jednym cukiereczku, który można kupić zupełnie legalnie w sąsiednim kraju za głupie trzy i pół euro. Już dawno temu należało tego spróbować!

Jeśli kończąc czterdziestkę, nie jest się narkomanem, to już się nim nie będzie.

Sting

Weszłam energicznie w obrotowe drzwi, które tak mnie zachwyciły, że poobracałam się w środku, wykonując dwie pełne rundki. I to jakie! Czułam się jak na karuzeli!!! Ach! Życie było takie piękne. Wspaniałe, roziskrzone misterium miliona szans, misterna płatanina niezliczonych możliwości, rozpościerających się przede mną niczym otwarta księga. Trudność polegała jedynie na zebraniu myśli, rozkołysanych wiatrem niczym tęczowe kłosa pszeniczne na polu. Czasami nawet udawało mi się chwycić pojedyncze źdźbło, ale gdy się przyjrzałam, okazywało się, że to nie to, o które wcześniej chodziło. Lecz to i tak było zupełnie bez znaczenia, gdyż pojęłam główne przesłanie: Dopóty wszystko jest jak należy, dopóki się kocha. I to nie tylko wszystko i wszystkich, lecz głównie siebie samego! Właśnie tak. To było banalnie proste i zarazem genialne.

Po powrocie do hotelu nie zastałam już młodej, pryszczatej, ale też bardzo ładnej dziewczyny. Nie mogąc zdradzić jej mojej tajemnicy, zadowolłam się butelką wody mineralnej, którą znalazłam na kontuarze recepcji. Wróciłam do pokoju. Mathias spał snem sprawiedliwego. Wyglądał jak anioł. Gdyby miał być kolorem, byłby z pewnością czystym królewskim błękitem. Nieopisanie pięknym błękitem. O Boże, jak bardzo go kochałam! Chichocząc ze szczęścia, wskoczyłam do łóżka pod kołdrę, przytuliłam się do niego i zamknęłam oczy.

Byłoby mi trochę żal, gdybym teraz musiała umrzeć, ale też nie byłby to żaden szczególny dramat. Moje życie było w spełnione i dokładnie takie, jakie powinno być. Z wyjątkiem tej suchości w ustach. Wszystko, naprawdę

wszystko było w absolutnym porządku. Nawet sprawa Felixa, z którą się uporałam. Teraz decyzja, jak wykorzystasz moją informację i co zrobisz, należała wyłącznie do niego.

Choć jest czwarta nad ranem, wcale nie chce mi się spać. Jestem pełna energii, gdyż zjadłam haszyszowe ciasteczko kuzyna Bertrama. Próbowałam je zwrócić w toalecie, ale nic z tego nie wyszło. Nie mam pojęcia, jak ludziom się udaje wepchnąć sobie palec do gardła niemal po żołądek.

Byłam kompletnie załamana, gdyż za sprawą jednego odruchowo połkniętego halucynogenu zrujnowałam piękny, romantyczny weekend, o którym marzyłam od dawna.

– Musimy się stąd ulotnić! – oznajmiłam Mathiasowi po tym, jak moje próby pozbycia się z organizmu tego świństwa spaliły na panewce. W moim głosie wyraźnie słychać było panikę, której nie potrafiłam ukryć. Wlokąc go z parkietu, omal się nie popłakałam. – Przez przypadek zjadłam tabletkę haszyszu, która lada chwila zacznie działać. Bertram twierdzi, że każdy inaczej reaguje na narkotyki i że w tym przypadku połówka w zupełności by wystarczyła. Nie mam pojęcia, jak będzie w moim przypadku. Może będę miała napad paranoi i wszędzie będę widziała wiewiórki!

Nawet jeśli Mathias nie od razu pojął, jak można ot tak sobie połknąć ciacho nafaszerowane haszyszem, to i tak okazał się niezwykle pomocny. Pożegnaliśmy się, jak należy. Mathias zachował się jak zwykle bardzo elegancko, gdyż wyjaśnił, że powodem naszego niezaplanowanego wcześniejszego wyjścia jest zespół nagłej zmiany strefy czasowej, który wciąż jeszcze daje mu się we znaki.

Dręczyło mnie sumienie, że zmuszona jestem wyjść przed końcem, zostawiając KOSZMARNĄ CIOTKĘ. Ale gdybym została, to zapewne wywołałabym jakiś skandal, do czego przecież w żadnym razie nie mogłam dopuścić.

Gdy jechaliśmy do hotelu, Mathias próbował mnie uspokoić.

– Po zażyciu marihuany większość ludzi zazwyczaj czuje odprężenie, a potem zmęczenie. W najlepszym przypadku przez cały czas będzie ci wesoło i będziesz się śmiać jak głupi do sera. W najgorszym ogarnie cię melancholia i będzie ci smutno. Ale nie masz się czym przejmować, bo przecież jestem przy tobie.

Byłam niepokieszona.

– Nie tak to sobie wyobrażałam – biadoliłam, podczas gdy Mathias śmiał się, wyraźnie ubawiony całą sytuacją.

Pokój w hotelu wcale nie był najgorszy, jeśli wziąć pod uwagę, że był ostatnim wolnym pokojem w całej okolicy i że moja karta kredytowa mogła dać plamę. Ledwie weszłam do marmurowej łazienki, by wyczyścić zęby i się przebrać, poczułam działanie narkotyku. Na początku wystąpiły efekty wizualne: lustro zaczęło nagle wyglądać jak wrota do innego świata, a halogeny ruszyły w taniec. A potem – nagły błysk – rozwarł się horyzont i moją świadomość wypełnił wszechświat, uwalniając wszystkie synapsy w mózgu, które do tej pory pozostawały w uśpieniu i których nigdy jeszcze nie wykorzystywałam.

Natomiast wyłączyło się całe mnóstwo innych rzeczy. Na przykład zdolność zatrzymania w głowie konkretnej myśli bez konieczności wypowiedzenia jej na głos.

Podeksytowana tymi całkowicie dla mnie nowymi zjawiskami gwałtownie otworzyłam drzwi łazienki.

– Ten oberwaniec to nie był Jezus – rzuciłam Mathiasowi w twarz. – Gdyby był Jezusem, nie napędzałby ludziom stracha gadaniem o końcu świata! Strach jest przecież bezproduktywny i rujnuje nasze życie. Zawsze się wszystkiego bałam. Na przykład że będę niesympatyczna, niedobra, brzydka i nie dość mądra. Żyłam w strachu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! To było nie do wytrzymania. A przecież byłam miła i sympatyczna. I ładna. I do tego wystarczająco mądra! – Powędrowałam za jego spojrzeniem i mój wzrok zatrzymał się na dolnych partiach mego ciała. Miałam na sobie jedynie majtki, lecz nie miało to najmniejszego znaczenia, gdyż byłam piękna! Piękna i godna pożądania od stóp aż po czubek głowy. Po raz pierwszy w życiu stałam nago przed mężczyzną, nie wciągając brzucha. A nawet gdybym miała brzuch, to też bym go nie wciągała. – Wszyscy jesteśmy wystarczająco dobrzy! Albo możemy się tacy stać, jeśli wreszcie przestaniemy się bać. Prawda, że to niewiarygodne?

Mathias jedynie skinął głową i zrobił krok w moją stronę, by mnie wziąć w ramiona.

– Tak, rzeczywiście niewiarygodne – wymamrotał w moje włosy.

– Jak ładnie pachniesz! Czy zdajesz sobie sprawę, ile motyli lata w moim

brzuchu, odkąd cię poznałam? – zapytałam. – I że już od tygodni chcę ci powiedzieć, że masz najpiękniejsze oczy na świecie? Że są równie piękne jak przejrzyste górskie jeziora albo jak szafiry i opale, albo jak zatoki morskie na Karaibach i aksamitne zasłony ciotki Eriki? Nie miałam odwagi ci tego powiedzieć, bo brzmi to strasznie kiczowato i bałam się, że się zbłążnię. A najbardziej się boję, że nie będę miała pozytywnego wpływu na ludzi. Przy czym to wszystko jedno, gdyż ludzie i tak sądzą, co chcą. Ale żeby na to wpaść, musiałam się naćpać i teraz nie potrafię się powstrzymać od gadania. To trochę głupie i samej mi to przeszkadza. Ale gdy tylko zamykam usta, czuję potrzebę natychmiastowego ich otwarcia, by wypowiedzieć nową myśl, która mi właśnie wpadła do głowy...

Mathias zrobił dokładnie to, co trzeba, bym wreszcie przestała paplać – pocałował mnie w usta. I nie przestawał mnie całować przez całą godzinę. A gdy na moment przerywał, zaczynałam mówić rzeczy, które najwyraźniej mu się podobały.

Uff! Papier już trzy razy zmienił kolor. Muszę obchodzić się z nim oszczędniej, bo zostały mi już tylko trzy kartki, a mam Ci jeszcze tyle do powiedzenia, Felixie! Przestań być niezawodnym, wiernym, godnym zaufania i zawsze gotowym pomóc innym kasztanowym brązem. Twoi rodzice mają mnóstwo pieniędzy i stać ich na wynajęcie rzemieślnika do napraw w domu letniskowym. A wydumanymi dolegliwościami przyjaciółek Twojej matki z klubu golfowego z powodzeniem mogą się zająć inni lekarze. Masz przecież wystarczająco dużo pracy ze swoimi pacjentami, o których wspaniale się troszczysz. I powinieneś mieć żonę, która będzie Cię kochać takim, jakim jesteś – kasztanowym brązem z rozczochranymi brwiami. Naprawdę! Jak mogłeś dać je sobie wydepilować? Przecież są takie urocze! Poślij Lillian do wszystkich diabłów. Przecież Cię zdradza z Gereonem. Zresztą jego też powinieneś posłać do wszystkich diabłów, bo to skończony drań. Tak, to szczerza prawda, choć mówię Ci o tym dopiero TERAZ, gdy kocham wszystko i kogoś, kto jest dla mnie tym jedynym jedynym. W żadnym wypadku nie daj się namówić Florianowi do kupienia na spółkę żaglówki. Nic z tego nie będziesz miał. Nawet nie będziesz mógł odliczyć sobie tego zakupu od podatku! Ale zgadnij, kto będzie poświęcał swój cenny urlop na naprawy tej łajby? Nooo właśnie, Felix. Lillian nie jest dla Ciebie właściwą partnerką. Potrzebujesz żony, przy której będziesz mógł rozkwitać słoneczną żółcią! Jesteś cudowny! Jesteś zdecydowanie najcudowniejszym człowiekiem, jakiego znam. Dlatego też zasługujesz na najlepsze! A na plaży powinieneś rzucać patyki własnemu

psu. I powinieneś mieć kota, który będzie Ci siedział na kolanach. Oraz dzieci, bo byłąś wspaniałym ojcem. Teraz chce mi się płakać. Ale wcale nie dlatego, że jest mi źle. Płaczę i śmieję się na przemian. Kocham cię, Felixie, i chciałabym, żebyś był szczęśliwy. I żebyś stał się słoneczną żółcią. Na zawsze Twój Osiołek.

Nikt nie jest w stanie ręczyć za działania innych.
Spock

– Daj spokój, Kati. No nie patrz tak żałośnie. Naprawdę nie masz powodu, żeby się wstydzić!

Mathias próbował unieść mój podbródek, ale nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Proszę, trzymaj obie ręce na kierownicy – powiedziałam cichutko.

Podobnie jak poprzednio pędził jak wariat. Niewiele brakowało, żebyśmy frunęli nad autostradą.

– Ach, Kati! Dziś w nocy powiedziałaś mnóstwo mądrych rzeczy, poczynając od tego, że niepotrzebnie się martwić, utrudniamy sobie życie, a kończąc na tym, co inni mogą sobie o nas pomyśleć.

O Jezu! I to nie wszystko, co plotłam. Niestety, pamiętałam dokładnie, co powiedziałam, jak również to, czego nie powiedziałam, ale za to wydyszałam. Ukryłam twarz w dłoniach.

– Przestań wreszcie! – powiedział. – Dzisiejszej nocy byłaś absolutnie zachwycająca! I bardzo, ale to bardzo seksowna! Przecież było nam świetnie ze sobą. Zapewniam cię, że twoje przypadkowo ujawnione Ja było cudowne! Jeśli tylko chcesz, połknę następnym razem takie ciacho i zobaczymy, co się wtedy stanie – zachichotał. – A może wspólnie założymy jakąś aśramę i będziemy rozdzielać kolory oraz przekazywać mądrości naszym cudownie prześlicznym chłopcom, którzy będą zrywać kwiaty w morzu myśli...

– Przestań. – Mimowolnie się roześmiałam. No dobra, może wcale nie było aż tak źle. Ostatecznie świadkami mojego psychodelicznego odlotu byli tylko Mathias i ta biedna pryszczata dziewczyna z recepcji. No i Felix... ale dopiero po otrzymaniu listu. A ponieważ dziś jest niedziela, skrzynkę opróżnią dopiero jutro z samego rana, co oznacza, że list nie dotrze do niego przed wtorkiem. Nawet nie próbowałam wydostać go ze skrzynki, wiedząc z doświadczenia, że to niemożliwe¹⁰.

– W tym tygodniu jestem, niestety, potwornie zajęty. Ale może poszłabyś ze mną w weekend na przyjęcie? – zapytał.

Skinęłam głową. Wydobędę ten przekłęty list w jakiś sposób, zanim trafi

do rąk Felixa...

– Na lotnisku spotkałem przyjaciela ze szkoły, którego nie widziałem od matury. – Mathias ponownie się roześmiał. – Teraz jest ginekologiem. Wygląda na to, że to bardzo lukratywna specjalizacja. W weekend robi parapetówkę w swoim nowym penthousie, którym chce się koniecznie pochwalić. Zawsze był pozerem i strasznym chwalipiętą. Ale pójdę tylko wtedy, jeśli wybierzesz się ze mną.

Potwornie się przeraziłam, słysząc słowa „przyjaciel ze szkoły”, a przy „ginekologu” zadrżałam jak osika. Przy „parapetówce” zaś i „penthousie” wyprostowałam się jakbym kij połknęła. Przecież już raz w przeszłości – a raczej w przyszłości – byłam na tym przyjęciu, na którym dowiedziałam się, że mój ginekolog był najlepszym przyjacielem Felixa.

To właśnie na tym przyjęciu po raz pierwszy nadałam Gereonowi przydomek „Powolna Śmierć”. Dlaczego właściwie wredny los chce mnie tam posłać po raz drugi? I czy taka zmiana reguł gry nie jest naruszeniem jego własnych zasad? Czyż Mathias nie powinien spotkać ponownie tego głupka Gereona dopiero w dwa tysiące jedenastym i dopiero wówczas pojawić się na przyjęciu z okazji jego czterdziestych urodzin, by mi zawrócić w głowie? Z drugiej strony to właśnie z mojego powodu wrócił z Chile wcześniej, niż zaplanował, co rzecz jasna wywróciło wszystko do góry nogami i pomieszało bieg zdarzeń...

Mathias westchnął, wykonując karkołomny manewr wyprzedzania, podczas którego na wszelki wypadek zamknęłam oczy.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak świetnie powodzi się lekarzom. Jeśli wierzyć Gereonowi (to ten przyjaciel ze szkoły), wystarczy pracować jedynie przez pół tygodnia, a resztę czasu można spędzać na ganianiu po polu golfowym i uprawianiu dowolnego hobby.

Co oznacza: trenowanie mięśni, uwodzenie kobiet, polerowanie łysiny, żeglowanie, kupowanie whisky na kretyńskich aukcjach, sypianie z partnerką najlepszego przyjaciela... Dobry Boże, muszę jakoś odzyskać ten list! Felix tak czy siak nic z niego nie zrozumie.

– Nic nie mówisz, Kati Kartofelku! Boli cię głowa?

Mathias odwrócił głowę w moją stronę przy prędkości dwustu kilometrów na godzinę.

– Nie! – *Patrz na drogę!* – Sądzę, że dzisiejszej nocy powiedziałam tyle, że

wystarczy tego na cały tydzień.

Mathias znowu się roześmiał.

– Powiedz coś, proszę. Przecież nie będziemy się widzieć przez cały tydzień. Nawet nie wiesz, jak bardzo będzie mi ciebie brakowało. Ojej, zapomniałem ci o czymś powiedzieć: we wtorek jadę do Berlina. Mam tam rozmowę w sprawie pracy! – W tym miejscu wymienił nazwę jednego z międzynarodowych koncernów, dokładnie tego, w którym pracował w roku dwa tysiące jedenastym jako szef do spraw pracowniczych. – Jeśli mi się *uda*, to też kupię sobie penthouse.

– W Berlinie? – zapytałam, trochę zaszokowana niespodziewaną wiadomością.

– Naturalnie, że w Berlinie. – Znowu odwrócił głowę w moim kierunku. – Berlin jest fantastyczny! Znasz choć trochę to miasto? I... kto wie... Czy sądzisz, że mogłabyś się tam przenieść...? To znaczy... Ma się rozumieć, na wypadek...

– Hmmmm – mruknęłam.

O czym on mówi? Na jaki wypadek? Gdyby dostał tam pracę? Czy gdybyśmy mieli być razem? Nie czekając na odpowiedź (i niestety nie zwalniając), ciągnął dalej:

– To byłaby dla mnie wymarzona praca. Gdy byłem w Santiago, zadzwonił do mnie headhunter i natychmiast mnie to zafascynowało. Od razu wiedziałem, że koniecznie muszę spróbować...

– A więc wcale nie przyleciałeś wcześniej z mojego powodu?

Ponownie zdjął prawą rękę z kierownicy, by mi zwichrzyć włosy.

– Ależ tak. Oczywiście, Kati Kartoffelku. W pierwszym rządzie z twojego powodu.

Teraz z kolei ja spojrzałam na niego z boku. Nagle uświadomiłam sobie, że niemal się nie znamy.

– Powiedz, czy ty właściwie lubisz koty? – zapytałam z głupia frant.

– Tak – roześmiał się. – Z wyjątkiem tych chudych, zezowatych syjamów. Gdy na nie patrzę, przechodzą mnie ciarki. Moja siostra miała takiego kota. Zawsze gapił się na mnie świdrująco ogromnymi niebieskimi ślepiami, zupełnie jakby wiedział, o czym myślę.

– A co z psami?

Spojrzałam na niego świdrująco wielkimi oczami.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Psy też lubię. Poza tym dzieci, starszych ludzi i... eeee... delfiny... No jak? Zdałem test?

– Ten pierwszy tak – powiedziałam, opadając na fotel. – Ta parapetówka jest w sobotę?

Cholera, znowu potrzebuję czegoś nowego do ubrania. Moja karta kredytowa zapewne zacznie wycić ze zgrozy.

Dramat to życie, z którego wycięto nudne kawałki.
Alfred Hitchcock

Najpierw nacisnęłam dzwonek domofonu, by się upewnić, że Felixa nie ma w domu. Nikt nie otworzył, co nie było żadną niespodzianką. Widać, że również w tym równoległym świecie nie wychodził punktualnie ze szpitala. Następnie nacisnęłam dzwonek pani Heidkamp, która na hasło „Poczta!” zawsze otwierała drzwi.

Już po chwili znalazłam się w klatce schodowej. Skrzynki na listy, brzydkie brązowe metalowe pudła z wąską szczeliną o ostrych krawędziach, znajdowały się po prawej stronie, tuż przy wejściu na schody. To właśnie ta okropna skrzynka na listy była powodem, dla którego zrezygnowaliśmy z Felixem z prenumeraty dziennika „Süddeutsche Zeitung”, ponieważ szkoda było nam czasu na wygrzebywanie go stamtąd każdego ranka, mozolne dopasowywanie do siebie porwanych kawałków i wreszcie składanie w całość poszczególnych podartych stron gazety.

Właściwie to chciałam przyjść tutaj już podczas przerwy obiadowej, ale zatrzymała mnie Gabi, która raz po raz mlaskając językiem, skrytykowała niemal każdą linijkę napisanego przeze mnie sprawozdania, czepiając się dosłownie wszystkiego. Dlatego też byłam zmuszona zakończyć popołudniowe seminarium o pół godziny wcześniej, żeby móc się dostać do tej przeklętej skrzynki, zanim jeszcze Felix wróci do domu. A przynajmniej upewnić się, czy już przyniesiono pocztę.

Wyciągnęłam z torebki oba widelce, które specjalnie przyniosłam z biura w celu wyciągnięcia listu. Niestety, przeklęte pudło wisiało zbyt wysoko, co uniemożliwiło mi wyłowienie ze środka koperty. Rozejrzałam się wokół i zobaczyłam w kącie wiadro. Prawdopodobnie własność dozorca Fischbacha. Po odwróceniu i postawieniu przed skrzynkami pocztowymi będzie stanowiło znakomity taboret. Nieszczerólnie stabilny, ale to nic nie szkodzi, gdyż w tym równoległym świecie zaliczałam się do kategorii wagi piórkowej.

Jednak i to rozwiązanie nie do końca zdało egzamin. Wprawdzie wydawało mi się, że widzę kremowobiały róg hotelowej koperty i nawet

mogłam dosięgnąć ją widelcem. Jednak nie udało mi się nadziać jej na zęby i unieść. Zamiast wyciągnąć kopertę, wrzuciłam widelec do skrzynki, a minutę później drugi wylądował obok niego.

Cholera jasna! Przez wąską szczelinę próbowałam zajrzeć do środka, by ocenić sytuację. Wyraźnie zobaczyłam kopertę ze znaczkiem. Udało mi się nawet odczytać stempel pocztowy z Münster. Miałam wrażenie, że wystarczy jedynie trochę głębiej wsunąć rękę do środka, by móc wyciągnąć ten przekłety list. Auuuu, poczułam ból, gdyż krawędzie otworu były trochę ostre. Hurra! Udało się! Teraz wystarczyło jedynie mocno chwycić i ostrożnie ciągnąć do góry milimetr za milimetrem...

...i dokładnie w chwili gdy miałam już w dłoni kopertę, wiadro zarwało się pode mną, rozpadając się na trzy części (tyle w kwestii wagi piórkowej).

W rezultacie osunęłam się o czterdzieści centymetrów. Znalazłam się w samym środku plastikowych szczątków tego, co jeszcze chwilę wcześniej było wiadrem. Najgorsze, że mój nadgarstek utknął zaklinowany w szczelinie. Do tego stopnia, że nie mogłam ani wsunąć ręki w głąb skrzynki ani – co gorsza – jej stamtąd wyciągnąć. Poczułam ostry ból. Wyglądało na to, że ostra krawędź przecięła mi tętnicę. W każdym razie byłam pewna, że czuję tryskającą krew.

No super! Tego tylko brakowało. Teraz byłam naprawdę... aaaauuuuuuuuu! Nie, za skarby świata nie wolno mi krzyczeć, bo w ten sposób ściągnę na dół sąsiadów, którzy pomyślą sobie nie wiadomo co, widząc obcą kobietę z ręką w ich skrzynce na listy.

Z drugiej strony nie było mowy, żebym mogła uwolnić się z tej pułapki o własnych siłach. Byłoby to możliwe jedynie wówczas, gdybym przezornie zabrała ze sobą piłę łańcuchową, o czym – ma się rozumieć – nie pomyślałam.

Z trudem przychodziło mi stać nieruchomo. Prawdopodobnie wkrótce zaczną się pojawiać pierwsi lokatorzy, gdyż gdzieś tak około wpół do szóstej zaczynała się w tej kamienicy swoista godzina szczytu. W związku z powyższym musiałam albo natychmiast sama jakoś się wydobyć z tej przekłetej pułapki, albo szybko wymyślić jakąś wyjątkowo wiarygodną historię, która zabrzmiałaby dostatecznie przekonująco.

Do diabła, musi przecież być jakieś rozwiązanie. Zawsze jest jakieś rozwiązanie. Zaraz! Mam przecież na ramieniu torebkę, a w niej... kupę

niepotrzebnych rzeczy... i... komórkę!

Wolną ręką zaczęłam grzebać w środku i wreszcie udało mi się wyłowić telefon. Wybrałam pierwszy numer, który mi przyszedł do głowy. Marlene. Ale odezwała się jedynie poczta głosowa, gdyż Marlene była właśnie na seminarium. Mimo to zostawiłam jej wiadomość. Podczas jej nagrywania wpadło mi do głowy słowo „psychiatria” i zanim dostałam histerycznego napadu śmiechu, przerwałam połączenie (poinformowałam ją o skrzynce na listy, w której tkwię uwięziona, nie mogąc się ruszyć, i poprosiłam o dobrego adwokata).

Następna była Linda. Ale ona z kolei już wyszła z biura. Gdy złapałam ją na komórce, jechała właśnie metrem i była po drugiej stronie Renu. I choć od razu była gotowa (zachwycona beznadziejną sytuacją bez wyjścia, w której się znalazłam) wysiąść na najbliższej stacji, by pognać mi na ratunek – „Zawsze mam przy sobie śrubokręt i być może uda nam się odkręcić klapkę” – doszłam do wniosku, że będę musiała bardzo długo czekać, nim zjawi się z pomocą.

– Możesz spróbować wyrwać drzwiczki wraz ze szczeliną – zaproponowała, zachwycona swoim pomysłem. – Wówczas będziesz mogła chwycić list i zwać razem z nimi. Masz może przy sobie scyzoryk?

– Nie! – odpowiedziałam, próbując równocześnie wyważyć drzwiczki długopisem, pomimo sceptycyzmu Lindy co do rezultatu moich poczynań. Ręka spuchła mi tymczasem tak, że była dwa razy grubsza niż zazwyczaj. Przynajmniej takie miałam wrażenie. Zanim jednak zrobiłam użytek z długopisu, za moimi plecami otworzyły się drzwi wejściowe. Nie potrzebowałam patrzeć, by się z mety zorientować, że to Felix razem z rowerem. Nie mogłam się mylić, słysząc charakterystyczne uderzenie kierownicy w drzwi.

– Lindo, muszę kończyć – szepnęłam.

– Ktoś wszedł? Neeee! Nie rozłączaj się, pro...

Zanim odważyłam się odwrócić w stronę Felixa, musiałam wziąć głęboki oddech. Określenie, że gapił się na mnie baranim wzrokiem, w żadnym razie nie oddawało istoty rzeczy. Odczekałam dwie sekundy, zanim się odezwał.

– W porządku, to pana skrzynka na listy, w której tkwi moja zaklinowana ręka.

– Zdążyłem zauważyć. – Felix odstawił rower. – Pytanie tylko, *dla*czego pani ręka tkwi zaklinowana w mojej skrzynce na listy?

– Nie, to nie jest właściwe pytanie – zaproponowałam. – Pytanie, jak mam ją stamtąd wyciągnąć?

Felix podszedł bliżej, by ocenić sytuację.

– Aua! – krzyknęłam, gdy ostrożnie poruszył moją ręką.

– Klucz do skrzynki na nic się tu nie przyda. Zaklinowała się pani tak mocno jak „Süddeutsche Zeitung” – wyjaśnił najlepszym lekarskim głosem.

– Ojej! – Stał tak blisko, że poczułam się jeszcze bardziej niezręcznie. Był ten sam co kiedyś, a zarazem jakiś obcy. Może za sprawą innej wody po goleniu o korzennym zapachu, którą z pewnością podarowała mu Lillian. Mimo że pachniał cudownie, nie byłam zachwycona tą nową wonią. – Używa pan okropnej wody po goleniu – stwierdziłam.

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

– Czego, u diabła, szuka pani w mojej skrzynce na listy?

– Eeee... jeśli chce pan wiedzieć, to dwóch widelców! – odpowiedziałam. – I listu, który nie powinien być się w niej znaleźć.

– Dlaczego?

– Dlatego... Proszę posłuchać, z pewnością brzmi to groteskowo, ale chciałam jedynie zapobiec temu, żeby się pan dowiedział, że pańska... – westchnęłam. – Widzi pan, wszystko, co tam zostało napisane, to jeden wielki stek bzdur. Totalny mętlik. Dlatego chciałam odzyskać ten list.

– Zaraz, zaraz. Ależ tak! To przecież panią spotkałem ostatnio w supermarkecie. Z płatkami kukurydzianymi. – Zadziwiająco, że Felix, który miał bardzo kiepską pamięć wzrokową, rozpoznał mnie. – Dlaczego napisała pani do mnie list? I gdzie się podział pani dziwny dialekt?

Zdecydowałam, że zwyczajnie go okłamię.

– Obiecuję wszystko panu wyjaśnić, jak tylko mnie pan stąd uwolni. Zgoda?

Brwi Felixa nadal wyrażały sceptycyzm. Tak na marginesie – tymczasem zdążyły już trochę odrosnąć. Co prawda nie były jeszcze tak zwichrzone jak kiedyś, ale proces szedł w dobrym kierunku. Prawdopodobnie Lillian zarezerwowała już kolejny termin w salonie piękności.

Felix westchnął.

– Już idę na górę po jakieś narzędzia, którymi spróbuję panią oswobodzić.

W porządku?

Przytaknęłam. W jak najlepszym w porządku! Podczas tej akcji z pewnością będzie musiał otworzyć drzwiczki do skrzynki i jak tylko uwolni mi rękę, natychmiast złapię ten przeklęty list, po czym zwieję w te pędy gdzie pieprz rośnie. A gdyby Felixowi udało się mnie dogonić, wpakuję kopertę do ust i połknę. Robiłam tak w dzieciństwie z karteczkami, które za skarby świata nie powinny były wpaść w ręce nauczyciela (i zapewne zaraz będę musiała powtórzyć swój wyczyn, tym razem jako osoba dorosła, jedynie dlatego, że gdy się naćpałam, wpadł mi w ręce papier listowy wraz z kopertą).

– Tylko niech się pani przypadkiem nigdzie nie rusza – rzucił przez ramię, będąc już na schodach. Nigdzie się nie ruszać! Hahaha, dobre sobie.

Za mną ponownie otworzyły się drzwi wejściowe. Tym razem do klatki weszło małżeństwo z trzeciego piętra z prawej. Oboje taszczyli torby wyładowane zakupami. Przechodząc obok, uprzejmie mnie pozdrowili. Fakt, że tkwię w dziwnej pozie w środku połamanego wiadra i do tego z ręką zaklinowaną w skrzynce na listy sąsiada, najwidoczniej przyjęli jako coś zupełnie normalnego. Dopiero będąc na schodach, mężczyzna odwrócił się w moją stronę.

Dam ci teraz ostatni okrucuch mojej dumy.
Smacznego!

Hugh Grant w *Był sobie chłopiec*

– Czy to zostało uzgodnione z panem Leuenhagenem?

– Eeeee, tak. Zostało – zapewniłam. Czy oni na pewno mają dobrze w głowie?

W mojej komórce rozległo się „Moja małpa wie, jak naprawdę jest mi źle”. Westchnęłam głośno, ponownie zmuszona sięgnąć do torebki. Z pewnością znowu umierająca z ciekawości Linda. Ale to nie była ona, lecz pani Baronski, której dałam numer komórki na wypadek, gdyby zdarzyło się coś nagłego. Albo gdyby przyszła jej ochota zwyczajnie sobie pogadać. Tym razem wyglądało to jednak na nagły przypadek.

– O mój Boże, jak to dobrze, że panią zastałam, drogie dziecko! Chcą mnie stąd zabrać! – krzyczała. – Ale nie dam się ruszyć z mojego fotela!

Upłynęło dobrych parę chwil, nim się zorientowałam, o co chodzi. W tym

celu pani Baronski dwa razy musiała przekazywać słuchawkę pielęgniarce. Najwidoczniej dopadł ją jakiś wirus grypy, co spowodowało, że wczoraj był u niej lekarz, który nie potrafił wykluczyć zapalenia płuc i zalecił pójście do szpitala w przypadku nasilenia się objawów. Pani Baronski zaś za żadne skarby świata nie chciała się nigdzie ruszyć, przekonana, że w szpitalu umrze na zapalenie płuc. A umrzeć chciała we własnym fotelu, a nie „przypięta do tych wszystkich aparatów, dziecinko!”. I w tej sprawie nie była jej w stanie przekonać żadna pielęgniarka.

Tymczasem ponownie zjawił się Felix. (Usłyszałam, jak mówi na schodach do sąsiadów: „Tak, tak, to było uzgodnione”). Kiwaniem głową skwitował fakt, że znowu rozmawiam przez telefon.

Po drugiej stronie pani Baronski zalewała się łzami rozpacz. Było oczywiste, że nie będą się z nią długo patyczkować. Z pewnością dadzą jej zastrzyk na uspokojenie i wywiozą do szpitala, gdzie po jakimś czasie się obudzi i...

– Proszę posłuchać – zwróciłam się do pielęgniarki, która ponownie była przy telefonie. – Proszę zostawić ją jeszcze przez chwilę w fotelu. Przyjadę najszybciej jak to tylko będzie możliwe i wspólnie ustalimy, co dalej.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami Felix otworzył drzwiczki skrzynki na listy i zaczął mi smarować nadgarstek z obu stron czymś, co zidentyfikowałam jako margarynę. Sprytne!

– Ale jest już późno i o tej porze nie mogę przecież zadzwonić do lekarza – rozległ się w słuchawce głos pielęgniarki. – Dobrze pani wie, jacy oni są. Zresztą lekarz powiedział, że jeżeli kaszel się nasili, to mam ją odesłać do szpitala. Opiekun społeczny już tu jest, ale...

– Proszę, bardzo proszę... żeby się pani jeszcze trochę wstrzymała. Zaraz tam będę... Mogę... Aua! – Felix wsunął właśnie plastikową łyżkę do butów pomiędzy krawędź otworu i mój wysmarowany tłuszczem nadgarstek, co sprawiło, że ręka wyslizgnęła się z pułapki, w której była zakleszczona. Odetchnęłam z ulgą i natychmiast się wzdrygnęłam, gdy Felix złapał mój zmaltretowany nadgarstek i zaczął go obmacywać.

– Niestety, to niemożliwe – powiedziała pielęgniarka. – Przecież nie jest pani nawet spokrewniona z panią Baronski.

– Wiem. – Szloch pani Baronski w tle niemal doprowadzał mnie do rozpacz. – Ale co by było, gdybym przywiozła lekarza. Internistę, który

zbadalby ją na miejscu i podjął decyzję?

Felix puścił moją rękę. Najwidoczniej żadna kość nie była złamana.

– To by naturalnie zmieniło postać rzeczy – przyznała pielęgniarka.

– Dobrze. W takim razie zaraz tam będziemy. Proszę jej o tym powiedzieć! – Rozłączyłam się i spojrzałam błagalnie na Felixa. – To... nagły przypadek medyczny! Gdzie zaparkowałeś samochód? Musimy pojechać do domu starców Fundacji Świętej Luizy. Wiesz, gdzie to jest?

Felix sceptycznie zmarszczył brwi.

– Mam jechać z panią...?

– Proszę... – przerwałam mu błagalnie bliska łez. – Ona nie ma nikogo z wyjątkiem mnie i chce umrzeć w tym swoim fotelu, nigdzie indziej...

Z kamieni rzuconych pod nogi też można
zbudować coś pięknego.

Johann Wolfgang von Goethe

– No dobrze – powiedział Felix, podnosząc pęk kluczy. – Samochód stoi tuż za rogiem.

– Naprawdę? – Kochany, cudowny, najwspanialszy Felix, niepotrafiący odmówić nawet porządnie pokopanej wariatce. – Dziękuję! – powiedziałam wzruszona.

Z ulgi niemal zapomniałam o liście. Felix podążył za moim wzrokiem i wyprzedził mnie o mgnienie oka, pierwszy łapiąc kremową kopertę.

– Aaaaaa... Oddaj mi ją, proszę – powiedziałam.

– Ani mi się śni. Ten list przyszedł do mnie pocztą i jest adresowany na moje nazwisko – zauważył. – A teraz jedziemy do Świętej Luizy, zanim się rozmyślę i zmienię zdanie.

Wszystko, co mam na swoją obronę, to błędy, które
popęłniłem.
Charles Bukowski

Felix był najbardziej łatwowiernym i najbardziej skorym do niesienia pomocy człowiekiem, jakiego znałam. Ale fakt, że wpuścił do samochodu ot tak sobie nagabującą go wariatkę mówiącą dziwną gwarą i z okropnym akcentem i na dodatek ze skłonnościami do włamywania się do obcych skrzynek na listy, bardzo mnie zaniepokoił i jeszcze bardziej wytrącił z równowagi.

Przecież równie dobrze mogłam być byłą pacjentką szpitala psychiatrycznego albo krewną jakiegoś byłego pacjenta psychiatryka, chcącą się zemścić. A on tak po prostu, jakby nigdy nic, wziął mnie do samochodu, by pojechać ze mną pod wskazany adres! Czyżby nie oglądał *Misery*? Ostatecznie w każdej chwili mogłam wyciągnąć broń, uprowadzić go i Bóg jeden wie co mu zrobić. Co prawda dom starców Fundacji Świętej Luizy był oddalony od placu Rathenaua zaledwie o dziesięć minut jazdy samochodem, ale z powodu wieczornych korków oraz, że Felix, w odróżnieniu od Mathiasa, nie przekraczał dozwolonej prędkości, jechaliśmy niemal dwa razy dłużej. Cały czas siedziałam jak na rozżarzonych węglach.

– A więc? – zapytał Felix ostrym tonem. – Co to za historia z tym listem? I skąd w ogóle mnie pani zna?

– Właściwie to nie tyle pana, ile pańską przyjaciółkę – skłamałam.

– Jaką przyjaciółkę? Lillian?

– Tak – potwierdziłam. – Znam ją stosunkowo dobrze i wie pan, jej charakter jest trochę jakby... powiedzmy sobie, niedojrzały. – Nie, to nie tak. *To płytka, odrażająca, egocentryczna wywłoka mająca już w podstawówce kłopoty z przeliterowaniem słowa „wierność”, chciałam dodać. Ale zamiast wyrzucić z siebie, co miałam na końcu języka, tylko westchnęłam z rezygnacją.* – W tym liście piszę jedynie, że nie jest dla pana. Po prostu to dla pana nieodpowiednia partnerka.

– Tak, tak. A dlaczego ukradła mi pani wózek w supermarkecie?

– No więc... zupełnie przypadkowo, naprawdę, proszę mi uwierzyć!

– A dlaczego pani tak dziwnie mówiła?

– Nieprawda, wcale nie – zaprotestowałam szybko.

– Ależ tak! Plotła pani potworne bzdury, i do tego w jakiejś dziwacznej gwarze.

– Taka dziwaczna to ona znowu nie była – próbowałam się bronić. – Poza tym uważam, że to bardzo nieuprzejme wytykać komuś, że mówi gwarą. Pochodzę z bardzo specyficznego zakątka Niemiec, graniczącego z aż czterema regionami: Bawarią, Hesją, Szwabią i Saarą... i jeszcze z Palatynatem. Dlatego też mój sposób mówienia może brzmieć trochę obco dla, eeeee, mieszkańca północy.

– Wymieniła pani pięć regionów, a nie cztery – zauważył. – A poza tym nie ma w tym kraju zakątka graniczącego z Bawarią, Hesją, Szwabią, Saarą i Palatynatem.

O cholera, cholera i jeszcze raz cholera. Co go napadło, żeby tak dzielić włos na czworo? Trzeba zatem z innej beczki. Doszłam do wniosku, że groźby też nie na wiele się zdadzą. Tym sposobem również nie zajdę daleko. Tym bardziej że moje argumenty trudno było nazwać przekonującymi. W tej sytuacji zdecydowałam się przestawić na błaganie, co wcale nie przyszło mi z trudem. Między innymi dlatego, że przed nami utworzył się korek i że ponownie pomyślałam o czekającej na nas pani Baronski, która zapewne wciąż rozpaczliwie szlochała w swoim fotelu.

– Czy mogę teraz prosić o oddanie listu? Bardzo, bardzo proszę!

– Nie! – Felix stanowczo uciął moje błaganie. – Najpierw chcę go przeczytać. A tak na marginesie: rozstaliśmy się z Lillian. Już nie jesteśmy razem – dodał po chwili, w której włączył migacz i skręcił w prawo.

– Co takiego? Kiedy? – wyrwało mi się. Na usta cisnęły mi się kolejne pytania, lecz w porę przypomniałam sobie, że rzekomo doskonale znam Lillian. – To znaczy, chciałam naturalnie zapytać, od kiedy jest to *oficjalne*?

Czy to ona zerwała? Czy podała powód dlaczego? A może doprowadziła do tego, że to on z nią zerwał, żeby uniknąć wyrzutów sumienia? (Ze swoją łatwowiernością z pewnością niczego by nie zauważył). Albo i tym razem było to jej parszywe tak zwane chwilowe zawieszenie związku?

Felix spojrzał na mnie, ale momentalnie odwrócił głowę, ponownie koncentrując się na prowadzeniu samochodu.

– Lillian i ja... wspólnie doszliśmy do wniosku, że nie pasujemy do siebie.

Aha!

– A kto pierwszy doszedł do takiego wniosku?

Znowu rzucił mi spojrzenie, któremu towarzyszył powściągliwy uśmiech.

– Powiedzmy po prostu, że nie jest dla mnie właściwą partnerką.

Święta racja. Bardzo się ucieszyłam, że wreszcie pojął ten oczywisty fakt. Niemniej wcale nie rozwiązywało to problemu mojego listu, z którego Felix mógłby się dowiedzieć, że Gereon podle go oszukał, co niewątpliwie złamie mu serce. Co mnie podkusiło do napisania tego idiotycznego listu? Z drugiej strony, gdybym tego nie zrobiła, nie byłoby go przy mnie w chwili, gdy zadzwoniła pani Baronski. Zatem z tego punktu widzenia dobrze się stało.

– A co będzie, jeśli naprawdę ma zapalenie płuc? – zapytałam z obawą, gdy skręcaliśmy na parking przed domem starców. – Za nic na świecie nie chce znowu pójść do szpitala, bo się boi, że nie wyjdzie z niego żywa. Zapalenie płuc brzmi dla niej znacznie bardziej przerażająco niż złamanie kości biodrowej. Można powiedzieć: jak wyrok śmierci.

Felix skinął głową.

– Nie ma obawy. Postaram się, żeby było dobrze.

I rzeczywiście się postarał. W ciągu zaledwie paru minut sprawił, że siedząca nieruchomo w fotelu, zdrętwiała z przerażenia, rozdzierająco szlochająca pani Baronski przestała płakać. Na tyle się uspokoiła, że pozwoliła się osłuchać (po uprzednim sprawdzeniu przez pielęgniarkę legitymacji lekarskiej Felixa; najwyraźniej za grosz nie miała do nas zaufania). Tymczasem pani Baronski otarła łzy chusteczką, którą jej podałam.

Okazało się, że nie ma gorączki, a osłuchanie niczego nie wykazało. Felix uspokoił ją, że stanowczo można wykluczyć zapalenie płuc. Potworny zaś kaszel ma raczej związek z oskrzelami. Poza tym zalecił spokój i kazał możliwie jak najwięcej pić. Odetchnęłam z ulgą, a pani Baronski znowu była taka jak dawniej.

– Cały czas jej mówiłam – powiedziała, wskazując na pielęgniarkę, która skierowała się w stronę drzwi, potrząsając głową.

– Mówiła pani jedynie, że nie ruszy się z fotela do czasu, aż zgaśnie pani jak Dama Kameliowa. I gdy ktoś panią dotknął, krzyczała pani tak, że o mało nie pękły pani płuca. Poza tym uparcie nie chciała pani nic pić, gdyż bała się pani pójść do toalety. I gdyby doktor nie przyszedł, musiałabym zawiadomić

naszych psychologów.

– To było *nie całkiem* tak. – Pani Baronski spojrzała zawstydzona. Ale gdy tylko drzwi zamknęły się za pielęgniarką, ponownie się rozpogodziła. – Dziękuję, panie doktorze – powiedziała. – Jest pan prawdziwym aniołem. I pani też, Kati! Gdyby nie pani, nie wiem, co by się ze mną stało. I jak ślicznie pani wygląda! Prawda, że wygląda pięknie, panie doktorze? Jest takim kochanym dzieckiem. Nie uwierzy pan, jak wspaniale zatroszczyła się o Muschiego. To było wzruszające!

Podczas gdy nalewalam jej wody do szklanki i pilnowalam, by ją wypila, pani Baronski pokazała Felixowi zdjęcia kota. Następnie przechyliła głowę na bok, spojrzała smutno na Felixa i zapytała:

– Na pewno pan nie nakłamał? Naprawdę nie mam zapalenia płuc i nie zgasnę jak Dama Kameliowa?

– Nie – zapewnił ją. – Poza tym, o ile mi wiadomo, Dama Kameliowa zmarła na gruźlicę, na którą dziś już się nie umiera, bo mamy odpowiednie antybiotyki i świetnie sobie radzimy z tą chorobą.

– Och, jaki pan miły. – Pani Baronski była pod wrażeniem. – I jeszcze do tego odcytany. No i przystojny. I młody. Prawda, Kati, dziecinko, że nasz pan doktor ładnie wygląda?

– Tak – potwierdziłam.

Gdy moje spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Felixa, odniosłam wrażenie, że chce już iść; złapał torbę lekarską. Pani Baronski nalegała, żeby go pocałować.

– Czy mam cię zabrać... albo gdzieś podwieźć? – zapytał.

Najwidoczniej w dalszym ciągu nie przyszła mu na myśl *Misery*. I jak widać, w którymś momencie przestał też zwracać się do mnie per pani. A zatem zdecydował się przejść z prześladowającą go maniaczką na ty.

Nie mogłam opanować uśmiechu.

– Dziękuję, to bardzo miłe, ale zostanę jeszcze trochę z panią Baronski. Wrócę do domu autobusem. – Z pewnością nie jadła jeszcze kolacji. Spróbuję coś w nią wmusić, a potem pomogę jej położyć się do łóżka. – Felixie, to było naprawdę... niezwykle miłe z twojej strony! Nie wiem, jak ci dziękować.

Uśmiechnął się trochę krzywo.

– No cóż... może w tej sytuacji najlepszym podziękowaniem będzie, jeśli

po prostu zostawisz mnie w spokoju?

Przełknęłam ślinę.

– Ależ oczywiście. Masz to jak w banku. Obiecuję. Jeśli oddasz mi list!

– Och, zupełnie o nim zapomniałem.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, z której wyjął kopertę. Ależ ze mnie skończona idiotka! Dlaczego zwyczajnie jej nie ukradłam, gdy badał panią Baronski? Felix niezdecydowanie obracał list w rękę to na jedną, to na drugą stronę.

– Tam są wyłącznie same bzdury – zapewniłam go. – Proszę, po prostu mi go oddaj i więcej mnie już nie zobaczysz.

Potrząsnął głową.

– Nie mam żadnej gwarancji, Kati, że to ty go napisałaś.

– No nie, znowu to samo! Gdybym go nie napisała, nie próbowałabym go odzyskać i nie włamywałabym się do twojej skrzynki...

Umilkłam, gdyż logika moich argumentów nawet dla mnie była zupełnie nieprzekonywająca.

– Przykro mi – powiedział, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł. Z moim listem!

Spoglądałam za nim zmieszana z bezradnie opuszczonymi ramionami. Cały wysiłek poszedł na marne. Najwidoczniej głośno westchnęłam, gdyż pani Baronski pogłaskała mnie po podrapanej ręce.

– Tak, szkoda. Sądziłam, że zaprosi panią do kina. – Obserwowała mnie z chytrym uśmieszkiem. – Ale wszystko może się jeszcze zdarzyć. A może po prostu powinnam jutro znowu udawać, że zachorowałam, i upierać się, że nic nie zjem? Wtedy z pewnością znowu przyjdzie.

– Niech panią ręka boska broni. Wszystko jest dokładnie tak, jak powinno – zapewniłam ją. – Przecież mam już partnera. I w żadnym wypadku nie wolno się pani upierać, bo tylko narobi sobie pani kłopotów.

Życie to gra. Nie wygrywa się, nie ryzykując strat.
Krystyna, królowa Szwecji

– Musiałabym codziennie jeździć do Düsseldorfu! – Marlene odrzuciła propozycję pracy złożoną przez konkurencję. Teraz zaś próbowała na wszelkie sposoby uzasadnić swoją decyzję. Żeby usprawiedliwić się sama przed sobą i zagłuszyć wyrzuty sumienia, wynajdywała wszystkie możliwe minusy.

– Ojciec też twierdzi, że nie była to żadna interesująca opcja. W dalszym ciągu jest święcie przekonany, że powinnam zostać współniczką Gabi.

– Wiem – powiedziałam. Problem w tym, że ojciec jeszcze nie wiedział, że Marlene na dobre związała się z Javierem. Nie byłam też pewna, czy w tym czasie w ogóle miał pojęcie o istnieniu Javiera. – Ale zakładając, że masz dostatecznie dużo pieniędzy z innego źródła, to czy nie lepiej byłoby założyć własną firmę, zamiast zostawać współniczką Gabi? Czy zdecydowałabyś się na coś takiego? Rzecz jasna też bym w to weszła...

– ...i ja! – przerwała mi Linda. – Na pół etatu.

– Piękne marzenie ściętej głowy. – Marlene westchnęła. – Bez Gabi to wszystko byłoby bardzo ryzykowne... Trzeba by pozyskać wielu nowych klientów, a rynek jest przecież bardzo nasycony.

– Zgadza się – przyznałam. – Ale do tej pory wyrobiłyśmy już sobie nazwisko w tej branży. Głównie ty. W tej sytuacji zdobycie nowych klientów nie będzie stanowić dla ciebie żadnego problemu.

Ani dla mnie. W końcu byłam przecież *Future Woman*, kobietą z przyszłości. Doskonale wiedziałam, że w przyszłym roku Marlene pozyska dla krwiożerczej hrabiny mnóstwo nowych zleceniodawców. W tym także różne stowarzyszenia gospodarcze kobiet, zrzeszenia młodych kobiet przedsiębiorców i jak im tam było. Dzięki temu Gabi zarobi kupę pieniędzy, z czego nam dostaną się tylko ochłapy. Natomiast mając własną agencję, będziemy mogły się wypiąć na tę jędzę. Przecież i tak wkrótce będziemy na pierwszym miejscu w mieście, jeśli chodzi o coaching biznesowy. Pracując na własny rachunek, zatrudniłybyśmy Lindę i Bengta, i...

– Hmmmm, trzeba by wygrać w totolotka – zauważyła Marlene.

Albo w coś podobnego. Tymczasem przeprowadziłam gruntowne studia z dziedziny piłkarskich zakładów bukmacherskich, które upewniły mnie, że moja wiedza na temat najbliższych mistrzostw świata z pewnością pozwoli mi zbić fortunę. Układ, w którym Włochy zostaną mistrzem świata, a Niemcy zajmą trzecie miejsce, nie był co prawda jakąś wyjątkowo egzotyczną kombinacją, ale i tak przebicie było super. Przy właściwym typowaniu można było na pojedynczym zakładzie zarobić aż piętnastokrotnie. W tej sytuacji zdecydowałam się poprosić rodziców o pożyczkę (musiałam tylko wymyślić jakiś wiarygodny powód). A teraz w każdej wolnej minucie zastanawiałam się, co zrobię z zarobionymi w ten sposób pieniędzmi.

Moje marzenia o własnej agencji miały tylko jedną wadę: musiałabym zostać w Kolonii, podczas gdy Mathias będzie w Berlinie. Nie byłam pewna, czy taki weekendowy związek będzie mi odpowiadał i czy się do tego nadaję.

Gdy w sobotę wieczorem, po niemal całym tygodniu niewidzenia się, spotkaliśmy się ponownie, odniosłam wrażenie, że Mathias nie był mi już taki bliski. Nawet moje motyle w brzuchu dość niemrawo machały skrzydłami. Przynajmniej na początku.

Fakt, każdego dnia dzwonił mi do siebie i wymienialiśmy zabawne maile, ale to nie było to samo co codzienne spotkania czy wspólne noce. Jeśli mam być szczerą, najbardziej mi brakowało tej codzienności. Leżenie obok Felixa i wsłuchiwanie się w jego miarowy oddech miało w sobie coś uspokajającego. Zdarzało się, że gdy delikatnie go głaskałam, mamrotał przez sen moje imię (gdyby miał kogoś na boku, byłby to najprostszy sposób dowiedzenia się, jak jej na imię).

Na parapetówkę do Gereona nie kupiłam żadnych nowych ciuchów. Po pierwsze dlatego, że wciąż jeszcze byłam bankrutem. Po drugie, nie widziałam powodu, żeby się stroić na cześć Gereona. A po trzecie, Mathias na szczęście uważał, że ładnie mi w dzinsach i koszulce. Ostatecznie w drodze na przyjęcie powiedział mi to aż trzykrotnie.

Z pewnością u Gereona nie zabraknie też Lillian. Natomiast Felixa nie było się co spodziewać, gdyż tymczasem przeczytał już zapewne mój list. Myśl o tym, jak bardzo poczuł się zraniony, przyprawiała mnie o bezsenne noce. Na jego miejscu z wściekłości ozdobiłabym karoserię porsche Gereona wymyślnym tatuażem (przy użyciu największego zardzewiałego gwoźdźdź).

Ale coś takiego nie było w stylu Felixa. Biedak zamknie się w sobie, cierpiąc w milczeniu. Och, że też ten piękny równoległy świat miał także – jak się okazuje – wady, których mimo podejmowanych przeze mnie prób skierowania go na lepsze tory nie dało się wyeliminować (wyłączywszy, ma się rozumieć, Münster, gdzie wciąż jeszcze zachwycono się najpiękniejszym ślubem, jaki pamięta ludzkość).

– Kati, wyglądasz zjawiskowo!

Czwarta powtórka. Chyba mogę wreszcie przyjąć do wiadomości, że to prawda. Może powinnam się zrewanżować komplementem? Bo jeśli któreś z nas wyglądało tu zjawiskowo, to tym kimś był zdecydowanie Mathias. Z pewnością wszystkie obecne na przyjęciu kobiety będą wlepić w niego zachwycony wzrok. Czy takie uwielbienie można ignorować na dłuższą metę? I czy wcześniej lub później nie spotka kobiety ładniejszej, mądrzejszej i dowcipniejszej ode mnie? Albo inaczej ładnej, inaczej mądrej i inaczej dowcipnej niż ja? I czy będzie w stanie heroicznie ignorować te pełne zachwyty spojrzenia? Jak długo? Przez rok? Przez całe życie?

– Obiecuję, że nie zostaniemy długo – zapewnił mnie Mathias. Najwyraźniej moje milczenie dało mu do myślenia. – Obejrzymy tylko penthouse, damy Gereonowi okazję popodziwiać najcudowniejszą partnerkę na świecie, wypijemy szklaneczkę i znikniemy. W porządku?

Zmusiłam się do uśmiechu. Hej, cóż to?! Przecież wszystko było w najlepszym porządku! Była sobota, było lato (no, niezupełnie, bo przez cały tydzień lało i było parszywie zimno), byłam najcudowniejszą partnerką na świecie i do tego byłam w drodze na przyjęcie z najatrakcyjniejszym facetem, jakiego można sobie wymarzyć. Co prawda miało to być koszmarne przyjęcie, na którym zjawią się wszyscy zidiociali debile z całego miasta. Ale za to najlepszy szampan będzie się lał strumieniami. Miałam nadzieję, że po dwóch albo trzech kieliszkach mój paskudny nastrój się poprawi. Żałowałam, że przed wyjściem z domu nie zaaplikowałam sobie na rozluźnienie czegoś mocniejszego. Ale po doświadczeniach z haszyszowym ciasteczkiem alkohol wydał mi się zbyt banalnym środkiem na pozbycie się chandry.

– Matze, stary kumplu! Cudownie! A ty zapewne jesteś Kati?

Gereon, widząc nas, szczerze się ucieszył. I to nawet bardzo. Nieprawdopodobne. Nigdy też nie uśmiechał się do mnie równie miło,

pomimo że na jego serdeczne powitanie odpowiedziałam jedynie ledwie zauważalnym uniesieniem kącików ust. Moją reakcję można było w najlepszym przypadku uznać za uprzejmą. Oczekiwałam zwyczajowych złośliwości i obraźliwych wycieczek pod moim adresem, ale nic takiego nie nastąpiło. Całe szczęście, że w tym równoległym świecie nie byłam jego pacjentką, więc nie mógł się natrząsać z mojej wizyty w jego gabinecie, ośmieszając mnie w oczach innych. Odniosłam wrażenie, że nie miał najmniejszego zamiaru atakować mnie czy wyśmiewać. Najwidoczniej powodem jego nienawiści do mnie był fakt, że byłam żoną Felixa, czego z jakichś sobie tylko znanych powodów nie mógł ścierpieć. Natomiast wcale mu nie przeszkadzałam w roli partnerki Mathiasa. Zauważyłam, że gdy chciał, potrafił być nie tylko bardzo uprzejmy, ale także niezwykle szarmancki i sympatyczny.

Uważny gospodarz wetknął nam do rąk kieliszki napelnione szampanem, a następnie oprowadził po całym mieszkaniu, na przemian pokazując zgromadzone designerskie meble i przedstawiając gości.

– Philippe Starck. A to Caroline.

Zgodnie z moimi przypuszczeniami wśród gości nie było Felixa. Ani Lillian. Za to zauważyłam Floriana, mojego byłego szwagra, którego drwiący uśmieszek momentalnie przyprawił mnie o mdłości. Nie mogłam doczekać się chwili, w której wreszcie opuścimy to snobistyczne towarzystwo.

Rzadko zdarza nam się myśleć o tym, co mamy, ale
za to często o tym, czego nam brak.

Arthur Schopenhauer

Niestety przed nami pojawiła się kolejna stacja. Tym razem pod szyldem „popatrz-tylko-stary-kumplu-ze-szkoły-jaki-to-bardzo-bogaty-ze-mnie-ogier”. Gereon zaprezentował nam swoją kolekcję najdroższych, najbardziej pożądanych i najtrudniejszych do zdobycia gatunków whisky. Usiłowałam stłumić ziewanie, podczas gdy Mathias wydawał się naprawdę zainteresowany szczegółowym wykładem o wzroście cen poszczególnych butelek.

– ...kupiłem zaledwie wczoraj... absolutne rarytasy... egzemplarze kolekcjonerskie, za które oferuje się najwyższe ceny... – Gereon śmiał się, głaszcząc czule dwie butelki, zupełnie jakby to były główki nowo

narodzonych dzieci. – Dobra whisky jest jak dobra przyjaźń. Im starsza, tym lepsza.

Lepiej było tego nie mówić.

Być może to stres ostatnich dni, a może świadomość, że w tym różowym świecie równoległym nie byłam tak naprawdę panią swoich myśli, sprawiła, że cała wściekłość na Gereona (nagromadzona we mnie zarówno w tym, jak i w poprzednim życiu) nagle znalazła ujście.

Odruchowo wzięłam do ręki jedną z butelek whisky i zaczęłam udawać, że studiuje etykietę. Nagle wypuściłam kosztowny okaz z ręki. Butelka, uderzywszy o wypolerowaną kamienną posadzkę, roztrzaskała się na tysiąc małych kawałków. Whisky zaś rozlała się, obryzgując nogi Philippe'a Starcka oraz grupki stojących przy nim gości.

– Ojejku – powiedziałam, obserwując z ogromną satysfakcją ogromniejące oczy zaskoczonego Gereona (co wcale nie było takie proste, gdyż roztrzęsiony bez przerwy wodził rozbieganym wzrokiem to po kawałkach roztraskanego szkła, to znów po kałuży whisky). – Ależ ze mnie niezdara! Coś potwornego!

Mathias pochylił się, by pozbierać potłuczone szkło, lecz Gereon powstrzymał go, mówiąc z wystudiowaną nonszalancją:

– Zostaw to, Matze. Od tego mam służbę!

Mnie natomiast posłał wyrozumiały uśmiech. Najwidoczniej uznał kamienny wyraz mojej twarzy (skrywający tryumfalny uśmiech, że nie wspomnę o nieodpartej potrzebie podniesienia ku niebu zaciśniętej pięści z okrzykiem „Future Woman rocks!”) za szok i nieutulony żal. – Przecież takie rzeczy się zdarzają, Kati. Żaden problem.

– Ale nie powinny w przypadku butelki wartej sześćset euro – zauważył Mathias. Usłyszałam złość w jego głosie. Spojrzał na mnie z wyrzutem. – Może da się to ściągnąć z polisy ubezpieczeniowej Kati. Kati, jak myślisz?

Co takiego? Zwariował? Jak wpadł na taki pomysł? Z mojej polisy ubezpieczeniowej? Tylko tego by brakowało! Zresztą Gereon z całą pewnością by się na to nie zgodził, gdyż takie załatwienie sprawy zdecydowanie nie pasowało do wizerunku wspaniałomyślnego salonowca, za jakiego chciał uchodzić.

– Jestem niepokieszona – przyznałam.

– Och! Czy to przypadkiem nie Browmore rocznik '55, o którym dziś rano

mi opowiadałeś? – rozległ się za naszymi plecami współczujący głos. Felix!

Był ubrany w koszulkę z napisem „Co drugą skarpetkę zeżrą dinozaury”... W głowie mi się nie mieściło, że po lekturze mojego listu mógł się pojawić w mieszkaniu Gereona jakby nigdy nic. Po tym, czego się dowiedział o swoim najlepszym przyjacielu! A może wcale go nie przeczytał?

Wlepiłam w niego wzrok, lecz zachowywał się, jakby mnie nie zauważył.

– Trzeba przyznać, naprawdę znakomity bukiet – stwierdził, wciągając roznoszący się wokół mocny zapach whisky.

– Bardzo dowcipne, staruszkule. Naprawdę znakomity żart. – Mówiąc to, Gereon serdecznie objął Felix, co miał w zwyczaju i co z pewnością by sobie podarował, gdyby Felix wyciągnął sprawę Lillian. A że Gereon chętnie rozdawał uściski na lewo i prawo, drugim ramieniem objął także Mathiasa. Doprawdy wzruszający obrazek!

– Felixie, to jest Matze, mój najlepszy kumpel z czasów szkolnych. W zeszłym tygodniu przypadkowo wpadliśmy na siebie na lotnisku. Matze, a to Felix. Felix, że się tak wyrażę, to Linkwood rocznik '39 wśród moich przyjaciół...

O Boże, zaraz zrobi mi się niedobrze.

Florian, prawdopodobnie zwabiony hałasem, przerwał mu zazdrośnie:

– Jeśli Felix to Linkwood, kim w takim razie jestem ja?

Jakąś przeraźliwie kretyńską butelczyną.

– No, ty jesteś Glenvilet rocznik 1948 – oznajmił Gereon, jeszcze mocniej przyciskając do siebie Felix. – Mój drugi najlepszy przyjaciel, zaraz po Felixie!

– Dzięki serdeczne! – Felix ze śmiechem wyzwolił się z grupowego uścisku i wziął do ręki butelkę whisky, którą Gereon wylicytował wczoraj na aukcji, wartą więcej niż cały produkt krajowy brutto wysp Fidżi. Albo coś koło tego. – À propos żaglówki, którą macie na oku: w dalszym ciągu uważam, że pomysł jest super. Ale nie wchodzę w to. Mam za mało... Ojej!

Butelka gładko wyslizgnęła mu się z rąk, zupełnie jakby miał palce posmarowane margaryną, roztrzaskując się z hukiem tuż obok mojej. Uderzenie było tak gwałtowne, że wszyscy instynktownie odskoczyli. Wszędzie roznosił się upajający zapach whisky.

– O nieeee! – krzyknął Gereon płaczliwie. – Znowu Glenvilet!

– Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać – powiedział Felix. – Jestem

niepocieszony – dodał, spoglądając mi przez krótką chwilę prosto w oczy.

Wstrzymałam oddech. O mój Boże! Zrobił to celowo. Podobnie jak ja. Że też dane mi było być świadkiem czegoś takiego: Felix Leuenhagen zrobił coś z czystego, złośliwego wyrachowania. Nie wiem czemu, ale nagle poczułam się bardzo, ale to bardzo szczęśliwa.

– Strasznie mi przykro! – Rozległ się głos Felixa. – Wiem, jaki byłeś dumny z obu tych nabytków.

Kto nie naraża się na niebezpieczeństwo, umiera
z nudów.

Herbert Achternbusch

– Nie ma o czym mówić! – odpowiedział Gereon z ponurą miną.

– Może powinienes się czegoś napić! – Mathias położył mu dłoń na ramieniu.

– Świetny pomysł. Strzel sobie. Alkohol bardzo pomaga. – Felix odgarnął z czoła niesforny kosmyk. – Kati, czy mogłabyś mi poświęcić minutkę? – dodał mimochodem, co sprawiło, że moje serce zaczęło bić jak szalone.

– Mmhhhm – mruknęłam, patrząc na Mathiasa. On jednak był całkowicie pochłonięty otwieraniem pospołu z Gereonem butelki jakiejś pospolitej whisky, zapewne niepasującej do wspaniałej kolekcji, ale za to znakomicie nadającej się do ukojenia rozpaczony Gereona po dotkliwej stracie. – Cóż, jeśli chcesz rozmawiać ze mną na temat listu, to... Mówiłam ci już, że to same bzdury. Istny bełkot. Efekt mojego pierwszego doświadczenia z narkotykami... I jeśli zadajesz sobie pytanie, skąd tak dużo o tobie wiem... *Pozwolisz, że ci wyjaśnię: zjawiłam się z przyszłości, w której byliśmy małżeństwem. I było wspaniale do czasu aż...*

Nagle zachciało mi się płakać.

– Tak, rzeczywiście zadawałem sobie takie pytanie. – Felix spojrzał na mnie z powagą. Jego brwi znowu były takie jak kiedyś. Mało brakowało, a zaczęłabym je gładzić palcem. – Kati, skąd tyle o mnie wiesz?

Przez chwilę spoglądałam na niego poważnie, nie będąc w stanie ani się poruszyć, ani nic powiedzieć.

– Felixie, czy wierzysz w los i przeznaczenie? I... we wcześniejsze życie? – Mój szept był ledwo słyszalny.

– Nie wiem – odpowiedział z wahaniem. – Dlaczego płaczesz?

– Wcale nie płaczę – zaprzeczyłam wbrew faktom, gdyż łzy lały mi się strumieniem z oczu, spływając po policzkach.
Musiałam stąd uciec. Natychmiast.

Pomimo że tylko nieliczni są Cezarami, to niemal
każdy choć raz w życiu staje przed swoim
Rubikonem.

hrabia Karl Christian Ernst von Bentzel-Sternau

Gdyby to był przyzwoity świat równoległy, to w tym momencie spektakularnie rozwinęłabym skrzydła, których para wyrosłaby mi na plecach, i sfrunęłabym jakby nigdy nic z tarasu, po czym poszybowała w kierunku zachodzącego słońca. Ale że był to jedynie nędzny plagiat prawdziwego życia, żadne skrzydła mi nie wyrosły.

– Kati?

Zauważyłam, że Felix przyglądał mi się z niepokojem. Zdobyłam się na odsunięcie go na bok, po czym przedelfilowałam przez kałużę whisky. Ale było mi wszystko jedno. Obojętne było również to, że tłum gości Gereona gapił się na mnie, wytrzeszczając oczy (przy czym było to nadzwyczaj łagodne określenie ich sposobu patrzenia), gdy szlochając, przeciskałam się między nimi.

Niestety, penthouse'y mają to do siebie, że są usytuowane na najwyższych piętrach budynków. A ponieważ obawiałam się, że ktoś będzie mnie próbował zatrzymać, nie czekałam na windę, lecz pomknęłam w dół schodami na złamanie karku. Pędząc jak szalona, musiałam uważać, żeby się nie potknąć, gdyż lży niemal mnie oślepiły.

Pomiędzy drugim i trzecim piętrem o mało nie wpadłam na kogoś. Na szczęście ów ktoś w odpowiednim momencie odskoczył na bok. Lillian. Poznałam ją po głosie. Zaczęła wykrzykiwać jakieś inwektywy. A niech tam. Z jej jazgotu dotarło do mnie „Gucci” czy coś takiego. Wszystko jedno. I tak nie miałam czasu, żeby się zatrzymać, by w rewanżu powiedzieć jej, co o niej sędzę.

Z góry dotarł do moich uszu odgłos otwieranych drzwi (oraz przyjęcia), które ponownie zamknięto. Po chwili usłyszałam Mathiasa wołającego moje imię.

Przyspieszyłam.

– Kati! Hej! Poczekaj!

Na schodach rozległy się kroki. Coraz bliższe. Ponieważ nie płakał jak bóbr, mógł bez problemu przeskakiwać po dwa stopnie.

Na ulicy nie zastanawiałam się zbyt długo. Do domu najszybciej mogłam dotrzeć metrem, którego stacja znajdowała się zaraz za następnym skrzyżowaniem. Raptem sto metrów od miejsca, w którym stałam. Odległość tę pokonałam w błyskawicznym tempie, ustanawiając nowy rekord życiowy.

– Kati! – Ponownie usłyszałam za plecami wołanie Mathiasa.

Ale wtedy pędziłam już w dół schodami prowadzącymi na peron. Sama nie wiedziałam, przed czym właściwie uciekam. Nie miałam jednak czasu, by się zastanawiać.

Gdy znalazłam się na dole, mój wzrok padł na szyny. Nagle poczułam potworny strach, niczym uderzenie pięścią w żołądek. Całe moje ciało pokryło się gęsią skórką. Automatycznie zwolniłam. *Déjà vu...* Zaraz usłyszę Mathiasa wołającego moje imię. Stanie przede mną. Pocałuje mnie. Pojawi się oberwaniec. Nadjedzie pociąg i...

– Kati! Zatrzymaj się wreszcie! Zaczekaj...

Stałam. Poczułam, jak moje ciało w ułamku sekundy zmieniło się w sople lodu. Z ogromnym wysiłkiem udało mi się odwrócić w stronę Mathiasa.

– Och, Kati! – Potrząsnął głową, próbując złapać oddech. – Co się stało?

Spróbowałam wziąć się w garść.

– Czy moglibyśmy usiąść? O tam! – Pokazałam na ścianę. – Daleko od torów?

Jakimś cudem udało mi się wprawić w ruch sztywne nogi. (Na całym peronie nie było widać ani skrawka pociągu. Cyfrowe tablice informacyjne były wygaszone. Poza nami i tulącą się do siebie parą nastolatków na drugim końcu peronu nie było nikogo. Żadnego oberwańca jak peron długi i szeroki). Opadłam na ławkę.

– Dlaczego tak nagle uciekłaś? I dlaczego płaczesz? – Mathias usiadł obok mnie. – Czy to z powodu tej rozbitej whisky? A może zrobiłem coś nie tak? Czy za mało się tobą zajmowałem?

Otarłam z policzków ślady łez.

– Nie, to nie to. Celowo upuściłam tę butelkę. I nie zrobiłeś niczego, co byłoby nie tak.

– Więc co się dzieje? – Sprawę whisky pozostawił bez komentarza. Złapał

mnie za ramiona i obrócił tak, że musiałam mu spojrzeć w oczy. – Czy to może z powodu Berlina?

Potrząsnęłam głową, lecz on po prostu mówił dalej. Dość szybko.

– Od razu zauważyłem, że jesteś jakaś inna. Jakaś cicha i... zdystansowana. Ale po pierwsze, decyzja jeszcze nie zapadła. Po drugie, Berlin to nie Tokio czy Nowy Jork. I nawet gdybyś nie miała ochoty przeprowadzać się do Berlina, gdzie z pewnością udałoby nam się znaleźć dla ciebie świetną pracę, to nie jest to przecież koniec świata. Znam wiele przykładów wspaniałe funkcjonujących weekendowych par. Są nawet tacy, którzy marzą o takim właśnie układzie, gromadząc przy okazji mnóstwo punktów za wylatane mile, które potem wykorzystują, żeby polecieć na wspólny urlop na Bali.

Podczas całej tej przemowy trzymał mnie za ramiona, jakby się bał, że znowu ucieknę.

– Mój Boże, ależ ty masz piękne oczy – powiedziałam cicho.

– Czyżbyś znowu zażyła haszyszu? – Uśmiechnął się krzywo.

– Nie! Ale przyznaję, że mam na to teraz ogromną ochotę – odpowiedziałam z uśmiechem.

– Kati, dlaczego płakałaś? – Momentalnie spoważniał. – Widziałem, jak stamtąd wypadłaś. Ten przyjaciel Gereona też nie miał pojęcia, co się stało.

Przyjaciel Gereona... Nabrałam powietrza.

– Mathiasie, uświadomiłam sobie coś, o czym właściwie powinnam była wiedzieć od dawna. – Łzy ponownie zaczęły mnie łaskotać w nos. – Wiesz... z całą pewnością jesteś najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam! W każdym razie zdecydowanie najprzystojniejszym! I jeszcze nigdy w nikim nie zakochałam się tak nagle i tak bardzo jak w tobie. To było niczym... gwałtowny żywioł... jak tsunami... Nie byłam w stanie się temu oprzeć. – Zamilkłam, wsłuchując się w siebie. – I nadal cię kocham. I wiesz, prawdopodobnie kochałabym cię do końca życia. Ale... nie mogę zostać z tobą, gdyż kocham kogoś innego. Kogoś, kogo znam od bardzo dawna i kogo strasznie mi brakuje...

Znowu zaczęłam płakać.

Mathias pobrał. Wolnym ruchem zdjął dłonie z moich ramion.

– Rozumiem – powiedział, pocierając nos. – A w zasadzie to nie rozumiem. Kto to taki?

– To długa i bardzo skomplikowana historia. – Pociągnęłam nosem. – Nie

chcę, żebyś myślał, że cię okłamałam albo coś w tym stylu. Po prostu nie zdawałam sobie sprawy... – Przerwałam. – Byłam pewna, że jesteś tym jednym jedynym. Tym właściwym, stworzonym dla mnie. I być może tak jest, gdyż ten jeden jedyny tak naprawdę wcale nie istnieje, ponieważ w życiu spotyka się wielu tych właściwych, stworzonych dla ciebie, z którymi można być szczęśliwym... – Przez kilka sekund zanosłam się bezgłośnie szlocham. W pewnym momencie dotarło do mnie, że z Mathiasem też jest coś nie tak, że też nie ma najweselszej miny. – Przykro mi – powiedziałam. – Nie chciałam tego. Nie chciałam cię zranić. Tak bardzo cię pragnęłam.

– Ale tak się składa, że tego kogoś pragniesz jeszcze bardziej?

Przytaknęłam, zaskoczona tym odkryciem.

– Tak. I nawet gdyby tak się miało stać, że nigdy nie bylibyśmy razem w tym idiotycznym równoległym świecie, on jest mężczyzną, z którym chciałabym spędzić resztę swego życia. – Spojrzałam na szyny. – Albo przynajmniej ten czas, który mi jeszcze pozostał.

– O nie! Nie wierzę. Nie chcę tego słuchać! – Wstał z ławki. – Chodź! Pójdziemy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać w spokoju...

Potrząsnęłam głową.

– Pojadę... metrem. A ty wracaj na przyjęcie... i po prostu porządnie się upij.

– W tej sytuacji to chyba rzeczywiście bardzo dobry pomysł – powiedział, trąc oczy.

Chętnie bym mu powiedziała, że z całą pewnością wkrótce spotka kogoś, z kim będzie szczęśliwy, i że – no tak – dostanie tę pracę w Berlinie i będzie miał penthouse bez ani jednej ściany. Ale w tym momencie wydało mi się to trochę niestosowne.

Na pożegnanie pocałował mnie nieśmiało w usta. Przed wejściem na schody odwrócił się jeszcze raz, by mi powiedzieć:

– Mimo wszystko zadzwonię jutro, by zapytać, czy przypadkiem nie zmieniłaś zdania.

Skinęłam głową.

– Z pewnością nie zmienię.

– W porządku. W takim razie zadzwonię, by się zapytać, co takiego jest w tym facecie, czego mi brak. – Pokonawszy parę stopni, ponownie się odwrócił. – Ale obiecaj mi, że będąc z nim, nigdy nie będziesz jadła

haszyszowych ciasteczek. Obiecujesz?

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Przysięgam. To będzie do końca życia moje jedyne przeżycie tego typu.

– Chyba mi trochę ulżyło.

Odszedł. Zostałam sama. Na peronie oprócz mnie była jeszcze tylko para tulących się nastolatków. Siedzieli na drugim końcu i sądzą, że wcale mnie nie zauważyli.

Tablice informacyjne nadal były ciemne. Albo zepsute (co zdarzało się często), albo po prostu dziś nie jeździły pociągi.

Sięgnęłam po komórkę i zadzwoniłam do Lindy. Musiałam porozmawiać z kimś, kto był w stanie zrozumieć, o co w tym wszystkim chodziło. Że być może los, przemieszczając mnie w czasie, chciał mi dać nauczkę i sprawić, żebym pojęła starą prawdę: na drugim brzegu trawa wcale nie jest bardziej zielona, tylko dokładnie taka sama jak na tym, na którym właśnie się znajdujemy. Z tą tylko różnicą, że nie taka swojska i bardziej interesująca. Że jestem głupim osłem. Że bardzo kocham Felixa. Tak bardzo, że gotowa byłam rzucić się świadomie pod nadjeżdżający pociąg, by tylko go odzyskać.

Zmagając się z myślami, ponownie zaczęłam strasznie beczeć. Tak głośno, że aż usłyszała mnie para nastolatków. Oderwali się od siebie, spoglądając na mnie z ciekawością.

– Teraz chyba powinien się pojawić jakiś oberwaniec albo Jezus, albo wróżka i zabrać mnie w świetlisty krąg albo coś w tym rodzaju? – ściszyłam nieco głos.

– Nie orientuję się aż tak dobrze – odpowiedziała Linda. Również płakała.

– Kati... ale ja wcale nie chcę, żebyś odeszła w świetlisty krąg.

– Ja też nie. – Ponownie ogarnęła mnie niepokonana wściekłość na los i jego porąbane zasady. Do tego stopnia, że aż przestałam płakać. – Ale zaraz z pewnością coś się wydarzy. Być może znowu przejedzie mnie pociąg. A gdy się obudzę, będę leżeć umierająca na szynach w dwa tysiące jedenastym roku... I wówczas ujrzę światło... Albo i nie, gdyż pod kreską i w tym równoległym świecie wcale nie byłam lepszym człowiekiem.

– Każdy człowiek wstępuje w krąg światła – powiedziała Linda z niespotykaną u niej stanowczością. – Niezależnie od tego, co nawyprawił! A jeśli chodzi o piekło, to jest to jedynie głupi przesąd! Zapamiętaj to sobie!

– Co powinnam teraz zrobić? – zapytałam ze wzrokiem wlepionym

w tablicę, na której normalnie wyświetlały się informacje o pociągach. – Wygląda na to, że nic dziś nie jeździ.

– W takim razie wsiadaj w autobus – zaproponowała. – I to póki jeszcze nie jest całkiem ciemno. Najlepiej przyjeźdź prosto do mnie. Dziś w nocy nie powinnaś być sama.

Była taka wspaniała.

– Lindo, jesteś aniołem!

Wstałam. Stwierdziłam, że nadal mam sztywne nogi. Nadal ich nie czułam. Prawdopodobnie zbyt wiele przeżyć naraz. Idąc w kierunku schodów, dla pewności trzymałam się możliwie jak najdalej od krawędzi peronu.

Nagle tablica informacyjna ożyła i pojawił się na niej czerwony napis: „Następny pociąg przyjedzie za sześć minut”.

– Lindo! – sapnęłam, łapiąc powietrze. – Pociąg przyjedzie za sześć minut!

– Przerazona i bliska napadu hysterii, dodałam: – Z pewnością mnie *porwie!*

– Pociągi nie porywają ludzi. – W głosie Lindy wyczułam cień niepewności. – Spokojnie idź dalej! Za sześć minut będziesz już w połowie ulicy Seweryna. Pociągi poruszają się jedynie po torach.

Szłam dalej, cały czas trzymając się blisko ściany. Nagle przypomniałam sobie, że na ulicy Seweryna zawalił się przecież budynek Miejskiego Archiwum Kolonii. Zaraz, kiedy to było?

Wszystko jedno. Dalej do przodu. Spostrzegłam go, gdy byłam już niemal u podnóża schodów.

Felix! Gdy mnie zobaczył, stanął jak wryty na schodach. Mało brakowało, a znowu bym się rozplakała. Powoli opuściłam rękę, w której trzymałam komórkę.

– Przyjechałeś na rowerze? – spytałam.

Potrząsnął głową.

– Nie, bo zamierzałem się upić. A po pijanemu wolę nie wsiadać na rower.

Wiem. Odważyłam się na słaby uśmiech.

– Chciałem się upić i powiedzieć Gereonowi, co naprawdę o nim sądzę – kontynuował. – Ale nagle zobaczyłem ciebie i...

Spostrzegłam, że nie potrafiłam opanować uśmiechu, który stawał się coraz szerszy.

– ...i właśnie wrócił twój przyjaciel, który powiedział, że wygląda na to, że

z nim zerwałaś. Wówczas doszedłem do wniosku, że to jemu bardziej się przyda urznąć w trupa niż mnie. Że jest mu to bardziej potrzebne niż mnie. Pomyślałem, że może przypadkiem wrócisz metrem i... W przeciwnym razie jutro poszedłbym prawdopodobnie do pani Baronski i poprosił o twój numer telefonu...

Potrząsnęłam głową.

– Po tym wszystkim, czego się o mnie do tej pory dowiedziałeś, powinieneś być bardziej nieufny, Felixie.

– A może jestem po prostu ciekawy – zauważył, patrząc na mnie tak intensywnie, że aż zrobiło mi się ciepło w brzuchu. – A zatem metro?

– Nie! – Obróciłam się w stronę tablicy informacyjnej. Ujrzałam komunikat: „Następny pociąg przyjedzie za minutę”. – Tak się składa, że boję się jeździć metrem. To mnie przeraża. Ale może... może miałbyś ochotę przejść się ze mną? Moglibyśmy na przykład porozmawiać o pogodzie.

Felix uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Mały spacer z pewnością byłby przyjemny.

Ramię w ramię ruszyliśmy schodami na górę.

– Cieszę się, że wreszcie przestało padać – powiedział. – Pogoda w ostatnich tygodniach była po prostu deprymująca.

– Lato też nie będzie zbyt ładne – powiedziałam. – Przypadkowo mam bardzo dokładne informacje na ten temat.

– Słonecznie żółte?

Nie patrząc na niego, wiedziałam, że się uśmiecha.

– Tak. I różowe. I trochę jasnozielone.

Nieprzyjemne uczucie w kolanach całkowicie ustąpiło. Ponownie odzyskałam pełną władzę w nogach. Za nami słychać było pociąg wjeżdżający na peron. Ale my byliśmy już na ulicy.

– Kati! Kaaaattiiiiii!!!!

A kiedy świat zaczyna błyszczeć tak, jakbyś za dużo
wina w siebie wlał – to jest miłość.

Dean Martin

O Boże, Linda! Zupełnie o niej zapomniałam. Szybko przyłożyłam słuchawkę do ucha.

– Linda? Zaraz do ciebie zadzwonię. Dobrze? – Przerwałam na moment.

Poparzyłam na Felixa, po czym westchnęłam, dodając cicho: – I żebyś wiedziała: gdybym teraz musiała umrzeć, to wierz mi, odeszłabym szczęśliwa.

Pięć lat później

Felix

Lubię sobie wyobrażać, że Kati pojawiła się w moim życiu za sprawą losu. Choć podczas naszego pierwszego spotkania zachowywała się dość dziwnie. Podczas drugiego również. Do tego stopnia, że nawet przez moment sądziłem, że uciekła z zakładu psychiatrycznego.

Do dzisiaj dokładnie nie wiem, skąd wiedziała o mnie aż tyle i dlaczego w ogóle się mną zainteresowała. Ale to również nie ma żadnego znaczenia. Czasami Kati pyta mnie, dlaczego pomimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, zakochałem się w niej i kiedy dokładnie to się stało. Jeśli mam być szczery, również to pozostaje dla mnie zagadką. Nawet kiedy mówiła tym dziwnym dialektem, było w niej coś niezwykle pociągającego. Albo wówczas, gdy stała z ręką zaklinowaną w mojej skrzynce na listy i patrzyła na mnie z wściekłością, jakby to była moja wina.

Być może nieco lekkomyślne było – jak zawsze powtarza – uważać, że nie jest szalona, pomimo jej dziwnego zachowania. Zresztą szalona pozostała do dzisiaj. I trochę zagadkowa. Czasami budzę się w nocy, słysząc, jak mamrocze coś we śnie bez ładu i składu. Ale gdy tylko biorę ją za rękę, momentalnie się uspokaja. W dalszym ciągu boi się metra. Czasami wie o sprawach, które dopiero się wydarzą.

Jej praca to jedno wielkie pasmo sukcesów. Wspólnie z przyjaciółką Marlene prowadzą agencję coachingu biznesowego i doradztwa personalnego. Zatrudniają troje pracowników i ze względu na dużą liczbę zleceń od jesieni będą mieli jeszcze jedną osobę. Również dlatego, że Kati chce się częściowo wycofać, gdyż jest w ciąży. Bengt obiecał, że gdy dziecko się urodzi, przejmie większość prowadzonych przez nią seminariów.

Osobiście lubię Bengta. Ale lubiłbym go jeszcze bardziej, gdyby bez przerwy nie wmawiał sobie chorób, o których nawet ja nie słyszałem. Ostatnio był święcie przekonany, że cierpi na syndrom zmiennego niedoboru odporności wywołany przez wirusa Epsteina-Barr. Powodem tego przypuszczenia było swędzenie pięt. Linda uważała, że przyczyny

swędzenia w żadnym wypadku nie są natury fizycznej, lecz stanowią oznakę, że jego zwierzęciem mocy stała się mrówka. Obawiam się, że Kati ma słabość do szaleńców i wariatów (Marlene jest wyjątkiem). Jej rodzina też jest nieco szturchnięta, przy czym niektórzy członkowie nieco bardziej niż inni. Ale mimo to lubię ich wszystkich bez wyjątku. Przede wszystkim mojego chrześniaka, małego Henriego. Na marginesie: Ewa znów jest w ciąży i drugie dziecko ma przyjść na świat w grudniu.

W dwa tysiące szóstym roku Kati zarobiła mnóstwo pieniędzy na zakładach bukmacherskich, obstawiając, kto zostanie mistrzem świata w piłce nożnej. W dwa tysiące dziesiątym próbowaliśmy ją namówić (przede wszystkim Linda), żeby ponownie spróbowała. Ale nie była pewna, kto wygra: Hiszpanie, Holendrzy, a może... Portugalczycy... W końcu nie obstawiła nikogo. W odróżnieniu od Lindy, która straciła dużo pieniędzy.

Jak już mówiłem, lubię sobie wyobrazać, że to los zesłał mi Kati i sprawił, że jesteśmy razem, co oznacza, że miałem u niego naprawdę wyjątkowe względy.

Mathias

Nie wierzę w żadne zrządenia losu. Wyznamę pogląd, że każdy jest kowalem swego szczęścia. Czasami trzeba być nieprawdopodobnie upartym i wytrwałym w zdobywaniu tego, czego się pragnie. Problem jednak w tym, że nie zawsze się to coś dostaje.

Nigdy jej tego wyznam, ale Kati pozostaje do dziś największą miłością mego życia. Co prawda ona zawsze twierdzi, że nasz związek nie przetrwałby nawet pięciu lat. Ja jednak jestem zdania, że byłbym równie dobrym mężem jak Felix. Na swój sposób.

Niestety muszę przyznać, że się doskonale dobrali. I że w pewnym sensie lubię Felixa. Co wcale nie oznacza, że nie odebrałbym mu żony, gdybym widział choćby cień szansy, że mi się to uda. Zrobiłbym to natychmiast. Ale zanim do tego dojdzie, robię co mogę, by o niej nie myśleć. Dlatego rzucam się w wir pracy, podróżuję po świecie i uwodzę kobiety.

Kati zawsze jest trochę zazdrosna o moje przyjaciółki, choć się do tego nie przyznaje. To mnie cieszy. Poza tym, gdy się spotykamy, a zdarza się to stosunkowo często, bez wątpienia wciąż jeszcze iskrzy między nami. Na marginesie: zlecam jej agencji, którą prowadzi wspólnie z Marlene, bardzo wiele seminariów, i gdy tylko przyjeżdża do Berlina, spędzamy razem dużo czasu. Czasami, gdy tak siedzi przede mną z błyszczącymi oczami, myślę sobie, że przypuszczalnie nie miałbym żadnych trudności z zaciągnięciem jej do łóżka. Zdaję sobie jednak sprawę, że potem bez wątpienia wróciłaby do Felixa, co ponownie złamałoby mi serce. I to mnie powstrzymuje. Powodem jest również sam Felix, którym z biegiem lat stał się dla mnie w pewnym sensie przyjacielem. Mam nadzieję, że mnie nie poproszą, bym został ojcem chrzestnym ich dziecka. Z drugiej strony byłby to dobry pretekst do częstszych spotkań. Z reguły nie podobają mi się zestresowane młode matki mające bzika na punkcie swoich dzieci i uważam je za zaprzeczenie seksu. Być może Kati wyświadczy mi przysługę i utyje.

Ach, niech się dzieje, co chce, następnym razem, gdy się spotkamy,

wspomnę mimochodem, że byłbym wspaniałym ojcem chrzestnym.

Everything will be okay in the end. If it's not okay, it's not the end.

Podziękowania

albo

Godny pochwały zwyczaj, mówię wam,
dziękować za każdy dobry dar.

Wilhelm Busch

Nie mam już czasu na należyte podziękowania, gdyż jak zwykle zawałam termin. Dlatego też muszę natychmiast przeprosić wszystkich tych, którym z tego powodu przysporzyłam dodatkowego stresu czy więcej pracy, lub też jednego i drugiego: Naprawdę bardzo mi przykro!

Jeśli już nie możesz być dobrym przykładem, to
bądź przynajmniej groźnym ostrzeżeniem.

Swoje przeprosiny i podziękowania kieruję do wspaniałych, kreatywnych i zaangażowanych pracowników wydawnictwa Bastei Lübbe, którzy zawsze mają do mnie ogromną cierpliwość, i do tego jeszcze posyłają mi kwiaty, na które wcale nie zasłużyłam. I którzy wyciągają dla mnie jak z rękawa nie tylko plan B, ale jeszcze plan C, a nawet plan D (naprawdę mam OPÓŹNIENIE), pozwalając zachować spokój ducha. Bardzo dziękuję za włochatego osiołka na okładce, który ma równie dużo wdzięku jak kobieta bez głowy. (Mam prośbę: czy następnym razem moglibyśmy umieścić na okładce przykładowo żyrafę? Albo wielbłąda?).

Pozostałe podziękowania w skrócie (dlatego że zamierzam podziękować wszystkim osobiście i, oooo, upiec muffinki):

Claudii – za wyżej wspomnianą anielską cierpliwość i za to, że od początku byłaś przekonana do tego projektu. Jak również za to, że zawsze potrafiłaś mnie zmotywować, gdy pilnie tego potrzebowałam.

Petrze – za twoje właściwe słowa we właściwym momencie oraz za dawkę uroku, emocji i żartów w moim życiu. Jesteś czymś więcej niż człowieczą

odmianą negroni.

Christiane – za to, że tyle razy mnie ratowałaś (i oczywiście tę książkę).
Krok po kroku. Kawałek po kawałku. Każdego dnia i każdej nocy.

Mamie, Leonie, Heidi, Biggi, Evie, Dagmar, Sonji i Frankowi – za to, że
zawsze jesteście ze mną i dla mnie.

I wreszcie moim Czytelniczkom i Czytelnikom, gdyż dzięki ich
feedbackowi co najmniej wiem, dlaczego i dla kogo zarywam noce na
pisanie.

Dziękuję, wszyscy jesteście cudowni!

A teraz idę świętować! Albo... spać!

Kerstin Gier, październik 2011

-
- ¹ Dzielnica Lateng – studencka dzielnica Kolonii, chętnie porównywana z paryską Quartier Latin – Dzielnicą Łacińską (przyp. tłum.).
 - ² Zła Czarownica z Zachodu – postać z powieści L. Franka Bauma *Czarnoksiężnik z Krainy Oz* (przyp. tłum.).
 - ³ Ciekawe, co takiego zażyła Marie von Ebner-Eschenbach? Też bym chciała spróbować.
Kerstin Gier
 - ⁴ Fehmarn – trzecia co do wielkości niemiecka wyspa na Bałtyku, modne miejsce wypoczynku (przyp. tłum.).
 - ⁵ Alice Schwarzer – znana niemiecka feministka, przedstawicielka Nowego Niemieckiego Ruchu Feministycznego (przyp. tłum.).
 - ⁶ Wiem, że Henryk VIII nie był kobietą, ale nie bądźcie drobiazgowi, bo zapewne doskonale wiecie, co mam na myśli.
 - ⁷ *Fried* oznacza pokój, ład, sielskość, *lind* – łagodny, przyjazny, subtelny, stąd znaczenie imienia można przetłumaczyć jako *przyjazny ład* (przyp. tłum.).
 - ⁸ Na wszelki wypadek tym, którzy przez cały czas zastanawiają się, co właściwie ma tu do roboty ŚWINKA MORSKA, zaraz wszystko opowiem. Ale ostrzegam: to bardzo smutna historia, która może mnie postawić w złym świetle. (Dlatego dopiero teraz o niej mówię). Miałam wówczas zaledwie pięć lat i zapewne dlatego niektórzy są zdania, że winowajcą był właściwie wuj Eberhard. Jednak biorę całą winę na siebie. NIESZCZĘSNA ŚWINKA MORSKA miała na imię Max. Pomimo kategoriycznego zakazu przeszmuglowałam ją – a raczej jego – na przyjęcie urodzinowe babci. Tamten dzień okazał się najczarniejszym dniem mojego dzieciństwa. Początkowo Max świetnie się bawił, objadając się ciastem marchewkowym i buszując na kanapie pełnej poduszek. Nagle ni z tego, ni z owego pojawił się wuj Eberhard i bez ostrzeżenia usiadł na tejże kanapie, kładąc kres życiu Maxa. Na marginesie: od tamtego czasu nie wyszedł z traumy i do dziś skrupulatnie przegląda wszystko, co służy do siedzenia, zanim zdecyduje się zająć miejsce.
 - ⁹ Lista jej wyczynów erotycznych, których powodem była rzekomo wrodzona nimfomania, moim jednak zdaniem były to dokładnie zaplanowane przez nią afery z mężami jej krewnych płci żeńskiej, w które wdawała się z czystej złośliwości, była bardzo długa. Na liście tej znajdował się nawet wuj Eberhard, podobnie jak pierwsza miłość mojej kuzynki Danieli.
 - ¹⁰ Jako piętnastolatka napisałam dla żartu list miłosny do nauczyciela niemieckiego, który moja przyjaciółka Inga dla hecy wrzuciła do skrzynki pocztowej... Wówczas próbowałyśmy naprawdę wszystkiego, by go stamtąd wydobyć. Na końcu chcieliśmy nawet wysadzić skrzynkę w powietrze własnoręcznie sporządzonym koktajlem Mołotowa. Rzecz jasna nic z tego nie wyszło.